tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 19 (1374)
4-10.05.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

SZARA STREFA LOBBINGU

CPK – WYWŁASZCZANI ZA PÓŁDARMO

AMBASADOR JULIUSZ GOJŁO
IRAN: SPOJRZENIE Z WEWNĄTRZ

ELIZA SARNACKA-MAHONEY
RELIGIJNY NACJONALIZM W USA

KTO STOI ZA PIESIEWICZEM

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
19
9 771509 311607

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA

UNE IDEE GENIALE

Tej wiosny postaw na GENIALNY POMYSŁ

Autor SÉBASTIEN CASTRO

Przekład BARBARA GRZEGORZEWSKA

Reżyseria WOJCIECH ADAMCZYK

Kutno	Lublin	Sierpc	Warszawa	Wejherowo
14 maja	23 maja	24 maja	9, 15, 22, 28 i 29 maja	5 maja

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 17e13b0521

Jaki prezydent, taka kancelaria

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Maj zawsze nastraja optymistycznie. Każdego. No, prawie każdego. Bo jest specyficzna grupa zawodowa, która zajęta sobą nawet nie widzi tej przepięknej, ledwo wyrosłej zieleni. A szkoda, bo właśnie politykom najbardziej przydałby się kontakt z ziemią. Poleżeliby, choć z godzinkę, na zielonej trawie. A gdyby to im nie pomogło, przez ten czas chociaż mniej by szkodzili.

Najbardziej taki odwyk przydałby się monstrualnie rozbudowanej Kancelarii Prezydenta. Może by tam zauważyli, że wciąż jej wiceszefem jest Adam Andruszkiewicz oskarżony o fałszerstwa przy wyborach samorządowych w 2014 r. Dowody, zbierane jeszcze za rządów PiS, są bardzo mocne. Długo to śledztwo trwało, bo trzeba było zweryfikować tysiące podpisów. I przesłuchać bardzo wielu świadków. Wykonawcy tej brudnej operacji wyborczej oskarżają Andruszkiewicza, on zaś opowiada o zemście politycznej i prowokacji wiadomych sił. Może ma rację. Bo za takim prymitywnym hochsztaplerem muszą stać jakieś mętne siły. Prezydent Nawrocki ma pełną wiedzę o tych przestępstwach. I nic z tym nie robi. Pewnie boi się precedensu, bo z zarzutami nie jeden Andruszkiewicz u niego pracuje.

Ma też w kancelarii dużo większe problemy. Zmontowana przez Kaczyńskiego i mocno skłócony obóz PiS kancelaria jest zbiorowiskiem ludzi o sprzecznych interesach i wybujałych ambicjach. Od początku była skazana na konflikty. Jeśli jeszcze nie dochodzi do fizycznych zwarć – jak to było na korytarzach kancelarii za prezydentury Dudy – to zapowiedzi takich rozstrzygnięć sporów już są.

Obserwatorzy walki między politykami i ich podchodów zwracają uwagę na rywalizację między Zbigniewem Boguckim a Marcinem Przydaczem. Na razie grają na dwóch różnych boiskach, ale ambicje mają ogromne. Sięgające samego szczytu, czyli posady prezydenta. Trudno się temu dziwić. Obydwaj byli przecież kandydatami na ten fotel. Bogucki prawie do końca był na liście Kaczyńskiego. Przydacz, choć bardzo za sobą lobbował, szans większych nie miał. I chociaż posada im odfrunęła, to ambicje zostały. Trudno uwierzyć, że naprawdę uważają Nawrockiego za swojego politycznego guru. Jeśli już, to bardziej za dość przypadkowego i doraźnego szefa. Czy są wobec niego lojalni? I jakie, poza ambicjami, mają kompetencje do zarządzania tak ważną instytucją? Widzimy, że efekty ich pracy są marne. Zaliczyli już więcej wpadek niż kancelaria Dudy przez dwie kadencje. Kompromitujące dwukrotne weto do ustawy o kryptowalutach, blokowanie SAFE i wiele mniejszych, choć równie ważnych wet Nawrockiego to dla tego obozu równia pochyła.

Sprawdzają się, i to z naddatkiem, najgorsze obawy związane z tą prezydenturą.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 17e13b0521

W NUMERZE

KRAJ

8 **Radosław Piesiewicz**
Łubu dubu, łubu dubu…
Polski sport na sprzedaż

12 **Tusk nie ufa Trumpowi, Kaczyński i Nawrocki wierzą mu całkowicie**
Dwa spojrzenia na Polskę w Europie

14 **Nielegalne wpływy**
Lobbing po polsku

17 **CPK – Chroniczne Pomniejszanie Kosztów**
Zaniżana wycena gruntów

18 **Andrzej Olechowski – obsesja polskiej prawicy**
Był patriotą i w PRL, i w III RP

32 **Przyśpieszenie w Michałowie**
Gmina odważna i otwarta

52 **Patola zwana zgorszeniem**
Drugie życie księży

TECHNOLOGIE

22 **Kopiowanie nie wystarczy**
– rozmowa z Yanisem Kerdjaną

ZAGRANICA

24 **X krucjata bożej Ameryki**
Korespondencja z USA

28 **Iran: spojrzenie z wewnątrz**
– rozmowa z Juliuszem Gojło

OPINIE

36 **Tadeusz Klementewicz**
Europa znów na peryferiach?

HISTORIA

38 **Utajony ośrodek zagłady w Działdowie**
Przywracanie pamięci o więźniach Soldau

KULTURA

40 **Poraź talentem, zrób wrażenie i zniknij**
– rozmowa z Ewą Szykulską

44 **Qulturalia**

66 **Słodkiego, miłego życia**
Między sztuką a konsumpcją

OBSERWACJE

45 **Amerykański sen Tomáša Baťy**
Zlín pamięta o słynnym producencie butów

48 **World Press Photo 2026**

56 **Miasto wina i futbolu**
Korespondencja z Portugalii

SPORT

50 **Ronaldinho próbował sztuczek technicznych z gracją pijanego wuja na weselu**
Zombie futbol w Chorzowie

EKOLOGIA

58 **Tam, gdzie mgła staje się rzeką**
Lasy mgliste w Andach

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Jaki prezydent, taka kancelaria

31 **Jan Widacki**
Nasza polska schizofrenia

35 **Andrzej Szahaj**
Wolność a samowola

39 **Tomasz Jastrun**
W mrocznym świecie

18
KRAJ

ANDRZEJ OLECHOWSKI – OBSESJA POLSKIEJ PRAWICY

Był patriotą i w PRL, i w III RP

50
SPORT

RONALDINHO PRÓBOWAŁ SZTUCZEK TECHNICZNYCH Z GRACJĄ PIJANEGO WUJA NA WESELU

Zombie futbol w Chorzowie

56
OBSERWACJE

MIASTO WINA I FUTBOLU

Korespondencja z Portugalii

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

eprasa.pl 17e13b0521

Impeachment, czyli uzupełnienie konstytucji

Nowa Konstytucja RP nie jest potrzebna. Natomiast celowe byłoby uzupełnienie obecnej. W art. 145 czytamy: „Prezydent Rzeczypospolitej za naruszenie Konstytucji, ustawy lub za popełnienie przestępstwa może być pociągnięty do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu". Sądzę, że w tym artykule należałoby wskazać jako ważną formę pociągnięcia do odpowiedzialności usunięcie Prezydenta RP ze stanowiska.

W tym kontekście celowe wydaje się sięgnięcie do Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Art. II Section II stwierdza: „Prezydent, wiceprezydent i wszyscy funkcjonariusze służby cywilnej Stanów Zjednoczonych będą usunięci ze stanowisk w wyniku postawienia w stan oskarżenia i skazania za zdradę, korupcję oraz inne ciężkie zbrodnie i przestępstwa".

Procedurę postawienia w stan oskarżenia (impeachment) zastosowano wobec trzech prezydentów: Andrew Jacksona, Billa Clintona i Donalda Trumpa. Ten ostatni był poddany tej procedurze dwukrotnie. Jak wiadomo, nie nastąpiło usunięcie go ze stanowiska.

W trakcie bieżącej kadencji poparcie dla polityki prezydenta Trumpa maleje. Arbitralnie narzucone taryfy celne oraz wojna z Iranem powodują wzrost cen. Brutalność policji imigracyjnej (ICE) w Minneapolis i w innych miastach wywołała ostre protesty. We wszystkich 50 stanach odbyły się demonstracje przeciwko despotycznej władzy prezydenta pod hasłem „No Kings". Opór społeczny wywołuje też skrajnie prawicowa, obskurancka ofensywa ideologiczna – zwalczanie wiedzy o niewolnictwie, segregacji rasowej i postępowych ruchach społecznych. Treści te prezydent uznał za „niepatriotyczne". Uniwersytety zajmujące się postępowymi badaniami pozbawiane są dotacji federalnych. Badanie zmian klimatu i rozwój odnawialnych źródeł energii zbywane są wyzwiskami.

Niektórzy gorliwi wyznawcy Trumpa zmieniają zdanie. Tucker Carlson, który wniósł znaczny wkład w kampanię wyborczą Trumpa, stał się jego radykalnym krytykiem. Kiedy redaktor pisma „The Economist" zapytał Carlsona, czy wojna Trumpa z Iranem oznacza zdradę wezwania „America First", pod którym prowadzona była kampania wyborcza, ten odpowiedział: „Jest to nie tylko niezgodne z »America First«, ale jest zaprzeczeniem tego wezwania". Zmiana ta nastąpiła na skutek żądania Izraela i jego wpływowych zwolenników. „Nie można pozwolić, aby dziewięciomilionowe państwo podejmowało decyzje o krytycznym znaczeniu dla państwa 350-milionowego… Jest to sprzeczne z interesem Ameryki".

Prawdopodobne jest kolejne zastosowanie procedury impeachmentu wobec prezydenta Trumpa.

Andrzej Wilk

Między Cieśniną Ormuz a Lwowem

Irytuje mnie durna i szkodliwa retoryka PiS i satelitów dotycząca SAFE. Dziwi mnie, że nikt z obrońców programu nie wpadł na to, że „patrioci" posługują się retoryką Stalina uzasadniającą odrzucenie planu Marshalla. Aż się prosi o przypomnienie tamtych argumentów. W numerze 16 „Przeglądu" pan Józef Brzozowski polemizuje z prof. Janem Widackim. Autor boleje nad zobowiązaniem finansowym naszego kraju na 45 lat. To może niepokoić, ale czym jest wobec zagrożenia wojennego oraz polityki Macierewicza i następcy prowadzącej do chaosu w służbach zbrojnych? Chyba nie będziemy podśpiewywać: „Nikt nam nie weźmie nic, nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły Rydz"?

LIST

Między cieśniną Ormuz a Lwowem

Ryszard Zawadzki

ZDJĘCIE TYGODNIA

„Andrzej Poczobut wolny! Witaj w polskim domu, Przyjacielu", napisał Donald Tusk w portalu X. Dziennikarz i działacz opozycji po przeszło pięciu latach zamknięcia w białoruskich więzieniach i koloniach karnych został przekazany stronie polskiej w wyniku wymiany więźniów. Premier powitał go na granicy. 28 kwietnia 2026 r.

FOT. X/DONALD TUSK

eprasa.pl 17e13b0521

Piotr Garkowski „Łatwogang” zainicjował akcję pomocy młodym podopiecznym Fundacji Cancer Fighters. Po masowych wpłatach do dzieci chorych na raka trafi prawie 300 mln zł.

•

Parlament Europejski uchylił immunitety europosłom Grzegorzowi Braunowi, Patrykowi Jakiemu, Danielowi Obajtkowi i Tomaszowi Buczkowi.

•

Andrzej Poczobut, dziennikarz od wielu lat więziony na Białorusi, został uwolniony i przyjechał do Polski.

•

Od 1 maja ruszyła umowa handlowa między Unią Europejską a krajami bloku Mercosur (Argentyną, Brazylią, Urugwajem i Paragwajem). Polska podjęła decyzję o złożeniu skargi do Trybunału Sprawiedliwości UE. Orzeczenie Trybunału może być wydane najwcześniej za dwa lata.

•

W latach 2006-2024 doszło w Polsce do **284 prób odwołania władz samorządowych** w drodze referendum. Tylko 42 były ważne, bo w pozostałych nie było wystarczającej frekwencji. Obronił się jedynie prezydent Sopotu Jacek Karnowski.

•

W 2025 r. o 22% **spadła liczba zezwoleń na pracę wydanych cudzoziemcom.** Dostało je 251,5 tys. osób. Wśród nich najwięcej jest Kolumbijczyków – 37,3 tys., Filipińczyków – 29,6 tys., obywateli Indii – 29,5 tys., Nepalu – 18,8 tys. i Uzbekistanu – 18,6 tys.

•

Coraz większe są wpłaty z tytułu 1,5% podatku na konta organizacji pożytku publicznego. W 2025 r. było to **2,3 mld zł**, o 378 mln zł więcej niż rok wcześniej.

•

Do rzecznika praw obywatelskich wpływa rocznie ponad **2 tys. wniosków o kasację niesprawiedliwych wyroków.** Do prokuratora generalnego wpływa takich wniosków ok. 1,9 tys. W 2025 r. Sąd Najwyższy rozpatrzył 297 kasacji i oddalił jako niezasadne tylko dwie **(„Polityka”).**

•

W polskich sądach orzeka dziś **9129 sędziów.** Przed dekadą, w 2015 r., w sądach powszechnych pracowało 9935 sędziów.

•

Ponad jedna trzecia dorosłych Polaków rezygnuje z leczenia stomatologicznego z powodów finansowych. Najczęściej to osoby w wieku 18-34 lata i po 65. roku życia **(UCE RESEARCH).**

•

W 2025 r. liczba absencji z powodu choroby osób ubezpieczonych w ZUS sięgnęła **242 mln dni.** Najszybciej rośnie liczba L4 związanych ze zdrowiem psychicznym.

•

97,5 tys. nieruchomości w 2025 r. kupili w Hiszpanii cudzoziemcy. Najwięcej Brytyjczycy (7,7 tys.), Niemcy (6,3 tys.), Holendrzy (6,1 tys.) i Marokańczycy (5,5 tys.). Polacy byli na dziewiątym miejscu z zakupem 4,1 tys. lokali.

•

Za najdroższą książkę w polskich zbiorach uważa się **jedną z 48 Biblii Gutenberga.** Przechowywana jest w Pelplinie w Muzeum Diecezjalnym. Jej wartość szacuje się na **140 mln zł („Angora”).**

PRZEBŁYSKI

Dziedziczak wędruje. I bankietuje

Nazwanie Jana Dziedziczaka, posła PiS i byłego wiceministra spraw zagranicznych, grabarzem Polonii byłoby przesadą. Przy tak skromnym talencie może być co najwyżej pomocnikiem grabarza. Działanie na rzecz środowisk polonijnych pomylił ze służbą w interesie Kościoła katolickiego i gloryfikacją jego hierarchii. Dziedziczak ma spory udział w sprowadzeniu corocznego Forum Polonijnego na margines marginesów. Ostatnie, 28. już forum odbyło się pod hasłem „Kościół na straży sumienia Narodu”. Dziedziczak uśpił słuchaczy prelekcją „Od »Kościoła polskiego« do »Kościoła Polaków« na Wschodzie”. Polską tożsamość rozumie on tak: „Dla każdego Polaka miłość do Matki Bożej, naszej Królowej, jest bardzo ważnym elementem tożsamości”. I z takim oto posłaniem od wielu lat Dziedziczak na nasz koszt wędruje po świecie. I bankietuje. Na koszt Polonii.

JJ Kasprzyk tu i tam

Dla skrajnej prawicy JJK jest do bólu swój. Dla świata cywilizowanego Jan Józef Kasprzyk ma różne oblicza, np. przyspawanego przez PiS do stołka szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Siedział na nim od 2016 do 2024 r. Nie ruszali go, bo ciągle robił więcej, niż partia planowała. Kasprzyk to też turysta wędrowniczek. Miał pomysłowy patent na liczne wyjazdy. Organizował patriotyczne jasełka. Od Izraela do Włoch. I ojczyzna płaciła. JJ Kasprzyk zadbał też o dodatkowy parasol, czyli poparcie „Naszego Dziennika” o. Rydzyka i „Gazety Polskiej”. Wystarczyło na liczne funkcje i posady. I na doradzanie Nawrockiemu w IPN.

Molestant z Radia Maryja

Kto się kryje za miłym głosem odmawiającym co tydzień różaniec w Radiu Maryja? Sławny pedofil z Tylawy, zdemaskowany ćwierć wieku temu przez Lucynę Krawiecką, która postępkami proboszcza Michała M. próbowała zainteresować ówczesnego metropolitę przemyskiego bp. Józefa Michalika. Hierarcha poradził jej, by poszła do prokuratury. A chwilę wcześniej Krawiecka widziała, jak delegacja prokuratury składała bp. Michalikowi życzenia imieninowe. I na kolanach całowała go w pierścień biskupi. Zboczeniec z Tylawy molestował dziewczynki już z zerówki. Całował w usta, dotykał ich miejsc intymnych, szantażował niedopuszczeniem do pierwszej komunii. Starsze zapraszał do nocowania na plebanii. I plótł, że jego ręce mają moc uzdrawiania.

Jaką za to poniósł karę? Wyrok w zawieszeniu za molestowanie sześciu dziewczynek. Watykan dołożył mu zakaz publicznego odprawiania mszy. Utrudzony molestowaniem mieszka sobie spokojnie w rodzinnej miejscowości na Podkarpaciu. A robotę ma u Rydzyka.

FOT. ADRIAN GRYCUK, FACEBOOK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 17e13b0521

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Egzamin na prawo jazdy bez placu manewrowego?

DR GRZEGORZ ZAŁĘSKI,
psycholog, współpracownik MORD Tarnów, USWPS

Plac manewrowy to psychologiczne sito weryfikujące motorykę, koncentrację i regulację emocji. Pozwala w izolowanych warunkach sprawdzić poziom automatyzacji czynności technicznych. Jeśli kandydat nie opanował ich płynnie, w nieprzewidywalnym ruchu drogowym dojdzie do przeciążenia poznawczego, co zagraża wszystkim uczestnikom ruchu. Plac jest też istotnym testem odporności na stres. Obserwacja reakcji w kontrolowanym środowisku umożliwia ocenę, czy kierowca jest gotowy do wyjazdu na drogę publiczną. Rezygnacja z tego etapu to ryzyko wypuszczenia osób nieprzygotowanych technicznie, co – jak pokazują badania – jest częstą przyczyną wypadków początkujących kierowców. Lepiej poświęcić te kilka minut na placu, by zapewnić realne bezpieczeństwo.

RAFAŁ GRODZICKI,
egzaminator WORD Warszawa

Całkowita likwidacja placu manewrowego nie jest dobrym pomysłem, natomiast modyfikacja zadań – owszem. Plac w kategorii B służy weryfikacji panowania nad pojazdem. Właśnie tam dochodziło do wielu niebezpiecznych sytuacji, takich jak wjechanie w płot, bo kursant pomylił pedał gazu z hamulcem. Lepiej, by egzaminujący zweryfikował braki w umiejętnościach w bezpiecznej strefie niż bezpośrednio w ruchu drogowym. Plac pozwala również kursantowi oswoić się ze stresem i konkretnym autem. Postulujemy jednak zmiany: m.in. zniesienie wymogu płynności jazdy pasem ruchu do tyłu na rzecz możliwości ponowienia manewru. Z kolei sprawdzanie poziomu oleju to dziś przeżytek. Powinniśmy kłaść większy nacisk na stan opon czy poprawne używanie świateł w trudnych warunkach. Likwidacja nie – modernizacja tak.

SŁAWOMIR MOSZCZYŃSKI,
instruktor nauki jazdy i wykładowca prawa o ruchu drogowym, znany jako „Słaby instruktor"

Plac to miejsce, gdzie odpada 80% kursantów. Generuje on stres porównywalny do obrony doktoratu. Wyeliminowanie oceniania manewrów w zamkniętej strefie zmniejszyłoby napięcie i pozwoliło przenieść te godziny na cenną naukę w ruchu miejskim. Pamiętajmy jednak, że umiejętności nabyte na placu, takie jak ruszanie na wzniesieniu czy cofanie, są niezbędne. Taka przestrzeń do nauki podstaw jest konieczna – nie każdy opanowuje je w kilka minut. Choć od sztywnych zadań na placu wolałbym wprowadzenie obowiązkowych szkoleń w ośrodkach doskonalenia techniki jazdy oraz zwiększenie liczby godzin kursu z 30 do 50. Kluczem jest nauka realnej oceny ryzyka na drodze, a nie tylko zaliczenie „łuku".

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 17e13b0521

Radosław Piesiewicz
Łubu dubu, łubu dubu...

Andrzej Sikorski

„Składamy wspólny apel, jako przedstawiciele związków sportowych, o natychmiastowe złożenie dymisji przez Radosława Piesiewicza z pełnienia funkcji prezesa PKOl", oświadczył Robert Korzeniowski po spotkaniu przedstawicieli ponad 50 związków sportowych z ministrem sportu Jakubem Rutnickim. Zebranie działaczy i ministra na Stadionie Narodowym w Warszawie odbyło się w cieniu afery związanej z głównym sponsorem Polskiego Komitetu Olimpijskiego – giełdą kryptowalut Zondacrypto.

Przypomnijmy: w październiku 2025 r., nie informując o tym członków zarządu PKOl, Radosław Piesiewicz zabrał olimpijczyków i udał się do Monako, gdzie podpisał umowę sponsorską z Przemysławem Kralem, prezesem Zondacrypto (o szemranej giełdzie kryptowalut powiązanej z przestępcami, obozem prezydenckim i PiS pisaliśmy w artykule „Aferzyści prezydenta RP", „Przegląd" nr 51/2025).

Ofiara losu

Zgodnie z zawartą umową siedziba komitetu olimpijskiego otrzymała nazwę Zondacrypto Centrum Olimpijskie im. Jana Pawła II, olimpijczycy zaś (nie tylko medaliści, ale też ci, którzy zajęli miejsca od czwartego do ósmego podczas zimowych igrzysk w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo) mieli dostać nagrody finansowe. Okazało się, że Zondacrypto jest niewypłacalna, prezes Kral ewakuował się do Izraela (ma paszport tego kraju), kontakt z nim się urwał, a oprócz PKOl oszukanych zostało kilkadziesiąt tysięcy inwestorów, którzy nie mogą odzyskać pieniędzy zainwestowanych w kryptowaluty (nieoficjalnie mówi się o kilkuset milionach złotych).

O tym, że Zondacrypto ma ścisłe związki ze środowiskiem przestępczym, wiadomo powszechnie co najmniej od 2020 r., kiedy to „Superwizjer TVN" wyemitował wstrząsający reportaż o kulisach powstania i działalności giełdy kryptowalut (wcześniej nazywała się BitBay i Zonda). Od tego czasu media wielokrotnie wracały do tematu, informując o tajemniczym zaginięciu prezesa tej giełdy Sylwestra Suszka (według nieoficjalnych doniesień Suszek został zamordowany).

Radosław Piesiewicz miał w PKOl liczną grupę wiernych i wpływowych stronników, m.in. Andrzeja Suprona, Grzegorza Kotowicza i Cezarego Kuleszę.

Tak więc Radosław Piesiewicz doskonale wiedział, kogo ściąga do PKOl. Teraz udaje głupiego. Twierdzi, że o niczym nie miał pojęcia, a wszystkiemu winni są były minister sportu Sławomir Nitras, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i TVN. Za sprawą tego pierwszego spółki skarbu państwa wycofały się ze sponsorowania PKOl, ABW zaś nie ostrzegła Piesiewicza przed podpisaniem umowy z Zondacrypto, choć informował służbę specjalną o swoich planach. Natomiast winą TVN jest to, że miała reklamować giełdę kryptowalut i tym samym zapewniła jej wiarygodność (sic!).

Jacek Dobrzyński, rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych, szybko zdemaskował kłamstwa prezesa PKOl. Opublikował pismo Piesiewicza do ABW z prośbą „o przeprowadzenie szkolenia dla kierownictwa PKOl z zakresu ryzyk związanych ze współpracą z podmiotami zagranicznymi, w tym z działającymi poza obszarem Unii Europejskiej, a także oferującymi produkty i usługi niestandardowe". Nigdzie w cytowanym piśmie nie pada nazwa Zondacrypto, nie ma mowy o kryptowalutach, a poza tym giełda kryptowalut zarejestrowana jest na terenie Unii Europejskiej.

Mało tego! Bezczelny Piesiewicz przeszedł do kontrataku i oświadczył, że osobiście został oszukany przez Zondacrypto, bo zainwestował na giełdzie kryptowalut i stracił bardzo dużo pieniędzy. Stwierdził, że jeśli giełda upadnie, to pójdzie z roszczeniem najpierw do prokuratury, a potem do rządu. „Założę stowarzyszenie, które będzie walczyło o pieniądze stracone przez tych wszystkich, którzy tam wpłacili pieniądze, którzy dali się oszukać", odgrażał się prezes PKOl.

Dlaczego zamierza się domagać utraconych pieniędzy akurat od rządu? „Bo jeżeli miał informacje 11 miesięcy wcześniej, to powinien ostrzec wszystkich tych, którzy wpłacali pieniądze i tracili swoje oszczędności życia", odparł Piesiewicz, dodając, że ustawa o kryptowalutach i prezydenckie weto do niej nie mają z tym nic wspólnego, a winę ponosi rząd, czyli Donald Tusk.

Parcie na szkło i pieniądze

Apel działaczy o odwołanie Radosława Piesiewicza ze stołka prezesa

eprasa.pl 17e13b0521

Prezes PKOl na pokazie kolekcji olimpijskiej na XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie Mediolan--Cortina. 4 listopada 2025 r.

PKOl to już drugie takie podejście. W lutym 2025 r. 22 prezesów związków sportowych wezwało Piesiewicza do dymisji. „Sposób zarządzania komitetem przez Pana uderza w wizerunek PKOl i szeroko pojętego środowiska sportowego, co ma swoje konsekwencje finansowe. Wycofanie partnerów biznesowych to wyraz braku zaufania do Pańskich działań oraz wynik rozmieniania autorytetu PKOl na drobne poprzez działalność sprzeczną z Kartą Olimpijską. (...) PKOl, który ma ponad 100-letnią tradycję, za Pana rządów został sprowadzony do roli biura wątpliwej jakości promocji Pańskiej osoby", napisali działacze w liście.

Prezesi wskazali liczne nieprawidłowości, m.in. brak transparentności finansowej, opóźnianie wypłat premii medalistom olimpijskim, niejasność umów sponsorskich ze związkami sportowymi oraz nadużywanie stanowiska do celów autopromocji. Szczególnie bulwersujące opinię publiczną były zarobki Piesiewicza. Choć w czasie wyborów na prezesa PKOl deklarował, że podobnie jak jego poprzednicy nie będzie pobierał wynagrodzenia (używając sformułowania „chudej krowy się nie doi"), to okazało się, że dostawał gigantyczne pieniądze. W 2023 r. Piesiewicz zarobił ponad 381 tys. zł, a w 2024 r. ponad 427 tys. zł. Podobno były takie okresy, gdy prezes PKOl zarabiał miesięcznie 100 tys. zł. Obecnie jego miesięczna pensja wynosi ok. 60 tys. zł brutto.

Dociekliwi dziennikarze ujawnili też, że Piesiewicz wraz z rodziną korzystał kilkadziesiąt razy ze strefy VIP na lotnisku Chopina w Warszawie. Oczywiście taka ekskluzywna obsługa dodatkowo kosztuje, a prezes PKOl nie płacił ze swoich pieniędzy. Tymczasem polscy olimpijczycy nie mieli takich luksusów, byli odprawiani w zwykłej strefie i musieli sami odbierać swoje bagaże.

Żenujące były też reklamy przed igrzyskami olimpijskimi w Paryżu, na których obok wybitnych sportowców, takich jak Wilfredo León czy Iga Świątek, umieszczono uśmiechniętą facjatę Piesiewicza. A już szczytem był skrajny serwilizm wobec Andrzeja Dudy. Otóż Piesiewicz wpadł na pomysł, aby zarekomendować prezydenta na członka Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Wybuchł skandal, a nominacja ta miała się odbyć kosztem medalistki olimpijskiej Mai Włoszczowskiej.

Apel o odwołanie Radosława Piesiewicza podpisali w 2025 r. m.in.: Adam Małysz (Polski Związek Narciarski), Tomasz Chamera (Polski Związek Żeglarski), Sebastian Chmara (Polski Związek Lekkiej Atletyki), Sebastian Świderski (Polski Związek Piłki Siatkowej), Sławomir Szmal (Związek Piłki Ręcznej w Polsce), Dariusz Łukaszewski (Polski Związek Tenisowy), Marek Leśniewski (Polski Związek Kolarski), Grzegorz Nowaczek (Polski Związek Bokserski), Krzysztof Wiłkomirski (Polski Związek Judo) oraz Adam Korol (Polski Związek Towarzystw Wioślarskich).

Pieniądze, duże pieniądze

Jednak wtedy nie udało się zebrać wystarczającej liczby głosów członków związków sportowych i członków zarządu PKOl (to oni mogą zdecydować o odwołaniu prezesa PKOl). Piesiewicz miał w PKOl liczną grupę wiernych i wpływowych stronników. Między innymi Andrzeja Suprona (Polski Związek Zapaśniczy), Grzegorza Kotowicza (Polski Związek Kajakowy) i Cezarego Kuleszę (Polski Związek Piłki Nożnej). Teraz część prezesów zmieniła front. Przy Piesiewiczu pozostali tylko najwierniejsi,

eprasa.pl 17e13b0521

wśród nich Andrzej Supron. Były mistrz świata, mistrz Europy i srebrny medalista igrzysk olimpijskich w zapasach udzielił niedawno wywiadu portalowi Sport.pl. Oto jego fragment:

„Nie ukrywam, że sytuacja, jaka powstała wokół PKOl-u po igrzyskach olimpijskich w Paryżu w 2024 r., stała się nie do wytrzymania, nie do przyjęcia wręcz. Od tego czasu różnego rodzaju kalumnie padały na komitet i na prezesa Radosława Piesiewicza. Jak się okazało, niesłuszne. Łatwo obrzucić kogoś błotem, a potem co? Nie wystarczy powiedzieć »przepraszam«. Przecież tych złych wywiadów i artykułów na temat prezesa i PKOl-u było mnóstwo, a co się na koniec okazało? Że ci wszyscy ludzie nie mieli racji, bo po kontrolach nie było nie tylko żadnego oskarżenia, ale nawet nie postawiono żadnego zarzutu. Czyli wszystko okazało się taką narracją, która miała tylko zdyskredytować prezesa. Można się domyślać, dlaczego. To jest bardzo smutne, że kiedyś na czas igrzysk wstrzymywano wojny, a teraz wykorzystuje się igrzyska, żeby wszczynać wojny. Mówię o wojnach politycznych. A sport jest apolityczny, a przynajmniej taki powinien być. Niestety, w naszym kraju sport jest przez polityków w to wszystko wciągany”, stwierdził Supron.

Radosław Piesiewicz podczas uroczystości wręczenia odznaczeń państwowych medalistom igrzysk w Paryżu i ich trenerom w Pałacu Prezydenckim. 9 września 2024 r.

Szczytem był skrajny serwilizm wobec Andrzeja Dudy. Piesiewicz chciał zarekomendować prezydenta na członka MKOl.

Wywody legendy polskich zapasów są kuriozalne. Po pierwsze, jeśli ktoś uwikłał PKOl w wojnę polityczną, to jest to Radosław Piesiewicz, zaufany człowiek Jacka Sasina. To dzięki Sasinowi Piesiewicz w 2012 r. dostał posadę doradcy Ryszarda Madziara, burmistrza podwarszawskiego Wołomina. Nie wiadomo, czym się zajmował, ale w ciągu dwóch lat zarobił 170 tys. zł. Potem próbował sił w prywatnych biznesach – z marnym skutkiem. Natomiast dzięki powoływaniu się na wpływy w PiS i przyjaźń z Sasinem Piesiewicz został wiceprezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej, a potem prezesem Polskiej Ligi Koszykówki i Polskiego Związku Koszykówki. Choć z siatkówką, koszykówką ani w ogóle ze sportem nie miał wcześniej do czynienia.

Ale działacze sportowi wiedzieli, że bez państwowej kroplówki długo nie pociągną. Wybór na szefa PKOl stanowił ukoronowanie kariery Piesiewicza, który ponownie zastosował sprawdzoną taktykę. Działaczy zapewniał, że jeśli go wybiorą, dzięki wpływom w PiS zapewni deszcz pieniędzy ze spółek skarbu państwa. I tak się stało. Spółki przekazały PKOl prawie 70 mln zł, choć nie wiadomo, gdzie miliony się podziały, bo do związków trafiła tylko niewielka część tej kwoty.

Jeśli jesteśmy już przy Jacku Sasinie, warto wspomnieć, że żona Radosława Piesiewicza została doradcą zarządu państwowego banku Pekao. Pracy żadnej nie wykonywała, bo nie zna się na bankowości, ale w ciągu kilku miesięcy zainkasowała ponad 1 mln zł.

Andrzej Supron manipuluje, twierdząc, że po kontrolach Piesiewiczowi nie postawiono zarzutu. Stało się tak nie dlatego, że jest on kryształowy, tylko dlatego, że śledztwo prokuratorskie trwa. Piesiewicz, w czasie gdy był prezesem Polskiego Związku Koszykówki i Polskiej Ligi Koszykówki, oprócz tego, że otrzymywał sowite wynagrodzenie, miał zarejestrowaną jednoosobową działalność gospodarczą i wystawił organizacjom koszykarskim faktury VAT na kwotę ponad 9 mln zł za fikcyjne usługi, które dotyczyły „pośrednictwa handlowego”, z czego otrzymał ponad 7 mln zł. To pośrednictwo miało polegać na naganianiu państwowych sponsorów.

Czyli Piesiewicz wykorzystywał swoje znajomości z Jackiem Sasinem, bo przecież prezesi spółek (z politycznego nadania) nie mieli powodów, żeby wydawać pieniądze na sponsoring. Kolejny wątek dotyczy nadużycia uprawnień. Piesiewicz jako prezes PKOl podpisał umowy z wiceprezesami PKOl, którzy prowadzili własne firmy i za ponad 400 tys. zł mieli wykonywać usługi na rzecz PKOl.

Śledczy przyglądają się też spółce Olympic Sky, która powstała w 2023 r. z inicjatywy Piesiewicza.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl 17e13b0521

Prowadzi ona ekskluzywną restaurację o tej samej nazwie na ostatnim piętrze Centrum Olimpijskiego w Warszawie. W tym samym miejscu działała już restauracja, ale Piesiewicz wkrótce po tym, jak został prezesem PKOl, wypowiedział umowę najemcy. Właścicielami Olympic Sky są PKOl (70% udziałów) i przyjaciółka Piesiewicza Julita Słowikowska (30% udziałów). Bizneswoman była niegdyś dyrektorką biura PZKosz i menedżerką hotelu. Wyrzucenie poprzedniego właściciela restauracji, który płacił PKOl czynsz, wydaje się niedorzeczne. Piesiewicz wpompował w remont i wyposażenie lokalu ok. 1,5 mln zł, co można traktować jako działanie na szkodę PKOl, bo poniesione wydatki raczej nieprędko się zwrócą, a ceny w knajpie są horrendalne. Prokuratorzy nie tylko badają zasadność wydania pieniędzy na remont, ale też faktury wystawiane pomiędzy PKOl, Polskim Związkiem Koszykówki i Olympic Sky. Istnieje podejrzenie, że dokumenty były fikcyjne i doszło do wyłudzenia podatku VAT.

Inne wywody Andrzeja Suprona były nie tylko kłamliwe, ale i szokujące. Spółkę Zondacrypto nazwał „dużym, wiarygodnym sponsorem, a nie firmą na glinianych nogach", z kolei zaginięcie jej prezesa Sylwestra Suszka i przejęcie kontroli nad spółką przez Przemysława Krala określił jako „restrukturyzację" i „zmianę prezesa". Podpisanie umowy pomiędzy Zondacrypto a PKOl w Monako nie było wcale podejrzane, a prezes Kral chciał w ten sposób „podkreślić swoją pozycję". Wszystko funkcjonowało wspaniale, aż okazało się, że Zondacrypto wspierała w wyborach nie tę opcję, która wygrała, i zaczęła się nagonka. „A jak się zaczęła nagonka, to wyciągano już przeróżne rzeczy, np. takie, że nie wiadomo, co się dzieje z poprzednim prezesem, że nie wiadomo, czy on żyje, czy nie żyje, no i firma zaczęła mieć kłopoty", twierdził Andrzej Supron.

•

„Gdyby tylko prezes Piesiewicz miał odrobinę honoru, o co go nie podejrzewam, powinien podać się do dymisji. Bo to, do czego doprowadził, to jest absolutna katastrofa. (…) Piesiewicz doprowadził do dramatycznej sytuacji Polski Komitet Olimpijski. To jest instytucja, która przez dziesiątki lat pracowała na to, aby Polacy utożsamiali ją z miejscem, które jest prawdziwym domem polskiego sportu. A tak w tej chwili nie jest. To jest człowiek, który skompromitował tę instytucję. To jest największy zarzut, jeśli chodzi o Piesiewicza. On wykorzystał święty wizerunek sportowca do promocji Zondacrypto", mówił minister sportu Jakub Rutnicki w rozmowie z Moniką Olejnik w programie „Kropka nad i" w TVN 24.

Jednak Piesiewicz nie tylko nie zamierza składać broni, ale jeszcze chce umocnić swoją pozycję. Przygotował projekt zmian w statucie PKOl, którego przyjęcie zagwarantowałoby mu większą kontrolę nad komitetem olimpijskim, przedłużenie władzy i trudniejsze odwołanie. Zresztą obecne przepisy są do tego stopnia mętnie skonstruowane, że tak naprawdę nie do końca wiadomo, kto miałby odwołać Piesiewicza i jak powinna przebiegać taka procedura. Wszystko wskazuje na to, że nominat PiS dokończy swoją kadencję (kończy się w 2027 r.) i nadal będzie wykorzystywał zaszczytną funkcję do wzbogacania się, niejasnych interesów oraz ośmieszania PKOl.

Andrzej Sikorski

LIST

Po co nam Wojskowa Akademia Medyczna?

Klasycznie w różnych krajach uczelnie wojskowe rozwiązywały dwa problemy. Pierwszy to dostarczenie wojsku wykształconej kadry. Drugi to danie szansy rozwojowej zdolnym ludziom z gorzej uposażonych rodzin, które nie mogły im zapewnić edukacji, albo ze środowisk, z których trzeba było się wyrwać, aby móc się rozwinąć. Podobnie dawna Wojskowa Akademia Medyczna w Łodzi (a przed II wojną Centrum Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie) rozwiązywała te problemy w odniesieniu do zapewnienia wojsku kadry medycznej. A dzięki temu, że dawała „wikt i opierunek", kształciła wielu utalentowanych młodych ludzi, którzy inaczej nie mieliby możliwości zdobyć tego wykształcenia.

Można wprawdzie sobie wyobrazić zatrudnienie w wojsku lekarzy cywilnych, ale trzeba zauważyć, że obok funkcjonowania w wojsku struktur niemal nieodróżnialnych od cywilnych, takich jak szpitale i przychodnie, istnieją tu takie struktury jak dywizje, brygady i pułki, które w życiu cywilnym nie funkcjonują i które lekarz wojskowy musi umieć obsługiwać. Co więcej, są to struktury dynamiczne, które w razie działań bojowych muszą się często przemieszczać, zmieniać skład osobowy i organizację. Lekarz obsługujący ten świat musi go znać i być przygotowanym na to, żeby dostosowywać swoją działalność do szybko zmieniających się potrzeb. Jeżeli lekarz nie będzie umiał poruszać się w tym środowisku, to nie będzie w stanie wykorzystać swoich umiejętności czysto medycznych.

Ponadto tak jak zmienia się i rozwija cała medycyna, podobnie rozwijają się potrzeby i rozwiązania medycyny wojskowej: pojawiają się nowe urazy powodowane przez nowe rodzaje broni i muszą istnieć placówki naukowe, które wiedzę na ten temat wdrażają i rozwijają. Placówki, które monitorują rozwiązania z czynnych pól wojen, przejmują je i adaptują do potrzeb polskiego wojska.

Wreszcie od dawna wiadomo, że kształcenie kadr jest jednocześnie najlepszym kołem zamachowym wymuszającym także rozwój nauczycieli. To też argument za reaktywacją WAM.

Medycyna wojskowa to medycyna praktykowana w innych warunkach – polowych, gdzie pojawiają się problemy niewystępujące normalnie. Trudno np. stosować łatwopalne preparaty do znieczulenia w sytuacji, w której w każdej chwili może spaść bomba zapalająca i wypalić pacjenta od środka. Trudno zimą w temperaturze minus 20 st. podawać zamarzniętą kroplówkę itd. To jest jednak trochę inny świat i do tego, aby się z nim zmierzyć, też trzeba się przygotować. Co jako „sierota po WAM" poddaję pod rozwagę.

Prof. dr hab. med. Wiesław W. Jędrzejczak, płk w stanie spoczynku

eprasa.pl 17e13b0521

Tusk nie ufa Trumpowi, Kaczyński i Nawrocki wierzą mu całkowicie

Premier Donald Tusk, prezydent Emmanuel Macron, premier Keir Starmer i kanclerz Friedrich Merz na spotkaniu w sprawie Ukrainy podczas szczytu Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Tiranie, 16 maja 2025 r.

Robert Walenciak

Ameryka Trumpa czy Europa? Spór o polską politykę zagraniczną, który znów rozgorzał po wywiadzie Donalda Tuska dla „Financial Timesa", wykracza poza codzienną polityczną bijatykę.

Zacznijmy od Tuska. Powiedział w wywiadzie, że „największym i najważniejszym pytaniem dla Europy jest to, czy Stany Zjednoczone są gotowe być tak lojalne, jak opisano to w naszych traktatach". Tłumaczył: „Dla całej wschodniej flanki, moich sąsiadów... pytanie brzmi, czy NATO jest nadal organizacją gotową, zarówno politycznie, jak i logistycznie, do reagowania, np. przeciwko Rosji, gdyby ta próbowała zaatakować". I podkreślał: „To naprawdę poważna sprawa. Mam na myśli perspektywę krótkoterminową, raczej miesiące niż lata".

Zaznaczył przy tym, że Waszyngton traktuje Polskę jako jednego z najlepszych i najbliższych europejskich sojuszników. „Jednak kluczowe byłoby, jak zadziałałoby to w praktyce, gdyby »coś się wydarzyło«. Chciałbym wierzyć, że art. 5 NATO nadal obowiązuje, ale czasami, oczywiście, mam z tym pewne problemy", kontynuował, zastrzegając, że nie chce być zbytnim pesymistą, lecz dziś potrzeba też „praktycznego kontekstu".

Jakiego? Premier przypomniał przypadek wejścia w polską przestrzeń rosyjskich dronów. „Miałem pewne problemy tej wrześniowej nocy, kiedy doszło do tej dość poważnej prowokacji z użyciem dronów ze strony Rosjan. Nie było mi łatwo przekonać naszych partnerów z NATO, że nie był to przypadkowy incydent, lecz dobrze zaplanowana i przygotowana prowokacja".

Na te wypowiedzi zareagował Jarosław Kaczyński, pisząc na platformie X: „Kolejny raz Tusk dał się podpuścić i wykonał dyspozycje z Berlina, atakując Amerykanów i de facto podważając sens art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego, który gwarantuje wzajemną, sojuszniczą obronę. Tusk niszczy relacje polsko-amerykańskie, a w tym czasie Niemcy zacieśniają współpracę z Amerykanami nad koncepcją NATO 3.0".

Tuska zaatakował również Karol Nawrocki – domagając się informacji, czy Rosja zagraża Polsce w perspektywie najbliższych miesięcy…

By ten spór lepiej naświetlić dodajmy jeszcze jedną wypowiedź, tym razem prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Podczas rozmowy z premierem Grecji Kiriakosem Mitsotakisem wezwał Europę do odrodzenia się i odbudowy swoich wpływów. „Nie powinniśmy lekceważyć faktu, że to wyjątkowy moment, w którym prezydent USA, prezydent Rosji i prezydent Chin są zdecydowanie przeciwni Europejczykom", mówił.

Macron ma rację. Mamy nową rzeczywistość międzynarodową i musimy się do niej dostosować. Stany Zjednoczone Donalda Trumpa de facto zerwały solidarność transatlantycką. Polityka sojuszy została

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 17e13b0521

zastąpiona polityką transakcyjną. Trump nazywa NATO „papierowym tygrysem", nic nieznaczącym bez USA. Nie ukrywa rozczarowania tym, że Europa nie poparła go w wojnie z Iranem.

Warto zwrócić uwagę na komentarz Białego Domu po wywiadzie Tuska. Po pierwsze, pomija on sprawę art. 5. Po drugie, zawiera ciąg pretensji. „Prezydent Trump jasno wyraził rozczarowanie NATO i innymi sojusznikami. Stany Zjednoczone utrzymują w Europie tysiące żołnierzy – a jednak prośby o wykorzystanie baz wojskowych do obrony amerykańskich interesów zostały odrzucone", napisała rzeczniczka Białego Domu Anna Kelly. „Prezydent nigdy nie pozwoli, aby Stany Zjednoczone były niesprawiedliwie traktowane i wykorzystywane przez tzw. sojuszników".

Mamy więc świat, w którym istnieją ramy prawne Sojuszu Północnoatlantyckiego, ale są one w praktyce politycznej przez USA lekceważone. Donald Tusk o tym wspomniał – we wrześniu 2025 r., gdy rosyjskie drony wleciały na teren Polski, Trump udawał, że nie wie, o co chodzi. Najpierw długo milczał. A potem stwierdził, że „to mógł być błąd". Innymi słowy, odciął się od sprawy. Dlaczego? Czy nie dlatego, że nie chciał sobie psuć relacji z Moskwą?

W nowej strategii bezpieczeństwa narodowego Ameryka nie jest związana jakimiś szczególnymi więzami z Europą. Po prostu załatwia z nią swoje interesy. Chce Grenlandii, nie chce opodatkowania amerykańskich firm, domaga się, by Europa kupowała w Ameryce jak najwięcej gazu i uzbrojenia, chce traktować Europę jako wasala. A ponieważ Unia Europejska jako całość jest dla Ameryki zbyt silna, chce ją rozbić i skłócić, by dogadywać się z poszczególnymi państwami z pozycji siły. Podobne zamiary ma Rosja – też chce uzależnionej od siebie, słabej Europy kupującej surowce energetyczne. Swoje pretensje wobec Unii zgłaszają także Chiny.

W tej chwili toczy się więc gra o przyszłość Europy. O to, czy Unia Europejska wyjdzie z niej jako jeden ze światowych biegunów siły, czy jako wasal, podzielona na strefy wpływów Ameryki i Rosji jak po II wojnie światowej. Taka jest rzeczywistość i musimy na nią odpowiedzieć.

O tym mówił Macron. A w lutym, podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, Donald Tusk: „Słyszę czasem opinie, że Europa jest na skraju upadku, że NATO jest przestarzałe, że stary porządek świata nie powinien już istnieć, a teraz nadszedł czas na politykę transakcyjną i koncert wielkich mocarstw. Nonsens. Ci, którzy myślą, że wszystko można kupić, powinni również pamiętać, że zgodnie z tą filozofią każdego można sprzedać". Wyrażając w wywiadzie dla „Financial Timesa" swoje obawy dotyczące Stanów Zjednoczonych, Tusk nawiązywał do tamtych słów. Choć pewnie miał świadomość, że sprawy zaszły jeszcze dalej. Jego myślenie jest też oczywiście obarczone słabymi punktami: bo czy można wierzyć, że obronią nas Niemcy i Francja? Ale może tym razem uda się zbudować jedność? Bo przecież nikt tak nie jednoczy Europy jak Trump i Putin…

A Kaczyński i Nawrocki? Inaczej widzą świat? Inaczej widzą rolę Polski. PiS stawia pytanie zasadnicze: czy Polska jest w Europie, czy obok?

Dla Tuska Polska jest w Europie, jest członkiem Unii, jest związana z jej państwami tysiącami gospodarczych powiązań, historią, kulturą. Ale dla PiS Polska jest obok. Europa zaś to Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, kontynent kierowany przez Berlin. Co jest oczywistą nieprawdą, ale PiS w to wierzy.

Drugim filarem wiary PiS jest wiara w Amerykę, w jej prezydenta. Jak przez stulecia w polskiej mitosferze silna była wiara w szczególną opiekę Świętej Panienki, która raz nawet przegnała spod Warszawy bolszewików, tak teraz PiS kultywuje wiarę w Donalda Trumpa. W to, że zawsze nas obroni. Zrobi to zaś tym chętniej, im bardziej będziemy wobec Ameryki i jej prezydenta ulegli. W tej wierze w Trumpa jest też przekonanie, że jego przyjaźń można kupić. Jeżeli będziemy dużo kupować w USA – broni, elektrowni, gazu – to Ameryka będzie nas chroniła, tak jak się chroni darczyńcę.

Innym głębokim przekonaniem jest to, że jeśli będziemy realizować politykę Ameryki, to ona na takiego sojusznika będzie chętniej spoglądać. A jaką politykę mielibyśmy realizować? W obecnych realiach – politykę niszczenia Unii Europejskiej. To, co robił Viktor Orbán. Takiego sojusznika przecież nigdy Ameryka nie porzuci!

Jest też przeświadczenie, choć raczej ograniczone do kręgu najbardziej łatwowiernych, że Trump lubi Karola Nawrockiego, więc nie wpędzi Polski w kłopoty.

Cóż… Wiara w Trumpa jest naiwna i przegrywa w zderzeniu z realiami. Kraje Zatoki Perskiej takim właśnie sojusznikiem USA były – pompowały miliardy dolarów w amerykański sprzęt wojskowy, popierały amerykańską politykę, zasilały Trumpa i jego najbliższych miliardami dolarów. Okazało się, że był to średni interes, bo Trump, zupełnie się z nimi nie licząc, rozpoczął wojnę z Iranem. Dziś Emiraty, Katar i częściowo Arabia Saudyjska wpadły w gospodarczą katastrofę – inwestorzy uciekają, płoną instalacje gazowe, cieśnina Ormuz zakorkowana...

A wiara, że za miliardy będziemy kupować przychylność Trumpa? Władimir Putin proponuje Ameryce wspólne kontrakty na sumę… 14 bln dol. Nie mamy szans go przebić.

Tusk, pomny takich scen jak ta w Białym Domu, gdy besztany był Wołodymyr Zełenski, gdy wołano do niego: „Nie masz kart!", ma prawo zakładać, że i Polska może być tak traktowana. Że usłyszy: dogadajcie się sami z Władimirem, my nie będziemy się wtrącać, mamy przecież ważne interesy.

Dorzućmy do tego historię – pamięć Jałty…

•

W wywiadzie Tuska uderza przekonanie, że najlepiej byłoby, gdyby wszystko wróciło w stare koleiny – żeby Europa się uzbroiła, zbudowała siłę, ale by Ameryka nie opuszczała naszego kontynentu. Jako gwarant bezpieczeństwa i wewnątrzeuropejskiej równowagi. Tusk mówił o tym jak o swoim marzeniu. Słusznie użył tego słowa. Bo przy Trumpie i jego ludziach taki plan poza sferę marzeń raczej wyjść nie może.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 17e13b0521

Marek Czarkowski

Nielegalne wpływy

Szara strefa prawa z politykami prawicy w tle

Premier Donald Tusk na konferencji prasowej, która odbyła się 7 kwietnia, powołując się na ustalenia Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, poinformował, że założona przez Zbigniewa Ziobrę Fundacja Instytut Polski Suwerennej otrzymała od Przemysława Krala, prezesa giełdy kryptowalut Zondacrypto, 450 tys. zł. Część tych środków miała zostać przeznaczona na adwokatów reprezentujących Dariusza Mateckiego oraz ks. Michała Olszewskiego.

Z kolei powiązana z Kralem czeska spółka Expofér Servis House (w niektórych źródłach występuje jako Expo Fair Service House – przyp. M.C.) przekazała 70 tys. euro Fundacji Dobry Rząd powiązanej z posłem Przemysławem Wiplerem. Donald Tusk sugerował, że istnieje związek między przekazanymi środkami a negatywnym stosunkiem PiS i Konfederacji do rządowych projektów ustaw mających na celu poddanie rynku kryptowalut w Polsce kontroli.

Zarówno ziobryści, jak i konfederaci zaprzeczyli. Przy tej okazji na Wiejską wrócił temat lobbingu.

Na początku był „grabbing"

Pod koniec grudnia 1997 r. rząd premiera Jerzego Buzka wprowadził całkowity zakaz importu żelatyny. Oficjalnie w trosce o zdrowie społeczeństwa, gdyż na Zachodzie stada bydła dziesiątkowała choroba szalonych krów. Sprawą zainteresowały się media, ponieważ zakaz objął także żelatynę wieprzową, a o chorobie szalonych świń nikt nie słyszał.

Okazało się, że zakaz importu gwarantował ogromne zyski Kazimierzowi Grabkowi, biznesmenowi nazywanemu „królem żelatyny", bo – jak sugerowali dziennikarze – dzięki koneksjom politycznym potrafił on forsować korzystne rozwiązania prawne, które zapewniały jego zakładom monopol sprzedażowy na krajowym rynku. Jego sposób działania nazwano „grabbingiem". To była pierwsza wielka afera lobbingowa w Polsce. W konsekwencji burzy medialnej rząd cofnął zakaz importu żelatyny wieprzowej i obniżył cła, a Grabkiem zainteresowała się prokuratura.

O wiele większy rozgłos zyskała tzw. afera Rywina z 2002 r. Producent filmowy Lew Rywin zażądał od redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" Adama Michnika „prowizji" w wysokości 17,5 mln dol. w zamian za korzystne zapisy w ustawie o radiofonii i telewizji, które pozwoliłyby spółce Agora na przejęcie jednej ze stacji telewizyjnych. Mówiło się wtedy, że Agora prowadzi rozmowy z Zygmuntem Solorzem o przejęciu Polsatu, a Rywin miał jakoby układ z „grupą trzymającą władzę" i gwarantował, że wszystko „pójdzie gładko". Afera Rywina doprowadziła do osłabienia rządu Leszka Millera i SLD, a w konsekwencji do utraty znaczenia lewicy.

Pod wpływem obu afer 7 lipca 2005 r. Sejm przyjął ustawę, która miała uregulować działalność lobbingową w procesie stanowienia prawa. W życie weszła 7 marca 2006 r. I niczego nie zmieniła.

Jak zwracają uwagę autorzy licznych opracowań, poczynając od Fundacji Frank Bold, poprzez Klub Jagielloński, na powołanej w 1999 r. przez Radę Europy organizacji Group of States against Corruption (Grupa Państw przeciwko Korupcji) kończąc, nielegalny lobbing w Polsce ma się dobrze. W praktyce od lat prowadzony jest nieformalnie przy wykorzystaniu powiązań między parlamentarzystami a przedsiębiorcami bądź reprezentującymi ich osobami.

Eksperci Fundacji Frank Bold, analizując dane o zawodowym lobbingu (a więc legalnej i zarobkowej działalności prowadzonej na rzecz osób trzecich, której celem jest wywieranie wpływu na organy władzy publicznej w procesie stanowienia prawa – przyp. red.) w Sejmie, zauważyli, że w latach 2006-2016 na Wiejskiej pojawiło się 196 zawodowych lobbystów reprezentujących 108 różnych podmiotów. W tym czasie zgłosili oni zaledwie sześć propozycji zmian w prawie, co wskazuje, że oficjalny, zarejestrowany lobbing nie odzwierciedla realnej skali wpływów.

7 lipca 2005 r. Sejm przyjął ustawę, która miała uregulować działalność lobbingową w procesie stanowienia prawa. W życie weszła 7 marca 2006 r. i niczego nie zmieniła.

Marta Wenclewska, autorka raportu „Fikcja jawności. Działalność lobbingowa w Sejmie RP w latach 2006-2019" przygotowanego przez Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, ocenia, że „liczba zarejestrowanych lobbystów w Sejmie stanowi najprawdopodobniej niewielki procent faktycznie lobbujących". Do podobnych wniosków doszli autorzy raportu przygotowanego przez Grupę Państw przeciwko Korupcji. Uznali, że lobbing w polskim Sejmie odbywa się w sposób nieprzejrzysty, co stwarza ryzyko korupcji.

Nad Wisłą najaktywniej lobbują fundacje, stowarzyszenia i organizacje społeczne, za nimi idą organizacje branżowe i izby gospodarcze, związki pracodawców, związki zawodowe

eprasa.pl 17e13b0521

Najbardziej znaną rzeczniczką hodowców zwierząt futerkowych była Ewa Zajączkowska-Hernik, pracująca jako dziennikarka portalu Światrolnika.info należącego do fundacji biznesmena z branży futrzarskiej Szczepana Wójcika.

i samorządowcy. Nie podlegają przy tym pod ustawę lobbingową z roku 2005, więc nie muszą się rejestrować. Ich modus operandi polega na bezpośrednim docieraniu do uszu polityków.

Klasycznym przykładem może być ustawa zakazująca hodowli zwierząt na futra. Branża futrzarska skutecznie blokowała ją przez 14 lat, aż do ostatecznego uchwalenia zakazu w październiku 2025 r. W tym czasie przedstawiono siedem różnych projektów ustaw, z których żaden nie został przyjęty przez Sejm. Według organizacji Otwarte Klatki zakaz hodowli zwierząt na futra nie leżał w interesie niektórych działaczy Platformy Obywatelskiej, mających udziały w hodowlach.

Najbardziej znaną rzeczniczką hodowców zwierząt futerkowych była jednak obecna eurodeputowana startująca z listy Konfederacji, Ewa Zajączkowska-Hernik, która pracowała jako dziennikarka portalu Światrolnika.info należącego do Fundacji Polska Ziemia. Prezesem fuundacji był biznesmen z branży futrzarskiej Szczepan Wójcik. W mediach okrzyknięto Zajączkowską-Hernik „Ewą od futer", co bardzo jej się spodobało. Mówiła, że „patrzy na ręce ekoaktywistom i animalsom".

Przed lobbingiem hodowców zwierząt futerkowych ugiął się nawet znany miłośnik zwierząt Jarosław Kaczyński, gdy okazało się, że Szczepan Wójcik, hodowca i milioner, zyskał w tej sprawie – bynajmniej nie modlitewne – wsparcie o. dyrektora Tadeusza Rydzyka.

Lobbyści byli i są bardzo aktywni w sektorze zamówień wojskowych. W tym środowisku do dziś krążą opowieści o Mieczysławie (Menachemie) Bullu, który nad Wisłą reprezentował interesy izraelskiego koncernu zbrojeniowego Rafael. Głośno zrobiło się o nim w maju 2013 r., gdy ówczesny wiceminister obrony narodowej gen. Waldemar Skrzypczak, odpowiedzialny za uzbrojenie armii, złożył doniesienie do Służby Kontrwywiadu Wojskowego, oskarżając Bulla o szantaż. Według generała w kwietniu 2013 r. Bull miał mu grozić, że „go zniszczy", jeśli nie wesprze zakupu produkowanych przez koncern Rafael bezzałogowych wież do transporterów opancerzonych Rosomak. Bull zaprzeczył oskarżeniom, określając je jako „oczywiste kłamstwo" i twierdząc, że był przyjacielem generała.

Skrzypczak podał się do dymisji 28 listopada 2013 r. Powodem rezygnacji było złożone przez kontrwywiad wojskowy w kwietniu 2013 r. doniesienie o możliwości popełnienia przez niego przestępstwa! Przypadek? Nie sądzę.

Ostatnio w mediach głośno jest o Mateuszu Sarosieku, zastępcy dyrektora Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON z czasów, gdy ministrem obrony narodowej był Mariusz Błaszczak. 16 września 2022 r. zawarliśmy z firmą Korean Aerospace Industries (KAI) dwie umowy na dostawy samolotów FA-50 – to taka uboga wersja myśliwca F-16. W pierwszej dostawie, wartej 705 mln dol., miało być 12 maszyn. Druga, za kwotę 2,3 mld dol., przewidywała dostarczenie 36 sztuk w wersji FA-50PL, bardziej zaawansowanej, dostosowanej do wymagań Sił Powietrznych RP. Umowa okazała się wyjątkowo korzystna

FOT. JACEK SŁOMION/REPORTER

eprasa.pl 17e13b0521

dla… Koreańczyków. Na przykład nie zapewniliśmy sobie własnych możliwości serwisowania tych samolotów w Polsce. Każda naprawa wymagała dostarczenia sprzętu do Korei. Poza tym dziś F-50 nie mają zaawansowanego uzbrojenia, gdyż zdecydowano, że jego zakupy zostaną przeprowadzone później. Sprawa jest w toku. Dlatego obecnie wartość bojowa tych samolotów pozostaje, delikatnie mówiąc, niezbyt wielka.

Dlaczego na to się zgodzono? Cóż, ekipa ministra Błaszczaka musiała „mieć sukces", a poza tym – jak się sugeruje – bezpośrednio o interesy Koreańczyków miał dbać wspomniany Mateusz Sarosiek, posiadacz polskiego i amerykańskiego obywatelstwa. Tu przypomina się, jak to za czasów ministra Macierewicza zerwano kontrakt o wartości 13,3 mld zł na zakup 50 śmigłowców wielozadaniowych H225M Caracal. W kwietniu 2017 r. posiadający obywatelstwo amerykańskie członek osławionej podkomisji smoleńskiej Wacław Berczyński powiedział Magdalenie Rigamonti w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej": „Nie wiem, czy pani wie, ale to ja wykończyłem Caracale". Co sugeruje, że pan Wacław okazał się niezwykle skutecznym lobbystą amerykańskich interesów. W grudniu 2021 r. skarb państwa zawarł ugodę z koncernem Airbus Helicopters i zapłacił mu 80 mln zł za zerwanie negocjacji.

Długo można przytaczać podobne przykłady. Zwłaszcza w takich dziedzinach jak farmacja, energetyka, branża paliwowa i rolnictwo.

Wipler i inni

Obecny poseł Konfederacji Przemysław Wipler w debacie publicznej od lat funkcjonuje jako postać ze świata public affairs, reprezentująca interesy różnych podmiotów gospodarczych. Jeśli wierzyć mediom, w środowisku biznesowym uchodzi za sprawnego pośrednika między salą sejmową a gabinetami różnych firm i organizacji. Z dostępnych informacji nie wynika jednak, by kiedykolwiek postawiono mu zarzuty karne związane z lobbingiem. Owszem, przed stołecznym sądem przeciwko Wiplerowi toczy się sprawa o przywłaszczenie w latach 2014-2017 pieniędzy z Fundacji Wolność i Nadzieja. Grozi mu do pięciu lat pozbawienia wolności. Akt oskarżenia był gotowy już ok. 2020 r. Od tego czasu minęło sześć lat. I wydaje się, że prokuraturze będzie trudno doprowadzić do skazania posła. Świadkowie zgodnie utrzymują, że nic nie wiedzieli o tym, by Wipler defraudował środki fundacji. Ewentualne nieprawidłowości tłumaczą jego... roztargnieniem. Były asystent społeczny zeznał, że to człowiek skrajnie niezorganizowany, który zostawiał komputery w toaletach i gubił legitymacje poselskie.

Należy odnotować fakt, że na Wiplerze ciąży tylko jeden wyrok skazujący – w czerwcu 2016 r. dostał sześć miesięcy więzienia, w zawieszeniu na dwa lata, za naruszenie nietykalności cielesnej i znieważenie policjantów podczas incydentu przed jednym z warszawskich klubów nocnych w październiku 2013 r.

Podobną drogą, choć bez konfliktów z prawem, kroczył były rzecznik prasowy PiS Adam Hofman, który pożegnał się z polityką po tzw. incydencie madryckim, czyli wyjeździe do stolicy Hiszpanii wraz z posłami Mariuszem Antonim Kamińskim i Adamem Rogackim. Panowie wzięli z sejmowej kasy kilkanaście tysięcy złotych zaliczki na służbową podróż samochodem, ale do Madrytu udali się z żonami tanimi liniami lotniczymi. W trakcie powrotu na pokładzie samolotu doszło do incydentu z ich udziałem. Gdy informacja przeciekła do mediów – wybuchł skandal. W listopadzie 2014 r. Komitet Polityczny PiS jednogłośnie wykluczył ich z partii.

W lipcu 2015 r. Adam Hofman wspólnie z byłym rzecznikiem komendanta głównego policji Mariuszem Sokołowskim oraz Michałem Wiórkiewiczem, byłym asystentem premierów Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, założyli spółkę R4S Consulting. Oferowała usługi w zakresie public relations, public affairs, relacji z mediami, miękkiego lobbingu i komunikacji kryzysowej dla biznesu, w tym spółek skarbu państwa. W 2019 r. przychody R4S Consulting wyniosły 7,87 mln zł, a od stycznia 2020 r. do kwietnia 2021 r. – 16,57 mln. Wśród jej klientów były Grupa Azoty, IKEA, milioner Leszek Czarnecki i Coca-Cola. W czerwcu 2021 r. do siedziby R4S weszli funkcjonariusze CBA w związku ze śledztwem dotyczącym umów z Grupą Azoty. W październiku 2021 r. agencja została podzielona na dwie spółki, a Adam Hofman założył nową firmę, Butterfly Strategies, w której trudzi się do dziś.

Długo można pisać o takich postaciach jak Marek Matraszek, Marek Dochnal, Marek Wójcik, Sławomir Witek czy Marek Nowakowski, którzy zaznaczyli swoją obecność w sferze public affairs. To temat niewyczerpany.

Jeśli narzekamy na nieprzejrzystość w procesie stanowienia prawa, jeśli martwi nas ustawianie przetargów, to pamiętajmy: dopóki „drzwi obrotowe" między polityką a biznesem będą się kręcić, a zakładane przez polityków fundacje będą mogły przyjmować darowizny od podmiotów zainteresowanych korzystnymi dla nich rozwiązaniami prawnymi – na wiele nie liczmy. Zwłaszcza gdy politycy natychmiast po zakończeniu kariery zaczynają się zajmować świadczeniem usług na rzecz tych, którzy dobrze płacą – lobbing pozostanie nieuchwytny, a my zawsze będziemy mieli powody, by nie ufać rządzącym i kwestionować proces stanowienia prawa.

Marek Czarkowski

Jak zwracają uwagę autorzy opracowań z Fundacji Frank Bold, Klubu Jagiellońskiego czy Group of States against Corruption, nielegalny lobbing w Polsce ma się dobrze.

eprasa.pl 17e13b0521

CPK
Chroniczne Pomniejszanie Kosztów

Miało być „dobrowolnie” i „na korzystnych warunkach”, a coraz częściej mówi się o krzywdzie mieszkańców

Kornel Wawrzyniak

WRACAMY DO TEMATU

CPK
...nie Polityczne Kłamstwa

Mieszkańcy terenów wywłaszczanych pod budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego alarmują, że wyceny odszkodowań są zaniżane. Sprawę opisywaliśmy już w czerwcu ub.r., w nr. 24 („CPK. Codziennie Polityczne Kłamstwa”). Wspomniany wtedy Program Dobrowolnych Nabyć (PDN) jest obecnie zamknięty, wywłaszczenia jednak trwają. Niezależność rzeczoznawców budzi zaś wątpliwości.

Sołtys objętej inwestycją wsi Skrzelewo, Kamil Szymańczak, zwraca uwagę, że do dziś dla niektórych nieruchomości nie ustalono odszkodowania. W gminie panuje zamieszanie. Szymańczak mówi „Przeglądowi”, że mimo ogłoszonego przez CPK zamknięcia PDN wciąż pojawiały się sygnały o działaniach przypominających jego kontynuację: – Gdy patrzymy na daty aktów notarialnych, okazuje się, że chociaż program był już zamknięty i CPK nie chciał negocjować z niektórymi właścicielami, to podpisywano kolejne akty notarialne, z innymi, wybranymi.

Proponowane sumy są nieadekwatne do realnych kosztów odbudowy życia w nowym miejscu. Jako przykład Kamil Szymańczak podaje wycenę domu o powierzchni 240 m kw. na 900 tys. zł. Tymczasem postawienie takiego domu to koszt ok. 1,8 mln zł. Odpowiadając na zarzuty, spółka CPK podkreśla, że zaliczki na poczet odszkodowań są wypłacane szybko i w wysokości 85% kwoty ustalonej przez organ administracyjny.

Według sołtysa Skrzelewa problem leży gdzie indziej: istnieje cały system zaniżania wycen. – Trudno określić skalę niedoszacowania odszkodowań. Z punktu widzenia mieszkańców mechanizm niekorzystnego wyceniania jest powtarzalny. Po pierwsze, w większości przypadków rzekomo niezależni rzeczoznawcy, którzy mają zapewnić sprawiedliwą wycenę, pracują często wyłącznie dla instytucji publicznych. A jak wiadomo, pies nie gryzie ręki, która go karmi. Po drugie, pytania budzi osobliwa powtarzalność sporządzanych operatów. Różni rzeczoznawcy wybierają dziwnym trafem, z tysięcy przypadków, 14 tych samych transakcji dla porównania wszystkich działek do wywłaszczenia – okazuje się, że według nich tysiące różnych działek zawsze jest podobnych do dokładnie tych samych 14 transakcji CPK. Po trzecie, kiedy wojewoda już wydaje wstępną decyzję ustalającą odszkodowanie, można być właściwie pewnym, że spółka odpowiedzialna za budowę CPK złoży od niej odwołanie i oprotestuje jako zbyt wysoką. To wszystko składa się na systemowe zaniżanie wypłat – zauważa Kamil Szymańczak.

Jego zdaniem trudno rzetelnie wycenić ziemię pod lotnisko tej skali, bo na polskim rynku brakuje punktów odniesienia. Sołtys podkreśla też, że przeniesienie gospodarstwa, w tym całej infrastruktury, generuje dodatkowe koszty, które spadają na mieszkańców. Takie przenosiny mogą kosztować kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Odtworzenie gospodarstw jest nierealne nie tylko ze względu na zbyt małe odszkodowania, ważny jest też rodzaj gleby. – Takich gruntów nie da się odtworzyć. To specyficzne, nisko położone tereny pobagienne, z wodą w podglebiu. Takich gleb jest w Polsce bardzo mało. Budowanie CPK w tym miejscu jest dla mnie niezrozumiałe z powodów geotechnicznych, bo to teren bardzo podmokły, który będzie wymagał dodatkowych nakładów na posadowienie infrastruktury. Najwidoczniej Stanisław Bareja miał rację: nie chodzi o to, żeby było jak najtaniej. Chodzi o to, żeby „miś sobie gnił”.

O wywłaszczeniach pisaliśmy we wspomnianym tekście w zeszłym roku. Kiedy temat trafił do innych mediów, m.in. Onetu, spółka CPK wystąpiła o sprostowanie, tyle że do redakcji, która tekst jedynie przedrukowała. Albo prawo prasowe jest dla CPK wiedzą tajemną, albo dział komunikacji nie umie sprawdzić adresata. Kuriozalność sytuacji potęgowało to, że „błędne” dane, których dotyczyło żądanie, pochodziły wprost z komunikatu prasowego samej spółki i były nieaktualne wyłącznie z jej winy. To zamieszanie wyglądało na klasyczne PR-owe *damage control* – próbę przykrycia sedna problemu: kwot oferowanych w ramach PDN, które nie pozwalały na odtworzenie porównywalnego gospodarstwa w innym miejscu. W swoim „sprostowaniu” spółka CPK zapewniała m.in., że wyceny są zawsze indywidualne i sporządzane przez niezależnych rzeczoznawców. A właśnie z tym mieszkańcy mają dziś największy problem.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 17e13b0521

Andrzej Olechowski – obsesja polskiej prawicy

Był patriotą każdej Polski, w której przyszło mu żyć: zarówno PRL, jak i III RP

Paweł Siergiejczyk

Czy III Rzeczpospolita musiała zostać zdominowana przez bezrozumną, radykalną prawicę? Warto zadać sobie to pytanie, wspominając postać zmarłego 25 kwietnia Andrzeja Olechowskiego – polityka, który odegrał pewną rolę w początkach naszej demokracji, ale gdyby odegrał większą, być może losy kraju potoczyłyby się inaczej.

Urodzony dwa lata po wojnie, należał do pokolenia, które kształciło się w siermiężnej Polsce Gomułki, ale w dorosłe życie wchodziło już w Polsce Gierka, a więc otwartej na świat i pragnącej być jak najbliżej Zachodu. Absolwent warszawskiej SGPiS, który zrobił doktorat na temat eksportu krajów europejskich, był idealnym kandydatem do elity, która miała reprezentować PRL w międzynarodowych strukturach gospodarczych. Nic dziwnego, że zaraz po ukończeniu studiów w 1973 r. podjął pracę w sekretariacie agendy ONZ ds. handlu i rozwoju w Genewie, a później, już w latach 80., trafił do Banku Światowego.

Po powrocie do kraju w 1987 r. znalazł miejsce w NBP, którym kierował wówczas wybitny ekonomista, prof. Władysław Baka. Olechowski został doradcą prezesa banku, następnie szefem biura ds. współpracy z Bankiem Światowym, a pod koniec 1989 r. objął funkcję pierwszego wiceprezesa banku centralnego. Warto dodać, że kilka miesięcy wcześniej miał udział w tworzeniu porozumień Okrągłego Stołu jako członek zespołu ds. gospodarki i polityki społecznej po stronie rządowo-koalicyjnej, którym kierował właśnie prof. Baka. Obok Olechowskiego ówczesną władzę reprezentowali tam inni młodzi, obiecujący ekonomiści, m.in. Grzegorz W. Kołodko i Marcin Święcicki.

Wraz z odejściem prezesa Baki z NBP na początku 1991 r. Olechowski przeniósł się na stanowisko wiceministra w resorcie współpracy gospodarczej z zagranicą (zresztą już za rządu Mieczysława Rakowskiego był tam dyrektorem departamentu). To tylko pokazuje, że w trudnych latach transformacji ustrojowej nie liczyły się jeszcze afiliacje polityczne ani obsesje tropicielskie, lecz fachowość i kontakty międzynarodowe, których Olechowskiemu nikt nie mógł odmówić. Dotyczyło to również najważniejszych polityków strony solidarnościowej, łącznie z prezydentem Wałęsą, który w lutym 1992 r. podsunął premierowi Olszewskiemu kandydaturę Olechowskiego na stanowisko ministra finansów – w sytuacji, gdy poprzedni podał się do dymisji, a stan budżetu państwa nadal był katastrofalny i żaden ekonomista nie palił się do objęcia tej funkcji.

Lista agentów

Ministrem Olechowski był jednak krótko, bo współpraca z prawicowym rządem i skłóconym Sejmem okazała się ponad jego siły. Gdy gabinet Olszewskiego upadał 4 czerwca 1992 r., minister finansów był już od miesiąca w stanie dymisji, lecz to nie przeszkadzało w umieszczeniu go na „liście agentów SB" przygotowanej przez szefa MSW Antoniego Macierewicza. O ile jednak wiele osób znalazło się na niej bezpodstawnie, to Olechowski od tej pory nigdy nie zaprzeczał, że w okresie pracy w instytucjach międzynarodowych współpracował z wywiadem PRL (I Departamentem MSW), a jego oficerem prowadzącym w Genewie był Gromosław Czempiński, który później został szefem Urzędu Ochrony Państwa (w latach 1993-1996).

Nic dziwnego, że lustracyjna akcja Macierewicza połączyła Olechowskiego z Wałęsą, przeciw któremu była skierowana w pierwszej kolejności. Po odejściu z rządu były minister został doradcą prezydenta ds. ekonomicznych, a gdy wiosną 1993 r. Wałęsa rozwiązał Sejm i rozpisał przedterminowe wybory, Olechowski stanął na czele Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform, czyli wałęsowskiej wersji przedwojennego BBWR, a nawet został kandydatem tego ugrupowania na premiera. We wrześniowych wyborach BBWR nie odniósł jednak sukcesu, zdobywając 5,4% głosów. Nowy rząd utworzyła koalicja SLD-PSL, jednak Wałęsa miał wówczas prawo obsadzać tzw. resorty prezydenckie (MSZ, MSW i MON), dzięki czemu szefem dyplomacji w gabinecie Waldemara Pawlaka został właśnie Andrzej Olechowski.

Po roku coraz trudniejszej współpracy z premierem i tu złożył rezygnację, której bezpośrednim powodem było umieszczenie go na liście urzędników państwowych zasiadających w radach nadzorczych spółek, którą sporządził minister sprawiedliwości Włodzimierz Cimoszewicz w ramach akcji „czyste ręce". Szef MSZ pełnił bowiem przez wiele lat funkcję przewodniczącego rady nadzorczej Banku Handlowego,

eprasa.pl 17e13b0521

Andrzej Olechowski 1947-2026

gdzie blisko współpracował z jego wieloletnim prezesem Cezarym Stypułkowskim.

Po odwołaniu ekipy Pawlaka Olechowski zakończył karierę rządową i spróbował zaistnieć na scenie politycznej, w tamtym czasie dalekiej od stabilności. Wiosną 1995 r. z dawnym działaczem opozycji, publicystą i architektem Czesławem Bieleckim utworzyli Ruch Stu, który miał być elitarną partią konserwatywno-liberalną. Gdy jednak wybory prezydenckie przegrał Wałęsa (którego Olechowski wspierał), a prawicę zaczął jednoczyć lider Solidarności Marian Krzaklewski, były minister znów poszedł własną drogą: podczas gdy Bielecki i większość działaczy Ruchu Stu (m.in. późniejszy poseł Paweł Graś i senator Krzysztof Piesiewicz) ochoczo przystąpili do Akcji Wyborczej Solidarność, Olechowski zerwał z tym ugrupowaniem i w kampanii wyborczej z 1997 r. poparł Unię Wolności pod wodzą Leszka Balcerowicza.

Kandydat na prezydenta

Najważniejszym momentem w karierze politycznej Olechowskiego okazały się jednak następne wybory prezydenckie. Co prawda, w 2000 r. walczący o reelekcję Aleksander Kwaśniewski nie miał równych sobie rywali, ale do końca nie było jasne, czy wybory rozstrzygną się w jednej turze, czy tradycyjnie w dwóch. Gdyby Kwaśniewski (który wygrał już w pierwszej turze większością 54% głosów) musiał stanąć do drugiej tury, jego rywalem byłby właśnie Olechowski, który zajął drugie miejsce z wynikiem 17,3% głosów, a nie lider AWS Krzaklewski z zaledwie 15,5%. Tamte wybory okazały się nie tylko początkiem końca rządzącej prawicy, ale też zapowiedzią zasadniczej rekonfiguracji sceny politycznej po pierwszej dekadzie III RP.

3 mln głosów, które zdobył Olechowski w 2000 r., stanowiły jego niewątpliwy sukces osobisty. Startował jako „kandydat obywatelski", którego nie poparła żadna partia – nawet Unia Wolności, bo ona wtedy zdecydowała się nie popierać nikogo. Ale w jego kampanię włączyło się wielu działaczy UW, podobnie jak ludzi z innych środowisk postsolidarnościowych, niemających ochoty popierać klerykalnego antykomunisty Krzaklewskiego, za którym agitowało Radio Maryja. Warto zresztą wspomnieć, że kandydaturę Olechowskiego jako pierwsza wysunęła grupa intelektualistów związanych z „Tygodnikiem Powszechnym", m.in. Krzysztof Kozłowski, Józefa Hennelowa, Czesław Miłosz, Jan Józef Szczepański, ale też prof. Andrzej Zoll czy prof. Zbigniew Religa.

Nic dziwnego, że świetny wynik bezpartyjnego kandydata szybko skusił innych polityków do współpracy z Olechowskim. Już w styczniu 2001 r. ogłoszono powstanie nowej inicjatywy, tworzonej przez „trzech tenorów": Andrzeja Olechowskiego, marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego, który właśnie zrywał z AWS, i Donalda Tuska, który kilka tygodni wcześniej przegrał z Bronisławem Geremkiem rywalizację o przywództwo w Unii Wolności po Balcerowiczu. W ten sposób powstała Platforma Obywatelska, która jednak szybko ze spontanicznego „pospolitego ruszenia" środowisk liberalnych i konserwatywnych stała się zdyscyplinowaną partią pod wodzą Tuska. Jako pierwszy odszedł z niej Płażyński, który z czasem znalazł się w orbicie PiS (zginął w katastrofie smoleńskiej).

Nieco dłużej w PO wytrzymał Olechowski, ale był coraz bardziej marginalizowany, zwłaszcza że nigdy nie zdecydował się kandydować do parlamentu – interesowała go wyłącznie władza wykonawcza. Tej jednak nie miał szans uzyskać nawet na poziomie lokalnym, co dobitnie potwierdziły pierwsze powszechne wybory na włodarzy miast i gmin w 2002 r. (był to zresztą pomysł posłów Platformy, niestety poparty przez inne

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 17e13b0521

partie i utrzymany do dziś). Olechowski kandydował wtedy na prezydenta Warszawy i przegrał nie tylko z Lechem Kaczyńskim, ale i z kandydatem SLD Markiem Balickim. Trzecie miejsce i 13-procentowy wynik kandydata PO w stolicy to coś z dzisiejszej perspektywy niewyobrażalnego, ale wtedy – gdy między PiS a Platformą nie było większych różnic – okazało się możliwe i stanowiło raczej osobistą porażkę polityka, z którym wiązano tak duże nadzieje.

Poza Platformą

Olechowski formalnie pozostał w Platformie do 2009 r., lecz coraz mniej go łączyło z wodzowskim stylem polityki narzuconym przez Tuska. Przez jakiś czas był nawet przewodniczącym rady programowej PO, ale w 2004 r. sam się zmarginalizował, zdecydowanie sprzeciwiając się skręcaniu partii w prawo, zwłaszcza w kwestii polityki europejskiej, co spowodowało jego konflikt z Janem Rokitą, któremu Tusk obiecywał fotel premiera przyszłego rządu koalicji PO-PiS. Ostatnią próbę zaistnienia w polityce Olechowski podjął w 2010 r., startując po raz drugi w wyborach na prezydenta RP. Wybory te odbyły się jednak tuż po katastrofie smoleńskiej i okazały plebiscytem za lub przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu, którego w II turze pokonał marszałek Sejmu Bronisław Komorowski z PO. W tej sytuacji Olechowski znalazł się w gronie marginalnych kandydatów, uzyskując niespełna 1,5% głosów.

Popierało go wtedy Stronnictwo Demokratyczne – historyczna partia z czasów PRL, która po 1989 r. straciła znaczenie, ale nie straciła swojego majątku. I właśnie tę schedę przejął wówczas nowy lider SD Paweł Piskorski, były prezydent Warszawy, kilka lat wcześniej wyrzucony przez Tuska z Platformy. Sojusz Piskorski-Olechowski nie stał się realną konkurencją dla PO, podobnie jak Nowoczesna Ryszarda Petru, którą przed wyborami w 2015 r. Olechowski poparł. Były minister nigdy jednak nie posunął się w krytyce Tuska tak daleko, by miało to działać na korzyść PiS, dlatego w kolejnych wyborach prezydenckich i parlamentarnych deklarował poparcie dla kandydatów Platformy.

Im bardziej polska prawica się radykalizowała, tym bardziej nienawidziła Andrzeja Olechowskiego. Także z zazdrości, bo jej liderzy nigdy nie mieli jego cech: obytego w świecie, eleganckiego, wręcz dystyngowanego dżentelmena, który jak mało kto mógłby godnie reprezentować Polskę w świecie, a zarazem człowieka sympatycznego, mającego udane życie rodzinne i towarzyskie (znana była jego przyjaźń z Wojciechem Mannem, z którym od młodości łączyła go miłość do muzyki rozrywkowej). Każdy kolejny prezydent wylansowany przez PiS – Lech Kaczyński, Andrzej Duda i wreszcie Karol Nawrocki – stanowił przecież coraz większe przeciwieństwo Olechowskiego pod każdym względem.

Ale nienawidzono go również dlatego, że był patriotą każdej Polski, w której przyszło mu żyć: zarówno PRL, jak i III RP. A nasza prawica obsesyjnie nienawidzi PRL i wcale nie lepiej traktuje Polskę demokratyczną, w której narodzinach nie uczestniczyła i dlatego starała się ją od początku spostponować, nazywając „ubekistanem", „rywinlandem" czy „republiką okrągłego stołu". Tymczasem Olechowski zawsze służył takiej Polsce, jaka była, współpracując z każdym, w kim widział szansę na reformowanie państwa i gospodarki oraz związanie Polski z Zachodem: czy był to prof. Baka, czy prezydent Wałęsa, czy Tusk i Płażyński.

Skromne wyróżnienie

Z pewnością był w swoich wyborach naiwny (o czym świadczą jego porażki w BBWR, Ruchu Stu i PO), a w podejściu do polityki wręcz staroświecki, skoro nigdy nie zdecydował się zostać działaczem partyjnym i walczyć o mandat poselski. Dwa razy był ministrem (krótko), dwa razy kandydował na prezydenta RP i raz na prezydenta Warszawy (zawsze bez powodzenia) – to cały jego polityczny „dorobek" liczony osobistymi sukcesami, które stanowią dziś podstawową miarę polskiej polityki. Miał jednak niemały udział w zapomnianych już reformach gospodarczych lat 80. i 90., a także we wprowadzaniu Polski do struktur świata zachodniego. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, który otrzymał od prezydenta Komorowskiego, to chyba zbyt skromne wyróżnienie, ale na więcej nie mógł potem liczyć, zważywszy na to, kogo i za co odznaczali kolejni pisowscy prezydenci.

Radykalna prawica nienawidziła Olechowskiego i za to, że stanowił dla niej potencjalne zagrożenie. Bo mimo swojego życiorysu nie związał się z lewicą, lecz szukał miejsca po prawej stronie sceny politycznej, próbując stworzyć prawicę umiarkowaną: konserwatywną w sferze wartości ogólnych i podejścia do państwa, a liberalną w wymiarze gospodarczym. Nigdy mu się to nie udało, gdyż prawica w coraz większym stopniu ulegała zaczadzeniu antykomunizmem, klerykalizmem i nacjonalizmem.

Osobisty potencjał Olechowskiego sprawiał, że w prawicowej propagandzie zawsze był on przedstawiany jako demoniczny agent SB i reprezentant komunistycznej nomenklatury, wysoko postawiony mason i członek „rządu światowego", jakim mają być klub Bilderberg oraz Komisja Trójstronna – gremia skupiające elity świata zachodniego, na których coroczne spotkania Olechowski był zapraszany już w połowie lat 90. jako pierwszy z polskich polityków. I bez znaczenia było to, że spotkania te nie mają nic wspólnego z masonerią, były minister zawsze deklarował się jako katolik, a nawet był wykładowcą w Akademii Teologii Katolickiej. Opinia „wysoko postawionego masona" przylgnęła do niego, choć gdyby na serio traktować związane z tym teorie spiskowe, powinien bez problemu zostać prezydentem albo premierem.

Tak niestety się nie stało. Niestety, bo prezydentem byłby z pewnością lepszym od wszystkich na tym urzędzie po 2005 r., a premierem znacznie bardziej fachowym niż większość szefów rządów w III RP. Nie trafił jednak na swój czas, bo choć miał zasadniczy udział w powołaniu PO, nie był w stanie zapobiec zdominowaniu polskiej polityki przez dwa wodzowskie molochy partyjne, których kadry reprezentują coraz niższy poziom intelektualny i moralny.

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl 17e13b0521

126 felietonów Stanisława Lema w „Przeglądzie”

Ostatni felieton zamieścił kilka tygodni przed śmiercią. Jego teksty nie straciły na aktualności. Wręcz przeciwnie – nabrały znaczenia w czasach, gdy Europa i świat muszą na nowo określić swoją przyszłość.

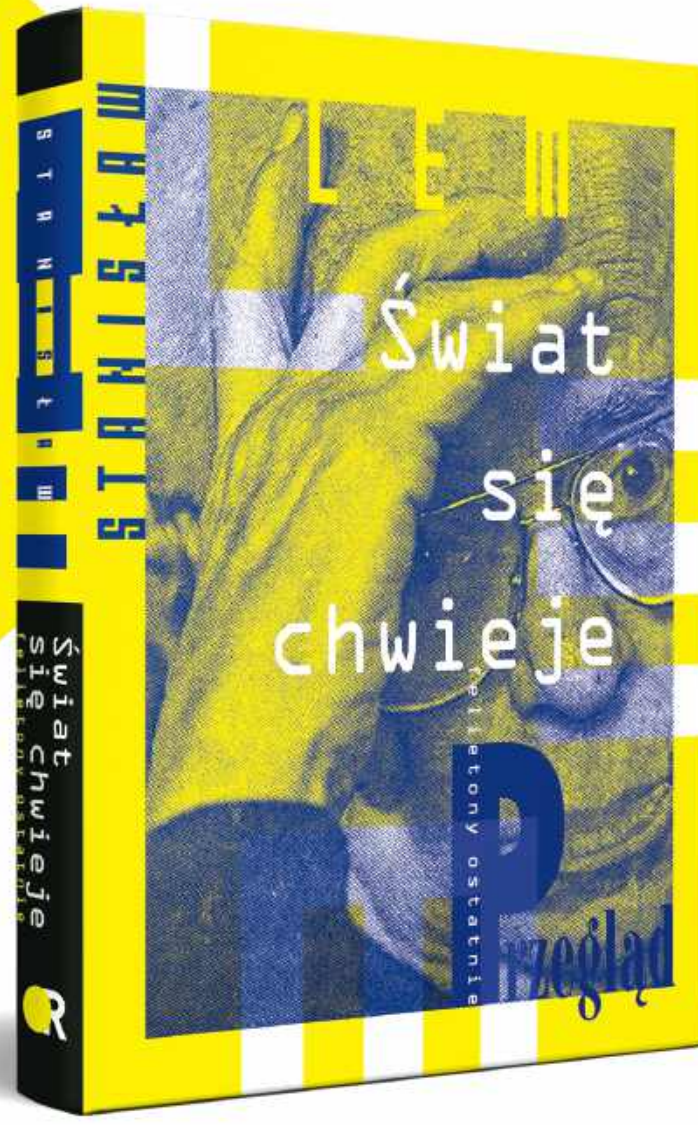

67 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

eprasa.pl 17e13b0521

Kopiowanie nie wystarczy

Jak przejść na europejskie narzędzia cyfrowe

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

YANIS KERDJANA
– francuski inżynier, 10 lat temu założył firmę programistyczną, którą niedawno sprzedał. Twórca wtyczki Charles pokazującej użytkownikom alternatywy dla amerykańskich produktów cyfrowych.

Jaką politykę cyfrową powinna przyjąć Europa?

– Sytuacja jest tragiczna. Udział rynku amerykańskiego w sektorze oprogramowania w Europie wynosi ok. 80%. Gdyby pojawił się problem z USA i Amerykanie chcieliby wywrzeć presję na Unię Europejską, np. odłączając część usług, to nie ma szans, aby europejscy dostawcy zdołali zaspokoić nagły popyt. Są zbyt mali i mają za mało kapitału. Stworzenie oprogramowania wydaje się proste, ale wymaga infrastruktury. Ta zaś potrzebuje ogromnych nakładów finansowych. Mam na myśli przede wszystkim centra danych, których nie da się stworzyć z dnia na dzień. To zajmuje lata.

To jak można pomóc europejskim dostawcom?

– Europejscy politycy powinni kierować przychody w stronę alternatyw poprzez kontrakty publiczne. Ale Unia Europejska nie może być naiwna i finansować firm, które po osiągnięciu odpowiedniej wielkości przeniosą się do USA. Europejscy obywatele, a zwłaszcza przedsiębiorstwa, również powinni podjąć działania. To proste – europejscy dostawcy będą potrzebować klientów. A kiedy staną się wystarczająco duzi, będą mogli łączyć się i budować firmy na poziomie światowym, tak jak było to możliwe w przypadku Airbusa.

Czy europejski rynek cyfrowy oferuje wystarczająco dużo możliwości, aby odejść od narzędzi dostarczanych przez amerykańskie big techy?

– Podczas pracy nad projektem Charles znalazłem kilka zamienników dla każdego amerykańskiego produktu. Europejska alternatywa oprogramowania już więc istnieje – po prostu trudniej ją znaleźć. Większym wyzwaniem dla europejskich dostawców chmurowych będzie znalezienie infrastruktury do obliczeń o dużej wydajności. Musimy jednak działać stopniowo: migrować z tym, co można przenieść teraz, a resztę zaplanować

Charles – europejska alternatywa już czeka

Charles to nowoczesna wtyczka do przeglądarek internetowych, która wspiera użytkowników w budowaniu cyfrowej niezależności od amerykańskich gigantów technologicznych poprzez promowanie sprawdzonych europejskich alternatyw, zgodnych z unijnymi wartościami i przepisami RODO. Stworzył ją pochodzący z Francji inżynier Yanis Kerdjana.

Rozszerzenie działa jak osobisty przewodnik po europejskim ekosystemie cyfrowym. Analizuje odwiedzane strony i – w zależności od wybranego poziomu ochrony – informuje, ostrzega lub blokuje usługi spoza Europy, jednocześnie proponując bezpieczne zamienniki. Użytkownik ma do dyspozycji cztery tryby działania: od biernej obserwacji nawyków, przez delikatne sugestie, aż po pełne blokowanie niepożądanych serwisów.

Dzięki wtyczce Charles użytkownik może w prosty sposób dowiedzieć się o alternatywach dla amerykańskich programów, z których korzysta. Odkryć takie rozwiązania jak kDrive, Tresorit czy pCloud zamiast Google Drive; Element w miejsce Slacka; Jitsi zamiast Zooma czy GitLab jako alternatywę dla GitHuba. Wszystko to w przyjaznej, wielojęzycznej formie dostępnej w 24 językach krajów UE.

Wtyczka oferuje także elementy tzw. grywalizacji – użytkownik zbiera punkty i odznaki motywujące do konsekwentnych wyborów cyfrowych. Co najważniejsze, Charles w pełni respektuje prywatność użytkownika: nie zbiera danych osobowych, a wszystkie statystyki pozostają wyłącznie na urządzeniu lokalnym. To narzędzie stworzone dla osób i organizacji, które chcą korzystać z internetu w sposób bardziej świadomy, bezpieczny i europejski. Charles jest darmowy, a jego twórca obiecał, że tak pozostanie.

eprasa.pl 17e13b0521

na później. Europejska niezależność i autonomia nie oznaczają osiągnięcia 0% udziału amerykańskich dostawców, chodzi o dojście do proporcji pół na pół i ostatecznie rozpoczęcie sprzedaży europejskich produktów w USA. Dominacja amerykańskich dostawców w samych Stanach Zjednoczonych jest jeszcze większa niż w Europie.

Jak możemy przejść na europejskie produkty i narzędzia cyfrowe? Czy największą przeszkodą są nawyki użytkowników?

– Europejskie firmy niezależnie od wielkości mają tu do odegrania ważną rolę. Zaczyna się od tego, w jaki sposób wybiorą swojego kolejnego dostawcę oprogramowania. Mówimy tu nie o samej migracji, ale o zakupie usług. Kupujmy produkty europejskie. W przypadku użytkowników indywidualnych nawyki są ogromną przeszkodą. Masz wszystkich znajomych na WhatsAppie. Twój komputer pracuje na Windowsie lub systemie Apple. Przeglądarką ze wszystkimi zakładkami jest Chrome. Ale gdzie jest wola, tam znajdzie się sposób. Zmiana przeglądarki z Chrome np. na Vivaldi zajmuje dosłownie pięć minut. Właśnie tu pomocny może być Charles, przypominając użytkownikom, że istnieje alternatywa.

Proszę krótko wyjaśnić, jak działa rozszerzenie Charles.

– To bardzo proste. Wystarczy wpisać: „Charles european sovereignty" w ulubionej wyszukiwarce i zainstalować jednym kliknięciem rozszerzenie. Potem za każdym razem, gdy użytkownik odwiedza amerykańską stronę internetową, w czasie rzeczywistym wyświetli się propozycja europejskiej alternatywy. Można w nią kliknąć, aby ją poznać, lub zignorować, jeśli akurat ma się za dużo na głowie. Użytkownik może też pójść o krok dalej i ustawić silniejsze ograniczenia, np. pięciosekundowe opóźnienie: „UE teraz lub USA za 5 sekund". Przy okazji zdobywa się punkty i odznaki.

Czy to nie paradoks, że rozszerzenie pozwalające uciec od Google'a działa na ich przeglądarce?

– Po pierwsze, Charles nie jest dostępny tylko w Chrome. Działa również na Vivaldi, Edge i Brave. Wkrótce pojawi się również na Safari i Firefoxie. Po drugie, niestety w takiej rzeczywistości żyjemy – 70% europejskich użytkowników korzysta z Chrome. Gdyby było inaczej, Charles nie byłby potrzebny. Ta wtyczka pojawia się tam, gdzie są użytkownicy, aby dawać im wskazówki, jak stopniowo dokonywać zmian. Nie wierzę, że można nagle zmienić swoje nawyki.

Według statystyk Windows jest zainstalowany na 70-80% wszystkich komputerów w Europie. Mimo to francuska administracja zdecydowała się niedawno na odejście od produktów Microsoftu, aby zyskać suwerenność cyfrową. Czy ta transformacja ma szansę powodzenia?

– Francuska administracja jest dobra w wykonywaniu poleceń. A dzisiejszy Linux nie ma nic wspólnego z tym sprzed 15 lat. To dobrze utrzymany system operacyjny ze wszystkimi funkcjami niezbędnymi do łatwego, codziennego użytku. Świetne jest to, że jeśli używasz Linuxa/Ubuntu przez cały dzień w pracy, stanie się on najbardziej znanym ci interfejsem i być może zechcesz korzystać z niego również w domu. Ponadto otworzy to rynek dla dostawców oprogramowania Open Source. Myślę, że to mądre posunięcie, które może mieć jeszcze większy wpływ, jeśli zostanie upowszechnione w innych krajach.

Dlaczego suwerenność cyfrowa jest dla nas, użytkowników, ważna?

– Suwerenność nie jest ważna sama w sobie. Ważna jest niezależność i autonomia, które z niej wynikają. Żyjemy w świecie, w którym prezydent USA ma większy wpływ na nasze życie niż prezydent Francji czy Polski (Iran, wsparcie dla Ukrainy lub jego brak...). A my na niego nie głosowaliśmy. Dobrze jest po prostu podejmować własne decyzje jako kraj.

Czy europejscy użytkownicy mają szansę w pełni odejść od amerykańskich rozwiązań?

– Nie wiem, czy celem jest całkowite odejście od nich. Byłbym zadowolony z większej równowagi pomiędzy oprogramowaniem europejskim i amerykańskim. Każdy krok się liczy. Można zacząć np. od poczty e-mail – przy okazji użytkownicy pozbędą się większości spamu.

Wydaje mi się, że szczególnie trudne będzie zastąpienie amerykańskich platform społecznościowych.

– TikTokowi się to udało. Można powiedzieć, że ścieżka jest już wydeptana. Pytanie, gdzie jest nasza wola.

Co sądzi pan o projekcie W Social? Czy zastąpienie X (dawniej Twittera) może się udać?

– Dlaczego nie? X nigdy nie był tak kruchy jak po sukcesywnych fuzjach ze SpaceX. Chętnie dodałbym W do Charlesa jako alternatywę dla X. Uważam jednak, że podobnie jak w przypadku TikToka nie powinniśmy kopiować. Musimy stworzyć „europejskie doświadczenie". Nie tylko europejskiego X, ale po prostu świetną sieć społecznościową, która przy okazji jest europejska.

Od czego my, użytkownicy, powinniśmy zacząć, aby wejść na ścieżkę ku suwerenności cyfrowej?

– Pilnujmy, aby nasz następny zakup był europejski. I oczywiście pobierzcie Charlesa, który w tym pomoże. W przypadku firm – niech wasi pracownicy go pobiorą. Charles jest i pozostanie darmowy. Został stworzony jako narzędzie wspierające użytkowników w dążeniu do większej suwerenności cyfrowej. Zachęcam również polskich dostawców oprogramowania do wysyłania mi wiadomości mejlowych, aby mogli zostać dopisani jako alternatywy dla ich amerykańskich odpowiedników.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 17e13b0521

X krucjata bożej Ameryki

Z perspektywy historycznej chrześcijański nacjonalizm w Ameryce przybiera na sile

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Według najnowszych badań tylko co czwarty Amerykanin uważa, że wojna w Iranie warta jest kosztów, jakie pochłania, aż 60%, w tym 57% republikanów, nie popiera obecnej polityki USA wobec Izraela (Ipsos/Reuters oraz Pew Research Center, kwiecień 2026 r.). Rośnie też grupa, której rozwój wypadków na Bliskim Wschodzie uprzytomnił jeszcze jedno: że choć wydaje się to nierealne, Ameryka ruszyła na Iran pod chorągwiami tej samej krucjaty religijnej, którą niemal tysiąc lat temu wysyłał do Ziemi Świętej papież Urban II.

Gdy będą Państwo czytali ten tekst, niewykluczone, że tocząca się równolegle z wojną w Iranie wojna Donalda Trumpa z papieżem Leonem XIV, piętnującym amerykańskie zaślepienie siłą militarną, wejdzie na kolejny poziom absurdu, przy którym pouczanie papieża na temat teologii przez wiceprezydenta J.D. Vance'a okaże się drobiazgiem.

To sytuacja w najnowszej historii bezprecedensowa, nic więc dziwnego, że media na całym świecie sprzedają ją jak najlepszy sitcom, nie przywiązując zbytniej wagi do szczegółów. Bardzo niedobrze, bo aby zrozumieć, z czym naprawdę mamy do czynienia, konieczne są właśnie szczegóły. Takie jak ten, że gdyLeon XIV oświadczył w Niedzielę Palmową, iż „Bóg nie słucha modlitwy tych, którzy wojnę prowadzą, i odrzuca ją, mówiąc: Ręce wasze pełne są krwi", zwracał się nie do Trumpa, ale do Pete'a Hegsetha. Dokładnie zaś nawiązywał do przemówienia Hegsetha z 25 marca, w którym szef Pentagonu zapowiadał „bezwzględną przemoc wobec tych, którzy nie zasługują na litość".

Modlitwa podczas dorocznego spotkania Południowej Konwencji Baptystów w Nashville w Tennessee. 15 czerwca 2021 r.

Czy papież miał na myśli wyłącznie działania wojenne? A może chciał w ten sposób zwrócić uwagę świata na najniebezpieczniejszy symptom choroby toczącej dziś USA: rządy fanatyków religijnych?

Święta wojna

Zacznijmy od przesłanek tej wojny. Ameryka może i nie ma powodów do chluby, jeśli chodzi o eskapady wojenne z ostatniego półwiecza, ale przynajmniej zawsze z wyprzedzeniem komunikowano narodowi amerykańskiemu ich cel lub cele. Pomijam tu nieoficjalne interesy, które były do ugrania na zapleczu toczących się walk. A jednak warto przypomnieć – George W. Bush urabiał Amerykanów przez sześć miesięcy, zanim wydał rozkaz o rozpoczęciu operacji „Iracka wolność". Jego ojciec tyle samo czasu poświęcił na to przed początkiem operacji „Pustynna Burza".

Dziwne więc było, choć składano to na karb coraz bardziej chaotycznego i niezrównoważonego zachowania starzejącego się Donalda Trumpa, że ataków na Iran nie poprzedziło sianie propagandy o amerykańskiej racji stanu, żadne bicie patriotycznej piany ani jednoczenie się wokół flagi.

Jeszcze dziwniejsze – że przekazy wychodzące od administracji w pierwszych tygodniach ataków potrafiły jawnie sobie przeczyć. Chodzi o zniszczenie irańskiego arsenału nuklearnego czy odpowiedź na rzekomo szykowany przez Iran atak na USA? A może o obalenie reżimu, który zamordował ostatnio tysiące własnych obywateli? Działania USA przypominały przesuwanie figur na szachownicy przez kogoś,

eprasa.pl 17e13b0521

kto w ogóle nie zna reguł gry. Potrzeba było dziennikarzy śledczych, przede wszystkim z „New York Timesa", by potwierdzić to, do czego administracja przyznać się nie chciała: że Trump nad decyzją o bombardowaniu Iranu długo nie dumał, podjął ją pod wyraźnym wpływem Netanjahu, ulegając anegdotycznej już skłonności do tego, by „przejmować zdanie osoby, z którą właśnie rozmawiał" („How Trump Took the U.S. to War With Iran", „New York Times", 7 kwietnia 2026). Wątek ten podnosiłam już na łamach „Przeglądu" w pierwszych dniach wojny („Wojna jako biznes", 11/2026).

Sprawa staje się o wiele bardziej zrozumiała, jeśli weźmiemy pod uwagę coś jeszcze innego: klimat, jaki tworzą dzisiaj w Białym Domu chrześcijańscy nacjonaliści, i ich wpływ na światopogląd oraz priorytety Trumpa.

Siłą polityczną, która za drugiej prezydentury Trumpa stała się w Białym Domu wszechobecna, jest ruch dążący do ustanowienia w Ameryce i na świecie „królestwa bożego na ziemi". Nastawiony konfrontacyjnie do innych wyznań, zwłaszcza do największego rywala chrześcijaństwa – islamu, traktuje irańską teokrację przede wszystkim jako wroga religijnego. W takim układzie drugorzędny staje się pretekst do starcia. Najważniejsze, by do niego doszło. I by świat chrześcijański otrzymał możliwość dokończenia dzieła, jakie rozpoczął niemal tysiąc lat temu – by odniósł zwycięstwo w ostatecznej krucjacie wiernych przeciwko niewiernym.

Gdy 5 września ub.r. Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze zmieniające nazwę Departamentu Obrony na Departament Wojny, szef Pentagonu Pete Hegseth oświadczył: „Tutaj nie chodzi tylko o nazewnictwo. Tu chodzi o »przywrócenie«. Słowa mają wagę". Hegseth, chrześcijański nacjonalista związany z odłamem amerykańskiego ewangelikalizmu, użył angielskiego słowa *restore*. Występuje ono obficie w Biblii – odnosi się zarówno do procesu odzyskiwania/odnawiania wiary, jak i do przywracania na świecie ładu wedle praw bożych.

Święty gabinet

Czy Trump zdawał sobie sprawę z tego, kogo wprowadza do swojego gabinetu? Z grubsza tak – w końcu przymierze z religijną prawicą zawarł już przed dekadą i zrobił to rozmyślnie, bo szukał silnych pleców, o które mógłby się oprzeć. Chrześcijańscy nacjonaliści, którzy szybko zrozumieli, że mają do czynienia z wyzutym ze skrupułów i moralności handlarzem, z którym łatwo można się dogadać, przystali na ten układ z radością. W drugiej kadencji najbardziej liczyła się ślepa lojalność – i to za nią przede wszystkim Trump punktuje dziś swój gabinet.

Ponieważ kluczowy dla tej wojny jest Pete Hegseth – na nim skupimy uwagę. Warto przy tej okazji przypomnieć, że radykalnymi ewangelikanami lub osobami związanymi z tym środowiskiem w najbliższym otoczeniu Trumpa są lub byli w niedalekiej przeszłości: dyrektor Biura Zarządzania i Budżetu Russell Vought, kongresmen z Oklahomy, sekretarz bezpieczeństwa krajowego Markwayne Mullin, poprzedniczka Mullina Kristi Noem, sekretarz mieszkalnictwa i rozwoju miast Scott Turner czy zwolniona niedawno szefowa Departamentu Sprawiedliwości Pam Bondi. Silne ewangelikalne korzenie ma również celebrytka Paula White-Cain, szefowa Biura ds. Wiary z siedzibą w zachodnim skrzydle Białego Domu. To ona co najmniej raz w miesiącu urządza w Gabinecie Owalnym spektakle modlitewne, w których nakłada na Trumpa ręce i przyrównuje go do Chrystusa.

Trumpa otacza również grono katolickich fundamentalistów nazywanych integralistami (twierdzących, że państwo powinno być „zintegrowane" z Kościołem). Najbardziej znani to wiceprezydent J.D. Vance, sekretarz stanu Marco Rubio, wojujący z mediami szef Federalnej Komisji Łączności Brendan Carr, przyjaciel i doradca Trumpa Steve Bannon, a także szef think tanku The Heritage Foundation i główny autor „Projektu 2025" Kevin Roberts.

Zgodnie z wolą bożą

Sekretarz wojny Pete Hegseth to dwukrotny rozwodnik, weteran wojen w Iraku i były prezenter telewizji Fox News. W 2018 r. pod wpływem

David Jenkins z Arlington w Teksasie podczas nabożeństwa na spotkaniu Południowej Konwencji Baptystów, 10 czerwca 2025 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 17e13b0521

Douglasa Wilsona, twórcy konserwatywnej sieci Communion of Reformed Evangelical Churches (CREC), stał się jednak „na nowo narodzonym chrześcijaninem" i – jak sam mówi – wiernym „wojem Boga".

CREC to konfederacja, która swoje fundamentalne nauczanie opiera na klasycznym kalwinizmie, choć pozostawia Kościołom członkowskim decyzje dotyczące pewnych szczegółów (np. chrzest dorosłych/chrzest dzieci). Najważniejsze w doktrynie tej wiary jest to, że nie uznaje ona rozdzielności państwa od Kościoła, a konstytucyjną klauzulę na ten temat odczytuje jako wytyczną, iż osoby u władzy powinny rekrutować się wyłącznie z religii chrześcijańskiej. Misją jest więc utworzenie w Ameryce teokracji zgodnej z modelem biblijnego patriarchatu: z kobietą całkowicie podległą mężowi i bez prawa do głosowania, rodzicami uprawnionymi do bicia dzieci i do odgrywania roli ich wyłącznych nauczycieli (CREC szkolnictwo publiczne uważa za wroga rodziny) oraz surowymi karami za homoseksualizm. Niewolnictwo to dla CREC zjawisko sankcjonowane przez Boga i „korzystna dla obu stron relacja oparta na pozytywnych uczuciach i zaufaniu" („Southern Slavery As It Was", Douglas Wilson, Steve Wilkins, 1996).

„Ci ludzie żyją w przekonaniu, że wszystko, co dzieje się wokół, jest wolą bożą i tylko niektórzy są wybrani, by mieć zwierzchnictwo nad innymi i rządzić. Decyduje o tym Bóg. Nie popierają więc demokracji, nie są za społeczną równością. Wierzą, że cały świat stanie się w którymś momencie cywilizacją chrześcijańską, a ci, którzy będą się wtedy wyłamywać, będą surowo karani", wyjaśnia badająca fundamentalizm religijny w USA prof. Julie Ingersoll z Uniwersytetu Północnej Florydy w rozmowie z brytyjskim dziennikiem „The Guardian" („Pete Hegseth's holy war: the militant Christian theology animating the US attack on Iran", 10 kwietnia 2026).

Szczególne miejsce w tej wizji świata zajmuje oczywiście misja walki z innowiercami. W 2020 r. Hegseth napisał o tym własną książkę „American Crusade: Our Fight to Stay Free" (Amerykańska krucjata. Nasza walka o utrzymanie wolności). Mniej więcej w tym samym czasie wytatuował sobie na piersi krzyż jerozolimski, symbol wypraw krzyżowych, a na przedramieniu napis: *Deus vult* (Bóg tak chce – słynne zawołanie krzyżowców) i zaraz pod nim słowo *kafir* (niewierny, niemuzułmanin).

Co ważne, Hegseth wprowadził się do Pentagonu ze sztabem swoich duchowych przywódców. Już w maju 2025 r. urządził tam warsztaty prowadzone przez Brooksa Potteigera, pastora CREC. Odtąd co miesiąc funduje swoim podwładnym msze i nauki, a kazania na nich wygłaszają kontrowersyjni Chris Durkin, Edward Graham i Mark Dever.

Święci hipokryci

Świat przecierał ze zdumienia oczy, gdy kilka dni po amerykańskich atakach na Iran Fundacja na rzecz Wolności Religijnej w Wojsku (Military Religious Freedom Foundation, MRFF) donosiła, że setkami spływają do niej skargi od żołnierzy dotyczące tego, że dowództwo przedstawia im tę wojnę jako „świętą", cytując przy tym wersety z Biblii. Tymczasem, gdybyśmy uważniej śledzili słowa amerykańskiej administracji, nie byłoby żadnego zaskoczenia. Już bowiem 5 lutego, podczas dorocznej imprezy o nazwie National Prayer Breakfast (Narodowe śniadanie modlitewne) „woj Boga" sygnalizował światu zbliżające się wydarzenia. „Gotowość do poświęcenia dla kraju wypływa z jednej rzeczy: głębokiej i nieprzemijającej wiary w to, że Bóg nas miłuje i da nam życie wieczne. (…) Wojownik gotowy umrzeć za swój oddział, kraj i swego Stwórcę znajdzie życie wieczne", mówił Hegseth. Historycy od razu usłyszeli w tym echo XI-wiecznej retoryki papieża Urbana II, inicjatora wypraw krzyżowych, choć na alarm uderzyli oczywiście dopiero z chwilą wybuchu wojny.

„To była nie tylko teologia krzyżowa, to słowa, które dla większości współczesnych chrześcijan są czystą herezją. Dlatego powinniśmy się bać, i to mocno. Wypowiedzi Hegsetha o religijnym fanatyzmie reżimu irańskiego są w najlepszym razie ironią, a w istocie niebezpieczną hipokryzją", uważa Brian Kaylor, naukowiec, pastor baptystyczny i autor wielu książek na temat polityki i religii, w tym „The Bible According to Christian Nationalists" (Biblia według chrześcijańskich nacjonalistów).

Jeszcze bardziej przerażające w kontekście wojny w Iranie jest

eprasa.pl 17e13b0521

kazanie Brooksa Potteigera wygłoszone w maju 2025 r. w Pentagonie. Cytując Ewangelię św. Mateusza, Potteiger pouczał wówczas zebranych: „To nie wy kierujecie sprawami tego świata. Jeśli nasz Pan sprawuje kontrolę nawet nad spadającym wróblem, możecie być pewni, że kontroluje wszystko inne, co leci na świat, łącznie z pociskami Tomahawk i Minuteman".

Amerykańska administracja do dziś nie wystosowała żadnych przeprosin ani nawet nie wyraziła żalu z powodu uderzenia pocisku Tomahawk w irańską szkołę podstawową, do którego doszło już pierwszego dnia wojny i w którym śmierć poniosło 168 uczennic oraz 14 nauczycielek.

Święty plan działania

O tym, jak głębokie są wpływy chrześcijańskich ekstremistów na Biały Dom, najlepiej jednak świadczy twardy, proizraelski kurs utrzymywany przez Trumpa – i to mimo radykalnej rewizji proizraelskich sympatii wśród amerykańskich wyborców oraz rosnącej w związku z tym paniki nawet wśród republikańskich kongresmenów. Przypomnijmy: w świecie ewangelikanów relacje Waszyngtonu z Izraelem zajmują miejsce wyjątkowe. Bóg wymaga od Ameryki, by wspierała Izrael i pomogła mu przetrwać, bo zgodnie z biblijnymi proroctwami to tam ma nastąpić paruzja. Ze wspomnianego już raportu dziennikarzy „New York Timesa" wiemy, że podczas ostatniej przed wybuchem wojny wizyty Beniamina Netanjahu w Białym Domu (11 lutego) Hegseth był jedynym obecnym na spotkaniu oficjelem, który „szansę" wzięcia udziału w atakach na Iran uznał za swój „honor". J.D. Vance i Marco Rubio byli wojnie przeciwni, zaś Steve Witkoff i Jared Kushner przestrzegali Trumpa, że osiągnięcie korzystnego porozumienia z Iranem może być skrajnie trudne lub wręcz niemożliwe.

21 kwietnia sondaże wskazały najniższe notowania od początku kariery politycznej Trumpa (31% poparcia) – przede wszystkim w związku ze stanem gospodarki, którą wojna dusi wysokimi cenami paliwa i rosnącą inflacją. Choć przy prezydencie trwa ponad 70% wyborców identyfikujących się jako MAGA, stanowiących około połowy republikańskiego elektoratu (Statista, grudzień 2025, i AP, kwiecień 2026), to wojna w Iranie i polityka proizraelska mocno podzieliły prawicę. Zdaniem ekspertów może to mieć fatalne przełożenie na wyniki republikanów w zbliżających się wyborach połówkowych.

Dochodzimy w ten sposób do istoty działań fundamentalistów religijnych. Rzecz bowiem w tym, że „bożych wojów" pokroju Wilsona i Hegsetha los ich własnej partii w najbliższych wyborach aż tak bardzo nie obchodzi. W podcaście „Extremely American" Doug Wilson powtarza, że najważniejszy dla ruchu jest sam postęp w osiąganiu wyznaczonych celów. Do tych zaś należy szczególnie osiągnięcie tzw. Mandatu Siedmiu Gór (Seven Mountain Mandate, 7MM), czyli przejęcie przez chrześcijan kontroli nad kluczowymi sferami społeczeństwa: religią, rodziną, rządem, edukacją, mediami, sztuką oraz gospodarką („Projekt 2025" jest swoistym instruktażem dla władzy wykonawczej, jak tego dokonać). Nie bez przyczyny nominację Pete'a Hegsetha na sekretarza obrony Wilson skomentował słowami: „Jestem wdzięczny Bogu za wygraną Trumpa i pełen optymizmu, że chrześcijanie o poglądach zbliżonych do moich otrzymają wiele innych prominentnych pozycji w tej administracji" („Trump's Defense secretary nominee has close ties to Idaho Christian nationalists", „Idaho Capital Sun", 21 listopada 2024).

„Musimy rozumieć, że religijni liderzy w USA widzą i planują swoje działania na rzecz transformacji społeczeństwa, państwa i kultury w perspektywie długofalowej, obejmującej nawet wieki", tłumaczy Julie Ingersoll na łamach „Guardiana" i przypomina, że werdykt Sądu Najwyższego w sprawie Roe v. Wade dający konstytucyjną ochronę prawu do aborcji w 1973 r. ich nie załamał. Cierpliwie „orali i siali", by osiągnąć swój cel pół wieku później. W 2022 r. Sąd Najwyższy, kontrolowany przez konserwatystów (odrębny powód do radości dla „bożej Ameryki"), unieważnił wyrok w sprawie Roe v. Wade. Obecnie z podobną determinacją zabiegają oni o delegalizację małżeństw jednopłciowych, których istnienie uprawomocnił Sąd Najwyższy w roku 2015.

Ameryka ruszyła na Iran pod chorągwiami tej samej krucjaty, którą niemal tysiąc lat temu wysyłał do Ziemi Świętej papież Urban II.

Mało miejsca na optymizm

Jeśli republikanie przegrają wybory, „boża Ameryka" i tak ma powody do świętowania. Sekretarz edukacji Lindzie McMahon, kiedyś baptystce, dzisiaj działającej w kręgu „integralistów", udało się przecież sparaliżować Departament Edukacji. A każde osłabienie sektora edukacji publicznej działa na korzyść szkół czarterowych (publicznych, bezpłatnych placówek edukacyjnych, które funkcjonują niezależnie od lokalnych okręgów szkolnych, na podstawie specjalnego kontraktu) i prywatnych, z których aż 80% to szkoły religijne. Promując „odnowę Ameryki poprzez klasyczną edukację", CREC wciąż powiększa sieć własnych placówek pod auspicjami Związku Klasycznych Szkół Chrześcijańskich (Association of Classical Christian Schools, ACCS). ACCS obecnie reprezentuje już ponad 500 szkół członkowskich i akredytowanych.

„Kto ma umysły młodych, ten ma przyszłość – te słowa nabierają dziś szczególnego znaczenia. Z perspektywy historycznej chrześcijański nacjonalizm w Ameryce przybiera na sile. Nie jestem optymistką", konkluduje Julie Ingersoll.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 17e13b0521

Iran: spojrzenie z wewnątrz

Od 47 lat kraj jest obłożony sankcjami. To pogłębia problemy

Rozmawia Robert Walenciak

(Ciąg dalszy rozmowy z nr. 18)

JULIUSZ GOJŁO
– wieloletni dyplomata, specjalista od Bliskiego Wschodu, Afryki, krajów Azji Centralnej. W latach 2010-2017 ambasador RP w Iranie. Ekspert Centrum Stosunków Międzynarodowych.

Mówił pan, że obecna wojna daje reżimowi w Teheranie drugi mit założycielski. Pierwszym była wojna z Irakiem, wtedy większość ludzi stanęła do obrony ojczyzny. Teraz mamy podobną sytuację: atakują naszą ojczyznę! Jednocześnie wojna zatrzymała ewolucję systemu, który powoli się otwierał. W Polsce o tym w zasadzie się nie mówiło. U nas Iran to państwo ajatollahów.

– Iran generalnie ma bardzo zły PR. Wystarczy przejrzeć polskie gazety. Na pierwszym miejscu czołowe dzienniki oraz tzw. tygodniki opinii, gdzie takie sformułowania jak „archaiczny artefakt historii", „państwo rządzone przez sfanatyzowane oddziały Strażników Rewolucji" czy „brodatych ajatollahów", „raj w szponach starców" albo „piekło kobiet" to frazeologizmy i epitety na porządku dziennym. To są autentyczne cytaty.

A przecież, jak mówi chińskie przysłowie, wszystko, co nie jest w pełni prawdą, co jest półprawdziwe, jest całym kłamstwem.

Wyjaśnijmy, na czym polega mit założycielski republiki – nie jest nim obalenie szacha, tylko obrona przed iracką inwazją. Gdy byłem w Teheranie, rzucały się w oczy murale poświęcone bohaterom tamtej wojny.

– Gdy mówię: rewolucja irańska, świadomie używam przymiotnika irańska, a nie islamska, dlatego że ona, jak większość rewolucji, miała dwa etapy. Pierwszy to był etap przeciwko szachowi, czyli przeciw czemuś, a drugi to był etap za czymś. Drugi etap został zdominowany przez duchowieństwo szyickie i przez ideały religijne. Ale w tym pierwszym wszyscy walczyli wspólnie przeciwko szachowi. Wtedy motorem rewolucji byli irańscy intelektualiści, a oni wówczas mocno lewicowali.

I szli razem z mułłami?

– Mieli wspólnego przeciwnika – reżim szacha. Po drugie, ideologia lewicowa pokrywała się z teologicznymi założeniami szyizmu na temat sprawiedliwości społecznej. Dlatego w tej rewolucji lewicujący intelektualiści szli ramię w ramię z duchowieństwem. Takie rzeczy się zdarzają – w Polsce w latach 80. lewicowi intelektualiści też szukali schronienia w salach parafialnych, występowali tam, chrzcili się, modlili. Duchowieństwo było w Iranie tradycyjnie tą grupą, która zawsze w XX w. optowała za zmianami prodemokratycznymi i wolnościowymi. Iran jest pierwszym państwem w Azji, w którym przyjęto konstytucję. A ruch konstytucyjny miał silne poparcie duchowieństwa. Dlatego ideologia rewolucji irańskiej była połączeniem ideałów lewicowych, różnej proweniencji, z koncepcjami szyickimi.

Tak się dało?

– W szyizmie główną koncepcją, która ma wartość dogmatyczną, jest koncepcja Sprawiedliwości. Tak właśnie – przez duże S. Jeżeli świat jest stworzony w sposób doskonały, to jest sprawiedliwy, bo Bóg jest sprawiedliwy. Jeżeli sprawiedliwość jest naruszana, to znaczy, że jest naruszana równowaga, którą stworzył Bóg. W związku z tym prawowierny, religijny szyita ma obowiązek wspierać tych, którzy są ciemiężeni, uciskani i którym odmawia się sprawiedliwości. W teologii szyickiej, w irańskiej kulturze politycznej, istnieje coś takiego jak mandat do sprawowania władzy. Jeżeli władca jest niesprawiedliwy, to narusza porządek boski. A jeżeli narusza porządek boski, należy go obalić.

Dlaczego szach najpierw próbował tłumić rewolucję, a później z dnia na dzień się spakował? Ponieważ uznał, że nie ma już legitymacji do sprawowania władzy.

A teraz, gdy w styczniu były protesty, władza się nie wycofała.

– Chodzi o to, żeby przesilenie było na tyle silne, aby ktoś właśnie stwierdził: nie mamy legitymacji, by sprawować władzę. Ale jeżeli jesteśmy w stanie czemuś zapobiec, to tę legitymację mamy.

Dodatkowo – o czym dopiero teraz się mówi – to, co się działo w styczniu, nie było całkowicie spontaniczne. Mamy wystąpienia

eprasa.pl 17e13b0521

amerykańskich polityków, sekretarza skarbu, który mówił: tak, dążyliśmy do rozchybotania rynku walutowego w Iranie, żeby wywołać protesty społeczne.

Jak chciał to zrobić?

– Iran od 47 lat jest objęty sankcjami amerykańskimi i przez to nie może korzystać ze swoich zasobów zagranicznych. I co roku, mniej więcej właśnie w okolicach naszego grudnia, bank centralny wyznacza nowy kurs walut. Jak w socjalizmie. Chodzi o to, żeby zgarnąć jak najwięcej walut z rynku po niższej cenie. A firmy kontrolowane przez państwo, które handlują z zagranicą, mają obowiązek odsprzedaży walut bankowi centralnemu. Obok tych dużych handlarzy, firm, przedsiębiorstw jest cała masa drobnych kupców. W tym roku te manipulacje uderzyły mocno właśnie w drobnych handlarzy, takich którzy łódkami przemycają towary przez Zatokę, z Emiratów, najczęściej elektronikę. Uderzyły też w drobnych sprzedawców. A oni po prostu zamknęli sklepy na pewien czas. To była wizualna manifestacja, że dzieje się coś złego. Początkowo cicha forma kontestacji, niezgody na niesprawiedliwość – znów, proszę zauważyć, że to poczucie sprawiedliwości i równości jest bardzo ważne w tamtejszej kulturze. A za tym poszły protesty, które przybrały z czasem charakter również polityczny.

Strzelano.

– W Iranie legalnie nie można mieć broni. Wyjątkiem są pasterze i ludzie na wsi, którzy polują. Ale nie ma czegoś takiego jak broń w domu. Kanał 14 telewizji izraelskiej powiedział: a my dostarczaliśmy im broń. Politycy amerykańscy, w tym sam prezydent, z pewną dumą nawet przyznawali, że broń była dostarczana z zewnątrz. Konfuzja jest więc zrozumiała. Nie mamy żadnego wiarygodnego źródła, by stwierdzić, ile dokładnie osób zginęło w protestach i ich tłumieniu.

Oficjalne komunikaty mówią, że 3170 osób.

– W zachodnich mediach jest tendencja, żeby tę liczbę powiększyć, aby udowodnić zbrodniczość reżimu. Na przykład usłyszeliśmy, że było 30 tys. zabitych. Jak na to odpowiedzieć? Izraelowi zajęło dwa lata, żeby wymordować 70 tys. ludzi w Gazie, kompletnie niszcząc infrastrukturę, stosując w zasadzie naloty dywanowe. Zatem twierdzenie, że w Iranie zginęło 30 albo 50 tys. w ciągu tygodnia, jest wysoce ryzykowne. To jest straszna tragedia, że zginęli ludzie. Ale trzeba widzieć cały kontekst sprawy. I przez szacunek dla ofiar nie rozdmuchiwać inflacyjnych pomówień.

W Iranie powtarzają się protesty i są tłumione. O tych w styczniu mówiliśmy, w 2022 r. były protesty po śmierci Mahsy Amini na komisariacie policji.

– Wielkim wydarzeniem był rok 2009, kiedy ludzie wyszli na ulicę w proteście przeciwko fałszerstwom wyborczym. Na Zachodzie interpretowano to tak, że sprzeciwili się władzy i systemowi politycznemu. Przeanalizujmy to. Jeżeli ludzie najpierw idą na wybory, to uznają, że mają co wybierać. Czyli w pewnym sensie legitymizują system, bo uczestniczą w wyborach. Później wychodzą na ulicę, dlatego że są sfrustrowani wynikiem. Czyli uznają, że wybory zostały im ukradzione i sfałszowane. Nie demonstrują więc przeciwko systemowi, tylko przeciw fałszerstwom czy manipulacjom wyborczym.

Czyli był to protest, a nie bunt.

– W tamtym czasie niektórzy twierdzili, że to jest ten moment rewolucyjny. Rewolucja jednak nie nastąpiła. Ale system wciąż ewoluuje, zmienia się. Owszem, za czasów Mahmuda Ahmadineżada doszło do zaostrzenia kursu. Faktycznie tak było. Ale później, w czasach Hasana Rouhaniego (2013-2021), pod wieloma względami mieliśmy poluzowanie. A dlaczego został zastąpiony przez konserwatystę Ebrahima Ra'isiego? Dlatego, że Rouhani był zwolennikiem porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi, z Europą, czyli tego porozumienia w sprawach nuklearnych. W oczach irańskich konserwatystów nie miał racji, bo jeśli USA złamały zawarte porozumienia, to dał się oszukać. Takie były argumenty. Jego ekipa została więc odsunięta i przyszła ekipa silnie zachowawcza.

Myślę o protestach po śmierci Mahsy Amini. One pokazują, w którą stronę wyrywa się młody Iran.

– To oczywiste, ludzie chcą godnie żyć, chcą być szczęśliwi. Kobiety chciały mieć prawo do decyzji, czy założyć chustę, czy nie. I nie mówię o czadorach, bo ktoś, kto nosi czador, jest osobą bardzo religijną. I zazwyczaj nosi czador z własnej woli. Zresztą w Iranie nawet w tych czasach, kiedy chusty obowiązywały, w sytuacjach prywatnych kobiety je zdejmowały. Na przykład idziemy do irańskiego domu. Kobiety są bez chust. Jeżeli jakaś kobieta ma chustę, to znaczy, że nie życzy sobie, żeby jej prywatność została naruszona. I w związku z tym kłaniamy się sobie grzecznie, ale już niekoniecznie do niej podchodzimy, żeby zagaić i rozmawiać, bo ona sobie tego nie życzy. To sygnał: proszę trzymać dystans.

W Iranie 70% naukowców zajmujących się badaniami jądrowymi to kobiety. 99,9% kobiet jest piśmiennych.

À propos dystansu, obserwowałem w Teheranie idącą parę. Szli obok siebie, muskając się koniuszkami palców. I co jeszcze rzucało się w oczy – ten chłopak wczuwał się w rolę opiekuna.

– Rycerskość jest elementem tamtejszej kultury. Szacunek wobec kobiet jest bardzo głęboko zakorzeniony. Oczywiście zdarzają się przypadki naganne – to zdarza się na całym świecie – ale tamtejsza kultura je odrzuca. One są niedopuszczalne. Pewnych rzeczy po prostu nie wypada. Oczywiście w każdej kulturze są jakieś ramy i ktoś poza nie wychodzi. Ale uwagi, które w Polsce uchodzą, tam dyskwalifikują.

Jakie uwagi?

– Choćby na temat tego, jak kobieta wygląda, jak się prezentuje. Tam urody się nie komentuje, nawet w tzw. męskim gronie takie zachowanie natychmiast dyskwalifikuje, po prostu. Szacunek do kobiet ma też konotację religijną. W szyizmie poza

eprasa.pl 17e13b0521

Mariam, czyli Marią, matką Jezusa, oraz Chadidżą, pierwszą żoną Mahometa, za kobietę doskonałą uznaje się Fatimę (Fatima az-Zahra) – to ideał kobiety, wzór cnoty, skromności i pobożności. W tradycji szyickiej przypisuje się jej najwyższy status duchowy, często porównywany do statusu nieomylnych imamów. Jest matką imamów Hasana i Husajna i nazywana jest „Panią kobiet wszystkich światów". Kolejna kobieta doskonała to Zaynab bint 'Ali – córka 'Alego i Fatimy. Postać kluczowa, symbolizująca odwagę, cierpliwość i siłę intelektualną. Po bitwie pod Karbalą, w której zginął jej brat Husajn, Zaynab przejęła rolę strażniczki szyickiej legendy, stając się głosem sprzeciwu wobec tyranii. Mają one swoje sanktuaria, ludzie do nich się modlą. Są obecne w życiu duchowym. To odciska piętno na zachowaniach i na kulturze.

W Polsce obecny jest stereotyp, że w Iranie kobiety są poniewierane.

– On jest nieprawdziwy. Na przykład przekonanie, że kobiety są dyskryminowane, gdyż transport publiczny podzielony jest na część męską i żeńską. To nie do końca prawda. Bo jest część żeńska i mieszana. I to kobieta decyduje, czy chce jechać w części mieszanej, czy w żeńskiej, właśnie po to, żeby w razie czego nie stała się jej krzywda, bo tak, zdarzają się zachowania naganne. Co ważne, sytuacja radykalnie się zmieniła w ostatnich dwóch latach. Według relacji moich znajomych Irańczyków takich sytuacji jest coraz mniej. Między innymi dzięki postawie młodych kobiet i mężczyzn, którzy to sobie wywalczyli.

Zastanawiająca jest również liczba studiujących kobiet.

– To także wynik silnego przewartościowania po wojnie z Irakiem. Jeżeli ginie pół miliona mężczyzn, młodych, synów, braci i mężów, to trauma, jaka zostaje w społeczeństwie, powoduje, że wszystkie dobre uczucia są przelewane na ich siostry i żony. Właśnie od czasów wojny z Irakiem kobiety poszły studiować. Dziś ponad 60% wszystkich studentów w Iranie to kobiety.

Uczestniczki wiecu pod hasłem „Poświęcone Dziewczyny" oddały hołd kobietom poległym podczas wojny na Bliskim Wschodzie. Teheran, 17 kwietnia 2026 r.

Co więcej, w Iranie funkcjonuje niepisana, bo nie jest usankcjonowana, zasada, że jeżeli w jakiejkolwiek strukturze państwowej szefem jest mężczyzna, to przynajmniej jedną zastępczynią jest kobieta. Co zresztą widać, można sprawdzić, kto jest zastępcą prezydenta Iranu Masuda Pezeszkiana.

Ciekawa postać, przedstawiciel mniejszości azerskiej, kardiochirurg, były rektor uczelni w Tebrizie, były minister zdrowia.

– Niedawno zbombardowany Uniwersytet w Teheranie to Alma Mater wielu wybitnych naukowców i naukowczyń. Między innymi jedna z nich uzyskała tzw. matematycznego Nobla i mieszka, zdaje się, w Stanach Zjednoczonych, nie wyrzekając się swojej ojczyzny. W Iranie 70% naukowców zajmujących się badaniami jądrowymi to kobiety. 99,9% kobiet jest piśmiennych. Owszem, odsetek kobiet na rynku pracy nie jest wielki, ale dorównuje odsetkowi – lub go przewyższa – w tych państwach regionu, które, jak np. Arabia Saudyjska, próbują świadomie tak kształtować politykę zatrudnienia, żeby kobiet było więcej. Dla nas odsetek 6% pracujących kobiet jest mały. Ale odpowiedzmy sobie, skąd to się bierze. W jakim stopniu to powody kulturowe, a w jakim wynik tego, że po prostu nie ma dla nich miejsca, bo panuje bezrobocie.

Ten kraj jest zaduszony.

– Ten kraj jest zaduszony pod wieloma względami. I nie chodzi o to, żeby bronić systemu politycznego i różnego rodzaju niesprawiedliwych rzeczy, jak to się dzieje, tylko żeby wyjaśnić, jaki jest obraz sytuacji i cały kontekst. Ten kraj, należy pamiętać, od 47 lat jest obłożony sankcjami. I niektórych rzeczy nie jest w stanie normalnie rozwijać. To pogłębia problemy. Mówiliśmy już, że jedno z największych wyzwań stanowi brak mieszkań dla młodych. Teheran jest zatłoczony, nie ma gdzie mieszkać. Ale ponieważ gospodarka jest niewydolna, naturalnym sposobem lokowania oszczędności są nieruchomości. To lokata, która ma chronić przed inflacją. Znamy to z Polski – pieniądz w ten sposób się zamraża, a z drugiej strony rosną ceny mieszkań. To jest ta spirala.

Ten system jest skorumpowany?

– Każdy system w jakimś stopniu jest skorumpowany – przez nepotyzm, przez układy – różna jest tylko skala, w tym przyzwolenie społeczne. I teraz jest tylko pytanie o skalę i głębię. W każdym systemie politycznym, również w naszym, korupcją jest to, kto jakie ma wpływy, kto z kim trzyma, jakie zawiązuje koalicje i jakiego rodzaju usługami się odwdzięcza.

Bezrobocie, problemy młodych, kłopoty gospodarcze – to wszystko raczej ma inne przyczyny. To złe zarządzanie gospodarką i sankcje.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 17e13b0521

Z Galicji

Jan Widacki

Nasza polska schizofrenia

Do licznych już objawów doszedł kolejny. Ogromny baner sławiący Zondacrypto na froncie gmachu Centrum Olimpijskiego im. Jana Pawła II. Te dwa wielkie napisy, z których jeden sławi polskiego papieża, a drugi gigantyczne oszustwo, jakoś prezesowi Piesiewiczowi dziwnie się komponują w całość. Jakby dotąd tych objawów narodowej schizofrenii było mało! PiS na straży polskiej rodziny i nierozerwalności małżeństwa! PiS z Ryszardem Terleckim, Martą Kaczyńską, Jackiem Kurskim i całą masą innych prominentnych postaci prawicy sprawdzających się w kolejnych związkach małżeńskich.

„LGBT to nie ludzie, to ideologia!", twierdził pewien wybitny filozof pełniący przez dwie kadencje urząd prezydenta. Ten przynajmniej miał stałe stanowisko w sporze o uniwersalia („Unia to wyimaginowana wspólnota" – to też jego mądra myśl godna wyrycia na jakiejś kamiennej tablicy umieszczonej w Muzeum Historii Polski). Rzecz w tym, że na czele wrogiego środowiskom LGBT ugrupowania politycznego stała osoba (nie wyimaginowana idea!) jak najbardziej do środowiska LGBT należąca. Ci sami ludzie wielbili wodza i rozwieszali afisze z „zakazem pedałowania". Wodzowi chcieli zabronić? Kochali wodza, a potępiali jego inklinacje?

PiS i jego elektorat były i są bardzo antykomunistyczne. Ale nie przeszkadzał im sędzia Kryże, wyniesiony na stanowisko wice-Ziobry za pierwszego PiS. Ten sędzia, który w schyłkowej PRL skazywał m.in. Bronisława Komorowskiego za składanie 11 listopada kwiatów przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Mało tego, sędzia Kryże był dla pisowców i ich wyborców dobrym wiceministrem sprawiedliwości w tym czasie, gdy lżyli prezydenta Komorowskiego, nazywając go „Komoruskim". To antykomunistyczne PiS powierzyło reformowanie wymiaru sprawiedliwości swojemu posłowi Piotrowiczowi, a później zrobiło z niego sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Piotrowicz, ta jedna z najobrzydliwszych postaci polskiej sceny politycznej, w PRL był nie tylko prokuratorem, ale i sekretarzem partii w prokuraturze. Ścigał opozycjonistów w stanie wojennym, a za swoje zasługi dla reżimu został nawet odznaczony Krzyżem Zasługi.

Najbardziej zaciekli lustratorzy PiS mieli wśród najbliższych zarówno donosicieli bezpieki, jak i funkcjonariuszy tej miłej formacji, a nawet jej stokroć milszej poprzedniczki, jaką był UB. Zaciekle tropili przy tym „resortowe dzieci", sami będąc często „resortowymi dziećmi" lub „resortowymi wnukami". Z upodobaniem grzebią w życiorysach swoich przeciwników politycznych, a nawet ich rodziców i dziadków, ale pytanie o przeszłość prezydenta z ich obozu, przez nich wyniesionego na ten urząd, oburza ich, a sama przeszłość tego pana ich nie obchodzi.

Baner sławiący Zondacrypto na froncie gmachu Centrum Olimpijskiego im. Jana Pawła II jakoś prezesowi Piesiewiczowi dziwnie się komponuje w całość.

Około 10% Polaków zachwyca się Braunem, który swoje publiczne wypowiedzi zaczyna od „Szczęść Boże", a kontynuuje, ziejąc nienawiścią do Żydów, Niemców, uchodźców – i wszystko układa im się w logiczną całość! Nasza narodowa schizofrenia jest groźniejsza od tej zwykłej, znanej psychiatrii. Jest zaraźliwa!

Na pociechę wspomnijmy sobie Konstytucję 3 maja. Akt narodowej zgody i kompromisu. Mało mamy takich pięknych momentów w historii. Ale mamy i takie. Okrągły Stół też do nich należał. I dlatego jest tak zohydzany przez prawicę.

Skoro ta nasza narodowa schizofrenia jako zaraźliwa jest nietypowa, to może jest też uleczalna? Może terapią byłaby edukacja? ■

Przegląd sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 17e13b0521

Przyśpieszenie w Michałowie

Sukces kryje się w umiejętności pozyskiwania pieniędzy – z Unii, z BGK. To niemal drugie tyle, ile dają dochody gminy

Anna Radziukiewicz

Przyśpieszenie historii w Michałowie ludzie odczuli w tym wieku dwa razy. Pierwszy raz, kiedy 1 stycznia 2009 r. obudzili się w mieście. Rada Ministrów nadała wtedy ich wsi prawa miejskie. Drugi raz odczuli to w 2021 r. Temperaturę emocji w parlamencie, rządzie i mediach podnosiło wtedy hasło: „Gdzie są dzieci z Michałowa?".

O jakie dzieci chodziło? Kryzys, nazwany migracyjnym, rozpoczął się w nocy z 7 na 8 sierpnia 2021 r. Straż Graniczna zatrzymała 349 imigrantów z Iraku i Afganistanu. Przedarli się przez polsko-białoruską granicę. Fala narastała. W mediach pojawiła się nazwa nikomu przedtem w Polsce nieznanej wioski Usnarz Górny. Leży przy granicy z Białorusią, w powiecie sokólskim. To tu 8 sierpnia pojawiło się kilkudziesięciu Irakijczyków i Afgańczyków. Tamtego sierpnia media informowały o fali 1935 imigrantów, a niebawem o kolejnej – 1175.

Niemiecka prasa też liczyła uchodźców, którzy nielegalnie przekroczyli polsko-białoruską granicę i dotarli do Niemiec. 21 sierpnia „Die Welt" pisze o 500 osobach, a dokładnie dwa miesiące później już o 5285.

Rząd – wtedy władza należała do PiS – rozpoczyna operację „Silne wsparcie". W istocie, silne. 4 listopada na przejściu w Kuźnicy Białostockiej i w okolicach jest już 12 tys. żołnierzy, 8 tys. funkcjonariuszy Straży Granicznej i 1 tys. policjantów. Razem 21 tys.! Pushback (od ang. wypchnąć z powrotem) staje się wtedy w Polsce pojęciem używanym w niemal każdej rozmowie. Stróże granicy mieli wypychać imigrantów z powrotem na Białoruś. Tak kazał rząd. Na przykład z grupy 1935 imigrantów wypchnięto 1175. Zasada była jedna: wypychać i nie pomagać. Za pomoc groziły procesy i kary.

Mur

Na granicy rósł pośpiesznie budowany mur wysokości 2,5 m. A w ludzkich sercach? Niektóre też otaczały się murem. Inne nie potrafiły.

Sesja Rady Miejskiej w Michałowie. Przewodniczy jej Maria Bożena Ancipiuk. Zaproszony jest zastępca komendanta Straży Granicznej Piotr Dederko. Dederko płacze. Opowiada, że wyrzucił za płot, za druty, dzieci. I że nigdy w życiu już tego nie zrobi. Rada postanawia działać wbrew dyrektywom rządu.

Zastępca komendanta Straży Granicznej Piotr Dederko płacze. Opowiada, że wyrzucił za płot, za druty, dzieci. I nigdy w życiu już tego nie zrobi.

Przewodnicząca rady Maria Ancipiuk zajęła się koordynacją pracy stowarzyszeń, które miały chronić migrantów przed śmiercią. Straż pożarna miała zorganizować w swojej siedzibie to symboliczne łóżko i czajnik. Zorganizowała. Wywieszono też transparent z napisem: „Punkt pomocy humanitarnej".

– Czego się boję? – pyta burmistrz Michałowa Marek Nazarko. – Boga.

Informacje o tragediach docierają do burmistrza 8 września. Straż Graniczna znajduje przy granicy ciała trzech imigrantów, zaraz potem osobę zmarłą z wychłodzenia, 24 września znów mężczyznę, w nocy z 26 na 27 września 16-letniego Irakijczyka, 14 października 24-letniego Syryjczyka.

W Michałowie mówiono wtedy: „Tak, pomagamy! Wbrew wszystkim".

„Marek, ja bym nie zdecydował się na coś takiego jak ty", mówił do burmistrza Michałowa jego kolega, Adam z Łomży, z którym Nazarko gra w brydża. Co na to burmistrz? „Przychodzi na podwórko człowiek. Prosi o kubek wody. Ty mu nie dajesz. On umiera. Więc dasz mu czy nie?". „Nie spojrzałem na to z tej strony", odpowiedział Adam.

– A u nas oni byli na podwórku! Nie krytykuję państwa za politykę graniczną, ale jeśli w moim lesie, na moim podwórku umiera człowiek, to mu pomagam. Dzwoni do mnie mój kolega z Białegostoku, Tosiek: „Marek, w lesie koło Bachur w twojej gminie siedzi siedmioro bosych dzieci". Wysyłam po nie strażaków. Gdybym tego nie zrobił, Tosiek mógłby patrzeć na mnie jak na oprawcę.

– Odważny burmistrz, odważna gmina, jedyna taka w pasie nadgranicznym – mówię.

– Niczego szczególnego nie zrobiliśmy – odpowiada Nazarko. – Jeżeli jako wójt, potem burmistrz dbam o tę gminę do dziś przez 22 lata, utożsamiam się z nią, buduję jej oblicze, to wszyscy, którzy trafią na jej teren, są moimi ludźmi. Nie chcę, by ktoś u nas umierał przez nasze

eprasa.pl 17e13b0521

Marek Nazarko podpisuje umowę z firmą RemontDom na realizację II etapu budowy gminnego przedszkola. 8 kwietnia 2026 r.

zaniedbanie, żeby umierały „dzieci z Michałowa". Działałem jak człowiek. Ale podobnie działali inni. Strażacy w Jałówce i Szymkach, jest ich 20, założyli punkty pomocy uchodźcom. Bez przyzwolenia miejscowych tego by nie zrobili.

Nagrody

Kraków, 2022 r., Sukiennice, wręczanie Nagród im. bp. Tadeusza Pieronka „In Veritate". Jedną z laureatek jest zastępca rzecznika praw obywatelskich Hanna Machińska. Dostojne grono uczestników ceremonii to profesorowie, biskupi, sędziowie. „Pan wie, dlaczego tu się pan znalazł?", pyta Marka Nazarkę ks. Sowa siedzący razem z sędzią Trybunału Konstytucyjnego prof. Stanisławem Biernatem. „Nie wiem", odpowiada Nazarko. „Jutro mamy debatę o najważniejszych zagrożeniach dla wartości chrześcijańskich w dobie kryzysu". Ks. Sowa jako uczestników debaty wymienia oprócz michałowskiego burmistrza jeszcze trzy osoby: biskupa z Libanu, niemieckiego dziennikarza i jakiegoś profesora.

Trwa debata. Myśli teologiczne i filozoficzne. Marek Nazarko: „Czy państwo pielęgnujecie tradycję pustego talerza przy wigilijnym stole?". W odpowiedzi słyszy: „Tak". „To proszę podnieść rękę, u kogo przy wigilijnym stole znalazł miejsce zabłąkany wędrowiec". Cisza. „A ja pokażę zdjęcie rodziny z Syrii, która zasiadła u mnie przy wigilijnym stole i drugie Marii Ancipiuk, która gościła rodzinę Rachmaniego z Afganistanu. Największym zagrożeniem dla wartości jest puste słowo, tak jak pusty talerz, do którego nikogo nie zaprosimy", dodaje. Rozlegają się brawa.

Następnego dnia do Urzędu Miasta w Michałowie dzwoni telefon. „Nikt u nas o niczym nie rozmawia, tylko o pana wczorajszym wystąpieniu – w słuchawce słychać głos prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego. – Czy zgodzi się pan być laureatem Nagrody im. Prezydenta Pawła Adamowicza?". „Dziękuję bardzo za uznanie, ale kiedy kapituła, werdykt?", pyta zaskoczony burmistrz, wiedząc o międzynarodowej randze nagrody. „Jeśli Kraków, Gdańsk i Wrocław nominują pana do tej nagrody, to powinien być pomyślny", słyszy Nazarko.

I tak o Michałowie, pyłku na globie – jak nazywa miasteczko burmistrz – zaczęto pisać m.in. w „New York Timesie", a także w polskich mediach. W kierunku miasta zaczęły pędzić tiry z pomocą humanitarną. Burmistrz zaprosił do jej odbioru wszystkich wójtów i burmistrzów strefy nadgranicznej – darów było za dużo jak na jedną gminę. Zgłosili się przedstawiciele tylko dwóch. Czyżby słuchali dyrektyw rządu?

Marek Nazarko wygrał pierwsze w demokratycznej Polsce wybory. Pokonał sześciu kontrkandydatów. Miał wtedy 34 lata. Od tego czasu, z krótką przerwą, rządzi w Michałowie. W 2023 r. poparło go 70% wyborców, którym dopiero tamta przerwa uświadomiła, co znaczy dobry gospodarz. Wtedy, gdy go nie wybrali, uwierało ich, że pałac sobie wybudował, czyli ratusz – w istocie z rozmachem. I przeniósł do niego urzędników z drewnianego baraku.

Burmistrz Michałowa z pracownikami urzędu i przedstawicielem wykonawcy robót na wyremontowanej w 2025 r. ul. Fabrycznej. 8 grudnia 2025 r.

FOT. GMINA MICHAŁOWO/FACEEBOK (2)

eprasa.pl 17e13b0521

Mieszkają tu zwykli ludzie

Historia Michałowa, w którym przyszło rządzić Markowi Nazarce, przypomina historię pucybuta dochodzącego do fortuny. Do początku XIX w. Michałowo nie istniało nawet jako wieś. Znany był majątek Niezbudka. Jego właściciel Seweryn Michałowski założył kolonię fabryczną. Od jego nazwiska przyjęła nazwę Michałowo. W 1860 r. były w niej już cztery fabryki sukna – Michałowskiego, Bauera, Konitza i Moritza. Zatrudniały 650 osób. Interesy w międzywojniu prowadzili tu głównie Niemcy i Żydzi. Jednak I i II wojna zniszczyły tutejszy przemysł włókienniczy. Michałowscy Żydzi w czasie II wojny zginęli w Treblince. Michałowem w tym czasie rządził Paul Malzer, zwany Krwawym.

Teraz mieszka tu ok. 3,5 tys. osób, kolejne 3 tys. w 20 wsiach gminnych. Być może największym sukcesem gminy jest to, że nie ma ujemnego przyrostu demograficznego. A w innych zapaść. Czasem dramatyczna.

– Jak ktoś się boi wilka, to nie idzie do lasu – odpowiada burmistrz.

Gdy Michałowo odwiedził prof. Jerzy Nikitorowicz, pedagog, były rektor Uniwersytetu w Białymstoku, stwierdził: „Inni budują drogi, place, a wy budujecie tożsamość miasta".

Tożsamość – tu wielokulturową – buduje się i poprzez wspieranie parafii (pięciu prawosławnych i dwóch rzymskokatolickich), i poprzez pomoc fundacjom czy stowarzyszeniom, które także na terenie tej gminy chcą rozwijać skrzydła.

Sztuka survivalu

A przedszkole? 1 września 2026 r. zostanie otwarte nowe, tuż obok istniejącego. Futurystyczne.

„Tort narysował!", rzekła znajoma pani architekt, gdy Marek Nazarko pojechał do niej w 2012 r. ze swoją koncepcją budowy przedszkola. Ale rozrysowała, projekt powstał. Jego realizacja wprawdzie została zamrożona na czas, gdy Nazarko nie był burmistrzem, ale budowa ruszyła tuż po jego powrocie na stanowisko.

Marek Nazarko: Gmina jest dla mnie jak dziecko. Nie ma osoby, która by mnie zniechęciła do pracy dla jej dobra.

W Michałowie buduje się – z inicjatywy miasta, co jest absolutną rzadkością w miejscowościach podobnej wielkości na tzw. ścianie wschodniej – 64 domy w czterech lokalizacjach. W planach są kolejne 84. To oferta dla mieszkańców gminy. Pierwszeństwo mają rodziny wielodzietne. Mieszkania w tych domach to zasób gminy. Ale gmina nie ponosi kosztów ich budowy! Bank Gospodarki Krajowej dofinansowuje koszt inwestycji aż w 80%. W Michałowie ofertę doceniono. Powołano z ramienia rady miasta spółkę, która kieruje procesem inwestycyjnym. Pierwszy etap budowy kosztował ok. 30 mln zł, 24 mln od razu przelał BGK. 20% kosztów mają pokryć zasiedlający domy mieszkańcy. Należność może być rozłożona w ratach. To domy dla zwykłych ludzi – nauczycieli, leśników, urzędników. Nie komunalne.

– Dlaczego inni tego nie robią? – dziwię się.

– Takiego nie będzie w całym województwie, a nawet w Polsce – mówi pomysłodawca. Oprócz sal zajęciowych na jednym poziomie znajdzie się przestrzeń widowiskowa dla dzieci i rodziców, na drugim sala zabaw typu fikoland. W starszych oddziałach będzie realizowany program survivalowy. Tym, czego dzisiaj dzieciom brakuje najbardziej, jest umiejętność pracy i samoobsługi.

– Jesteście najbogatszą gminą w powiecie białostockim? – pytam. Mam na uwadze m.in. istnienie w miasteczku zespołu szkół średnich, jakość ulic i dróg dojazdowych do gospodarstw wiejskich, nowo założony park, pływalnię miejską, strefę wypoczynkową wraz z portem nad Zalewem Siemianówka i wypoczynkowo-imprezową w mieście.

– Z dochodami własnymi rzędu 32 mln zł zajmujemy teraz dziewiątą pozycję w powiecie. Na 16 gmin – mówi burmistrz.

Najbogatsze gminy w powiecie mają prawie trzykrotnie wyższe dochody. Ale tajemnica sukcesu Michałowa kryje się też w umiejętności pozyskiwania pieniędzy z zewnątrz, chociażby z Unii Europejskiej czy z BGK. To niemal drugie tyle, ile dają gminne dochody.

– Gmina jest dla mnie jak dziecko. Nie ma osoby, która by mnie zniechęciła do pracy dla jej dobra – kończy Marek Nazarko. Ale tę pracę może przerwać ustawa. Jeśli nie zostanie zmieniona. Od 2018 r. wójtowie i burmistrzowie mogą startować w wyborach samorządowych tylko dwa razy.

Jak tę sytuację ocenia burmistrz Michałowa? – To będzie oznaczało, że w całej Polsce w wyborach na wójtów i burmistrzów wystartują ludzie, którzy będą mieli zerowe albo najwyżej pięcioletnie doświadczenie w pracy na tak odpowiedzialnej posadzie. Tych samorządowców z długim stażem, często sprawdzonych, dobrych, ustawa eliminuje. Nikomu nie pozwoli rozwinąć skrzydeł. Od wszystkich oczekujemy praktyki, doświadczenia i referencji – od firmy budowlanej, kucharki, kierowcy, lekarza, nauczyciela, opiekunki do dzieci, tylko nie od wójta i burmistrza – tak stanowi ustawa. Ustawodawca uznał wójta i burmistrza za skarbnicę prawd objawionych, czyli kogoś, kto wszystko wie i nie musi zdobywać żadnego doświadczenia ani praktyki. A przecież tak nie jest – wskazuje Marek Nazarko. – Ta ustawa to jak zakaz pracy dla dobrych wójtów i burmistrzów, sprawdzonych, którzy zyskali zaufanie wyborców. Wiem z doświadczenia, że dopiero po tych mniej więcej dziesięciu latach pracy jako wójt czy burmistrz dojrzewamy do pewnych decyzji, zarządzamy, unikając wielu błędów. Może dlatego w ok. 500 gmin w Polsce w ostatnich wyborach było po jednym kandydacie na wójta, a w wielu żadnego. Ta ustawa musi być zmieniona, bo wprowadza zakaz dobrej pracy wójta czy burmistrza, w dodatku bez prawa uzyskania emerytury. To nieludzkie. A co najgorsze – szkodliwe dla społeczności lokalnej.

Anna Radziukiewicz

eprasa.pl 17e13b0521

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Wolność a samowola

Kochamy wolność. Mam jednak wrażenie, że zbyt często mylimy ją z samowolą. Ta druga polega na tym, aby zawsze robić, co się chce, ta pierwsza, aby robić to, co robić wolno. Samowola charakteryzuje zachowanie małego dziecka, które nie zna jeszcze ograniczeń moralnych, obyczajowych czy prawnych, wolność – dojrzałego człowieka, który we, że nie wszystko można. Zna zatem i akceptuje ograniczenia wolności wynikające z tego, że jest ona realizowana zawsze w kontekście relacji z innymi ludźmi. Wie, że nie realizuje się swojej wolności kosztem innych. Że ludzkie działania odbywają się nie w pustce, ale w pewnej wspólnocie, w której bycie razem wymaga regulacji zapewniających równość praw, a co za tym idzie wykluczenia sytuacji, kiedy czyjąś wolność realizuje się w sposób uszczuplający wolność innych albo narażający ich na szeroko pojmowaną krzywdę. Słowem, o ile samowola jest znakiem egoistycznego wynoszenia swojego widzimisię do rangi jedynej motywacji działania, o tyle wolność jest realizacją czyjejś woli w sposób biorący pod uwagę prawa, uczucia i interesy innych.

Przejdźmy do konkretów. O ile wolność w poruszaniu się po drogach polega na kierowaniu pojazdem w taki sposób, aby nie naruszać przepisów ruchu drogowego, o tyle samowola polega na tym, że jadę, jak chcę, nie honorując ograniczeń szybkości czy innych regulacji. O ile wolność w użytkowaniu posiadanego przeze mnie kawałka ziemi polega na tym, że mogę z nim zrobić, co mi się podoba, pod warunkiem że nie ma to niekorzystnego wpływu na innych, o tyle samowola polega na tym, że robię, co chcę, np. buduję coś, co wpłynie negatywnie na posiadaczy innych kawałków ziemi (chociażby zasłoni im światło). O ile wolność polega na tym, że mam prawo oczekiwać od państwa ochrony przed przemocą (ma ono na nią monopol), o tyle samowola polega na tym, że roszczę sobie prawo do samodzielnego wymierzania sprawiedliwości (mam broń, która mi do tego posłuży).

Przykłady można by mnożyć. Nie o to jednak mi chodzi, ale o to, aby postawić pewną tezę ogólną. Otóż w moim przekonaniu my, Polacy, mamy tendencję do mylenia wolności z samowolą. I to nie od dziś. Dlatego tak wielką popularnością cieszą się u nas ruchy polityczne, które domagają się znoszenia wszelkich regulacji nakładających ograniczenia na naszą wolność. A ponieważ ograniczenia te (regulacje) są związane z prawem, którego źródłem jest państwo, właśnie ono staje się głównym wrogiem. Państwo jest wrogie, ponieważ domaga się płacenia podatków. Jest wrogie, ponieważ ogranicza dostęp do broni. Nakłada regulacje na sposoby korzystania z przyrody. Chce kontrolować, co i gdzie budujemy. Chce regulować walutę i przepływy kapitałowe… Jest więc wrogie, ponieważ ogranicza naszą samowolę, którą my bierzemy za wolność właściwą. Ta znana z naszej historii tendencja do mylenia samowoli z wolnością (Polska szlachecka) jest dziś bardzo silna. Wystarczy prześledzić karierę idei deregulacji, która jest często niczym innym jak tęsknotą do wolności bez granic.

Zwolennikami samowoli są z reguły ci, którzy czują się silni. Nieprzypadkowo byli to zwykle młodzi mężczyźni, co tłumaczyłoby także ich dominującą dziś obecność w skrajnie prawicowych ruchach politycznych, takich jak Konfederacja. Kobiety słusznie widzą w samowoli zagrożenie dla ich bezpieczeństwa i prawa do równości, co wyjaśniałoby ich sympatię dla lewicy. Ideologii samowoli sprzyjają też przemiany kultury zachodniej, która staje się coraz bardziej indywidualistyczna. Dzisiejszy hiperindywidualizm sprzyja całkowitemu porzuceniu idei dobra wspólnego, możliwej do pogodzenia z wolnością, a niemożliwej do pogodzenia z samowolą. W walce wolności z samowolą (znanej zresztą kulturze zachodniej od jej zarania, wszak pisał o niej już Arystoteles) fundamentalna rola przypada państwu. Albo będzie ono ulegało presji samowoli, albo obroni wolność.

Zwolennikami samowoli są z reguły ci, którzy czują się silni.

Obawiam się, że państwo polskie tę walkę przegrywa, czego widomym znakiem są losy samowoli budowlanych z zamkiem w Stobnicy na czele, obecna anarchia urbanistyczna i dominacja interesów deweloperów nad dobrem wspólnym. Nasze państwo słabo spisuje się również w kwestii dbałości o przyrodę czy spraw pracowniczych. W tym pierwszym przypadku cios w plecy zadają mu nie tylko pojedynczy inwestorzy, ale także samorządy traktujące powierzony sobie teren jako swoją własność (dlatego nie sposób dziś w Polsce stworzyć nowy park narodowy). W tym drugim pracodawcy, którzy traktują swoich pracowników jak półniewolników, a w najlepszym razie jak nieletnich członków rodziny wymagających opieki (wedle paternalistycznej zasady: moi pracownicy nie potrzebują związków zawodowych, ponieważ ja dbam o ich interesy). Zakończmy zatem takim hasłem: więcej wolności, mniej samowoli! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 17e13b0521

Europa znów na peryferiach?

Atlantycki patron chce zmienić architekturę ładu światowego, by zachować dotychczasową hierarchię

Tadeusz Klementewicz

Przyczyny mizerii debaty publicznej w Polsce zgłębił prof. Waldemar Karpa („Pollicitatio nad Wisłą", „Przegląd" nr 16/2026). Wracamy do czasów sejmowego i sejmikowego warcholstwa szlachty z jej obsesją *absolutum dominium* – strachem przed wzmocnieniem prawie szczątkowej władzy króla. To chyba trafniejsza analogia niż niewiele mówiąca polskiemu czytelnikowi metoda ogłupiania rzymskiego plebsu ówczesnymi CPK.

Pułapka postępu

Obecnie problem jest poważniejszy, bo dotyczy całej UE. Zamęt w umysłach unijnych przywódców powstał, kiedy atlantycki patron zmienił strategię utrzymania hegemonii. Chce teraz zmienić architekturę ładu światowego, by zachować dotychczasową hierarchię. Przy okazji właściciele portfeli inwestycyjnych, w tym kongresmeni, mogą zarabiać na wojnie. Nie przypadkiem wszyscy „miłujący pokój i prawa człowieka" kupują akcje hien zbrojeniowych, takich jak Lockheed Martin czy Rheinmetall AG. W amoku zbrojeń giną inne zagrożenia: następstwa kryzysu planetarnego. To następstwa kapitalizmu, wzrostu gospodarczego i masowej konsumpcji: ludzie zbędni, efekt cieplarniany, księżycowe pejzaże. Przynajmniej dzięki nim będzie można zaoszczędzić na turystyce kosmicznej.

OPINIE

Pollicitatio nad Wisłą

Debata publiczna karleje i ulega dramatycznej trywializacji

Waldemar Karpa

W sierpniowej publicznie emocjonalnie jednocześnie przyniesiono obywatele wobec miasta lub społeczeństwa.

Najgroźniejsza jest pułapka postępu, w której uwięzili nas właściciele, udziałowcy oraz zarządzający wielkimi korporacjami cyfrowymi, zbrojeniowymi, wydobywczymi i finansowymi. To oni decydują o kierunkach rozwoju technologii i nie pytają nikogo o zdanie. Te pijawki realnej gospodarki całego świata wynagradzają swoich menedżerów *success fee*, nie bacząc na koszty społeczne i ekologiczne ich wirtuozerii finansowej. Na giełdzie Polymarket możesz obstawić nawet datę śmierci nowego przywódcy Iranu.

> Właściciele oraz udziałowcy korporacji cyfrowych, zbrojeniowych i finansowych decydują o kierunkach rozwoju technologii i nie pytają nikogo o zdanie.

Historia się powtarza. Jak pisze archeolog i antropolog Ronald Wright: „Myśliwi, którzy nauczyli się zabijać dwa mamuty zamiast jednego, dokonali postępu. Ci, którzy wpadli na pomysł, by zagnać stado na krawędź urwiska i uśmiercić 200 sztuk naraz, posunęli się za daleko. Żyli na wysokim poziomie… przez chwilę. Potem nastał głód" („Krótka historia postępu", 2021). Chwilo, trwaj – jak długo jeszcze?

I kierujący UE, i ekonomiści, i zauroczeni darami Rynkowego Pana wierni konsumenci myślą naiwnie, że to kapitalizmowi, prywatnej własności i wolnemu rynkowi zawdzięczamy obecny komfort życia na Północy. A przecież naszymi dobrodziejami są wynalazki, technika i napędy – dzieło nowoczesnego przyrodoznawstwa. I do tego energetyczni niewolnicy, czyli tania do niedawna energia z węglowodorów napędzająca maszynerię zysku. Wydatki na zbrojenia tylko stabilizują koniunkturę. Przynajmniej przez jakiś czas. Ale na dalszą metę jedynie pogłębią kryzys planetarny. To bowiem bardzo kosztowne wydatki, również ekologicznie (nowoczesna broń jest energożerna, np. napędzany turbiną gazową czołg Abrams spala od 400 do 800 litrów paliwa na 100 km). Co groźniejsze, stabilizują amerykański model gospodarki rujnującej planetę. A już obecnie, gdyby pozostali mieszkańcy Ziemi chcieli się odżywiać jak Amerykanie, musielibyśmy mieć dwie planety na potrzeby samej gospodarki rolnej.

Znów rozumni szałem

Europa pod groźbą wojny z Rosją chce wydać 800 mld euro na zbrojenia. Nadwiślańscy politycy kosztem innych ważnych wydatków budują Fort Polanda. Wydają w tym celu już 20% rocznego budżetu. I to w sytuacji, kiedy malowany wróg ma w arsenale ponad 5 tys. głowic jądrowych. Czy to prezydent Rosji jest winien dezindustrializacji USA i zmierzchu dolara jako waluty rezerwowej, a także przewagi konkurencyjnej gospodarki chińskiej i spadku znaczenia G7 kosztem BRICS?

Strach przed inwazją tego kraju na Europę kwalifikuje się do kategorii

eprasa.pl 17e13b0521

„szaleństwa władzy". Tak sądzi wielu trzeźwych analityków, którzy nie są pracownikami korporacji, zwłaszcza medialnych (m.in. Thomas Palley, Jeffrey Sachs, w Polsce Stanisław Bieleń, Grzegorz W. Kołodko). To kategoria analizy polityki, którą zastosowała amerykańska historyczka Barbara Tuchman w jednej ze swoich błyskotliwych książek. Jest to rodzaj obłędu. Ogarnia on sprawujących władzę w momentach przełomowych. Żyją urojeniami, nie rozumiejąc nowej sytuacji historycznej. Stają się zagubionymi półprzewodnikami swoich narodów. Ta bezradność i bezwład myślowy najbardziej dyskwalifikują ich jako przywódców.

I tak się dzieje, odkąd w wyniku przemyślanej strategii państwa chińskiego powstał nowy kolos gospodarczy. Co więcej, rzuca on upojonemu demokracją wyborczą Zachodowi także wyzwanie ustrojowe. Nie pozwala portfelowemu kapitałowi Zachodu przejmować krajowej nadwyżki ani odebrać sobie narzędzi regulowania gospodarki. Państwo chińskie zachowuje też autonomię zarówno wobec własnego, jak i zagranicznego biznesu. To boli najbardziej amerykańskie fundusze posługujące się spekulacyjnymi strategiami inwestycyjnymi.

Jak żyć bez kolonii

W minionych wiekach przewagą Europy okazała się geografia. To tutaj kilkanaście wspólnot – mniej więcej o trwałej lokalizacji – broniło swoich ojczyzn bądź je powiększało. Do tego przydawały się szybko udoskonalana broń i duch bojowy. Jak pisał płodny historyk i literat Hilaire Belloc: „Cokolwiek się wydarzy, my mamy karabiny maszynowe, a oni nie". Oni to najpierw sąsiednie plemiona na kontynencie, potem tubylcze plemiona w Ameryce, Afryce i Azji. I to broń oraz bezwzględność w jej stosowaniu ułatwiły opanowanie ziem i wyzyskanie taniej pracy ludów nieznających Pana. To zapewniło kilku europejskim imperiom dekady prosperity.

Byli kolonialiści najpierw musieli się odnaleźć w nowej sytuacji, kiedy po II wojnie światowej amerykańskie imperium urządzało świat na nowo. Musieli znaleźć przytułek dla własnych firm w systemie, w którym gospodarka amerykańska była równa wszystkim pozostałym. Teraz, kiedy dawne kolonie Europejczyków odzyskały wigor, nie mogą oni już korzystać z dziedzictwa swojej kolonialnej i neokolonialnej przeszłości. Tracą nie tylko dochody z nierównej wymiany z byłymi koloniami.

Według szacunków zespołu znanego antropologa Jasona Hickela nawet jedna czwarta ichniejszego PKB pochodzi z eksploatatorskich relacji wymiennych z globalnym Południem, zwłaszcza z Afryką: pracy jak 13 do 1, eksploatacji ziemi jak 5 do 1 i surowców jak 3 do 1. Stracili też konkurencyjność przemysłu. Przywódcy państw na kontynencie bez surowców i minerałów wybrali droższy amerykański i katarski LNG. Chcą teraz ratować wydatkami na zbrojenia upadające gałęzie przemysłu: zamiast samochodów produkować autonomiczne czołgi, może nawet samoloty. Mają setki doradzających think tanków z naciskiem na tanki.

Wbrew obiegowej opinii to nie wytłumienie rywalizacji między firmami dominujących narodów europejskich legło u podstaw integracji. Jak stwierdza belgijski historyk David van Reybrouck, to „dekolonizacja była kluczowym elementem integracji europejskiej". Kiedy w latach 1955-1957 prowadzono rozmowy nad traktatem rzymskim – powstawały nowe, niezależne państwa w Azji i w Afryce. Europejskie mocarstwa kolonialne pod płaszczykiem integracji i wolnorynkowej polityki chciały przedłużyć swoje imperialne wpływy. Bo okazało się, że tworzą tylko półwysep wielkiego kontynentu Eurazji. Na dodatek swoją nadwyżkę via londyńskie City eksportowały do ojczyzny światowego pieniądza – na Wall Street. Teraz popłynie ona dodatkowo do patrona w postaci wydatków na zbrojenia, skoro Europejczycy pozostawili kalifornijskim big techom technologie cyfrowe. Tamte firmy mogły zaś korzystać z subwencji Pentagonu, gdyż ich technologie mają także zastosowania militarne.

Swoje fantasmagorie ma też prawica spod znaku „OZE-sroze" i „ekoterroryzmu". Kompletnie nie rozumie źródeł konkurencyjności chińskiej gospodarki. Myśli, że to dzięki energetyce węglowej. Tymczasem Chiny przeznaczają 90% światowych wydatków na czystą produkcję. I zainstalowały 152 GW z OZE, co stanowi 75% nowych mocy w energetyce.

Fałszywa diagnoza prowadzi do błędnej strategii. A błędna strategia tylko przybliża kryzys planetarny. W walce z tym kryzysem niewiele pomogą powstające w laboratoriach kolejne generacje broni czy kolejne technologie obróbki informacji. Bo bity nigdy nie zastąpią atomów. One cię nie nakarmią. Wciąż największym uzbrojeniem gatunku jest ludzki mózg. Tylko trzeba umieć się nim posłużyć. Szanse na bezpieczeństwo rosną dzięki korzyściom ze współpracy. Na przykład dlaczego Europa wespół z Chinami nie mogłaby działać na rzecz przyśpieszenia modernizacji społeczeństw afrykańskich? One zmagają się z dziedzictwem kolonializmu starszej i nowszej daty. Były to wymuszone dostosowania do wolnego rynku pod egidą Światowej Organizacji Handlu, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Europa zmaga się zaś z problemem ludzi zbędnych na tym kontynencie. Ale Europa jak zwykle zorganizuje kolejną konferencję, a Chiny zbudują kolejny port, taki jak gigantyczny Chancay – na peruwiańskim wybrzeżu Pacyfiku.

Gdyby pozostali mieszkańcy Ziemi chcieli się odżywiać jak Amerykanie, musielibyśmy mieć dwie planety na potrzeby samej gospodarki rolnej.

Tadeusz Klementewicz jest politologiem, profesorem nauk społecznych, wykładowcą na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, specjalistą w zakresie teorii polityki i metodologii nauk społecznych

eprasa.pl 17e13b0521

Utajony ośrodek zagłady w Działdowie

Marek Książek

W Polsce mało znana jest chyba historia hitlerowskiego obozu zagłady Soldau, jak po niemiecku zwane było Działdowo. To niewielkie miasto leżące na pograniczu Mazowsza i Mazur decyzją traktatu wersalskiego (1919) przyznano odrodzonemu państwu polskiemu. Nie było to w smak mieszkającym tam Niemcom, którzy 20 lat później, po napaści Hitlera na Polskę, brutalnie odgrywali się na polskich sąsiadach. Prawie od razu zaczęły się szykany wobec działdowskiej elity, więzionej w okazałej prywatnej willi, gdzie przywiązywano ludzi na łańcuchach jak psy i kazano im szczekać, a nawet kąsać tych, którzy wchodzili do celi.

To był dopiero początek kaźni. W dawnych koszarach i okolicznych barakach Niemcy urządzili najpierw obóz przejściowy dla jeńców wojennych, głównie obrońców Modlina, a potem obóz eksterminacji ludności polskiej. Formalnie Lager Soldau nie był obozem koncentracyjnym, lecz „wychowawczym obozem pracy", nosił jednak wszelkie znamiona miejsca kaźni. Zwłaszcza wtedy, gdy jego komendantem był Hans Krause, prawdziwy zwyrodnialec, którego nadzorował dr Emil Otto Rasch, inspektor policji i służby bezpieczeństwa w Königsbergu (Królewcu). „Więźniowie albo stali na baczność, albo siedzieli na barłogu, w równej linii, ręce mieli oparte na kolanach wyciągniętych nóg, a głowy zwrócone prosto przed siebie, wpatrzone nieruchomo w jeden punkt, jak na baczność", wspominał jeden z nich.

W obozie Soldau hitlerowcy przeprowadzali liczne egzekucje i mordy, a ciała ofiar wywozili poza Działdowo, gdzie grupa żydowskich „grabarzy" musiała je zakopywać w lesie (do dziś dużej części szczątków nie znaleziono). Sami Żydzi też byli ofiarami zbrodni, tak jak polska inteligencja i duchowieństwo, m.in. metropolita płocki abp Julian Antoni Nowowiejski i bp Leon Wetmański, a także zakonnice. Zmarł tam również Bohdan Jałowiecki, konsul RP w Olsztynie. Obrazu tragedii dopełniła epidemia tyfusu.

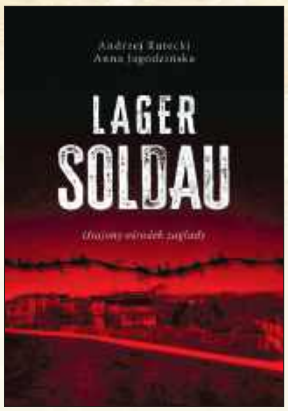

Anna Jagodzińska, Andrzej Rutecki, *Lager Soldau. Utajony ośrodek zagłady*, Wydawnictwo Miles, Kraków 2026

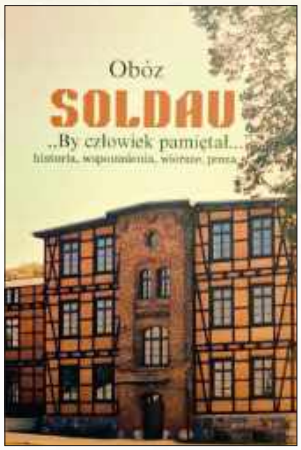

***Obóz Soldau. „By człowiek pamiętał...", historia, wspomnienia, wiersze, proza*, Działdowska Kuźnia Słowa 2025**

Niewielu więźniów miało takie szczęście jak rodzina Romualda Drohomireckiego, którego ojciec zginął w rzezi wołyńskiej, a jego, brata i siostrę jesienią 1943 r. wywieziono do Soldau. Gdy zbliżało się wyzwolenie, Niemcy popędzili resztę żyjących więźniów, głównie Polaków i Rosjan, w „marszu śmierci" – wielu po drodze rozstrzelali. Ale matka Romka zaryzykowała, ukryła dzieci w więziennej piwnicy, dzięki czemu cała rodzina doczekała wyzwolenia obozu przez Armię Czerwoną.

Według niepewnych szacunków (hitlerowcy niszczyli dokumentację) przez Lager Soldau przeszło 20-30 tys. więźniów, z których od 5 tys. do nawet 10 tys. zamordowano. Trzeba jednak dodać, że w tym samym obozie po zajęciu Działdowa przez Armię Czerwoną w 1945 r. NKWD urządziło własny obóz nakazowo-rozdzielczy, skąd wywożono więźniów na Syberię. Taka zamiana jednego totalitaryzmu na drugi. Też były ofiary śmiertelne, choć opracowania naukowe na ten temat są jeszcze skromne.

Hitlerowcy niszczyli dokumentację, więc można jedynie oszacować, że przez Lager Soldau przeszło 20-30 tys. więźniów, z których 5-10 tys. zostało zamordowanych.

Ostatnio ukazały się dwie książki, które opisują tę ponurą historię. Szkoda, że w odbudowanym głównym gmachu obozu wciąż nie powstało muzeum, o co upomina się m.in. Jerzy Buczyński z Olsztyna, wielki propagator tej idei, lecz władze Działdowa nie mają na to środków. ■

eprasa.pl 17e13b0521

Oko w oko

Tomasz Jastrun

W mrocznym świecie

X jest chirurgiem, dosyć młodym, 13 lat pracował w Niemczech. Mieszka teraz w Poznaniu. Jemy kolację. Jego poglądy na świat to mieszanka obu Konfederacji, też tej braunowskiej, trochę PiS. Antysemityzm jak najbardziej. Żydzi mają w piśmie zapisane, że mają dominować nad światem. Bardzo chciałby mieć gaśnicę z autografem Brauna. W zmiany klimatyczne nie wierzy, rozwój Polski jest pozorny, bo na kredyt i to źle się skończy. Imigranci to gorsze niż dżuma. Izrael to ludobójcy. Kiedy go pytam, co by zrobił na miejscu premiera Izraela po ataku terrorystycznym, nie wie, waha się – typowa reakcja na to pytanie. W końcu mówi, że Izraela nie powinno być tam, gdzie jest. To gdzie ma być? Nie wie. Gdyby cały ten bałagan myślowy był tylko w jego głowie, to pół biedy. Miliony ludzi w Polsce tak myślą.

Uważam, że polityka Izraela wobec Palestyńczyków od dziesięcioleci była błędem, a czasami była haniebna. Netanjahu jest paranoikiem, jak Trump, jak Orbán, jak prezes, ale liberalny premier też by zaatakował Gazę, nie miałby wyjścia, musiałby podjąć próbę zniszczenia Hamasu, powinien tylko szybko się wycofać, widząc, że nie da się zniszczyć Hamasu, nie burząc miasta.

Skala niechęci do Izraela w świecie musi mieć swoją podskórną falę, która tak wysoko niesie. To różne formy utajonego antysemityzmu; był uśpiony, czasami głębinowy, zawstydzony przez „nie wypada", bo Holokaust, bo Hitler (chłop miał może wiele racji, ale przesadził). Problem w tym, że w internecie pleni się teraz nie „poczciwy i kulturalny" antysemityzm, ale nazistowski. Jakby te komentarze pisali pracownicy obozów zagłady. Oczywiście nie uważam za antysemityzm potępiania Izraela za cywilne ofiary w Gazie, chociaż niektórzy moi znajomi żydowskiego pochodzenia tak myślą. To też chore myślenie. Jak nie wszyscy Polacy ponoszą odpowiedzialność za PiS, nie wszyscy Węgrzy za Fidesz, tak nie wszyscy Żydzi odpowiadają za Netanjahu i tę faszystowską bandę, którą się otoczył. A takie myślenie jest powszechne.

Połowa Izraelczyków to liberałowie myślący identycznie jak nasi liberałowie. Są w rozpaczy i depresji z powodu sytuacji politycznej. Jeśli używa się tu pojęcia „odpowiedzialność zbiorowa", można by powiedzieć, że wszyscy mieszkańcy Gazy są odpowiedzialni za Hamas, że pozwolili mu się zagnieździć, a Hamas to SS. Liban z kolei jest odpowiedzialny za Hezbollah. Jak państwo mogło pozwolić, by na jego terenie istniała armia finansowana przez Iran, która atakuje sąsiada? Ostrożnie z odpowiedzialnością zbiorową.

Myślenie X to chemia psychiczna, to żelazny zestaw poglądów, one są w pakiecie. Antysemita zawsze będzie negował zmiany klimatyczne, głosił przekonanie, że rozwój Polski jest sztucznie nadmuchany i że to się skończy katastrofą. Imigranci to roznosiciele moralnego trądu. W przypadku X to tak niepokoi, bo jest lekarzem, pracował w Niemczech, jest inteligentny. Ale co zrobić, to stan umysłu. I całkowita odporność na argumenty.

•

Czytam dzienniki Goebbelsa, na razie dwa grube tomy, a są trzy. Przerażające. Jest inteligentny, wydaje się, że kocha swoje dzieci, a w bunkrze Hitlera będzie patrzył, jak całej szóstce (wszystkie miały imiona zaczynające się na H na cześć Hitlera) jego żona Magda podaje morfinę, a potem truciznę. Takie wzruszające karmienie maleństw. Potem w ogrodach obok bunkra Hitlera zastrzeli żonę i siebie. Właśnie ta normalność zbrodniarza budzi przerażenie, był motorem machiny propagandowej Hitlera, odpowiedzialnym za tworzenie świata okrutnej, paranoicznej fikcji i pompowanie jej do głów Niemców. Skutecznie.

Skala niechęci do Izraela w świecie musi mieć swoją podskórną falę, która tak wysoko niesie.

Mnie oczywiście najbardziej interesowały wrzesień i październik 1939 r. i co Goebbels pisał o Polakach. 10 października notuje: „Opinia Führera o Polakach jest miażdżąca. Bardziej zwierzęta niż ludzie, całkowicie otępiali i amorficzni. Do tego szlachta, będąca przynajmniej mieszaniną niższych ras z aryjską warstwą panów. Brud wśród Polaków jest niewyobrażalny. Również ich możliwości rozumowania są bliskie zeru. (…) Führer nie chce asymilacji Polaków. Powinno się ich wtłoczyć do tego ich pomniejszonego państwa i tam pozostawić samych sobie".

•

A Trump władował się w pułapkę. Traci popularność nie tylko w Stanach, europejska prawica od niego się odwraca, już chyba tylko PiS przy nim trwa. Jaka to wierna, ale trudna i bolesna miłość. A Iran trzyma teraz cały świat za szyję cieśniny Ormuz. Trump jest drapieżnym narcyzem, a taki narcyz w pułapce może być zdolny do wszystkiego. Zanim ten tekst, pisany przed majówką, się ukaże, minie sporo czasu, coś już się wyjaśni lub się ściemni. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 17e13b0521

Poraź talentem, zrób wrażenie i zniknij

Widzowie polubili moje serialowe bohaterki

Rozmawia Karolina Prewęcka

EWA SZYKULSKA

– jedna z najbardziej rozpoznawalnych aktorek kina i teatru

Rolą jednej z trzech dziewczyn – dziewczyny pracującej na poczcie – w „Dziewczynach do wzięcia" w reżyserii Janusza Kondratiuka pokazałaś, że nie pozwalasz zaszufladkować się do jednego typu ról.

– Wypłakałam i wykrzyczałam u Janusza tę rolę. Było mi o tyle łatwo, że byłam już wtedy kobietą Kondratiuka, a bardzo chciałam zagrać… Dziewczynę do wzięcia. I zagrałam. To jedyna wyproszona rola na moim koncie. Warunkiem, że ją dostanę, była moja zgoda na zeszpecenie. Przez srebrne nakładki zniszczyłam sobie zęby, bo się porozsuwały, ale w tym zawodzie przecież zdarzają się gorsze rzeczy, np. 20 kg na plus do roli albo na minus. (…) Dzięki „Dziewczynom" nabrałam szacunku do ludzi, których w odniesieniu do sztuki nazywa się amatorami albo naturszczykami. Moi koledzy często powtarzali i powtarzają, że w naszym zawodzie trzeba być profesjonalnym. Cholera jasna, czy profesjonalnym się stajesz, bo pewne rzeczy tyle razy powtarzasz? A czy nie chodzi przede wszystkim o to, na ile mocno rozbłyskasz, grając, nieważne, czy jako amator, czy profesjonalista? Jeśli jest taka potrzeba, zawsze bronię amatorów przed profesjonalistami z tytułem magistra.

Chciałam być w „Dziewczynach" tak zwyczajnie przezroczysta jak moje koleżanki z planu – a potem też przyjaciółki w życiu – jak Ewa i Regina, czyli Ewa Pielach i Regina Regulska. Obserwowałam obie i wtulałam się w nie. Chciałam zagrać w tym filmie na pograniczu grania i niegrania. Tak, żeby widzowie nie wiedzieli, czy ja gram, czy ja jestem. Żeby wytworzyło się coś między jawą a snem. Może się udało? (…)

Na planie „Dziewczyn" zdarzały się nam różne przygody, śmieszne i mniej śmieszne, znaczące i ulotne. Podczas kręcenia sceny na schodach ruchomych na dworcu kolejowym w Warszawie jakiś no name, cham bez zębów złapał mnie za tyłek. Mnie – Księżniczkę, Królewnę Śnieżkę! Aktorkę! Byłam w brązowym, nędznym paltociku z tygrysim kołnierzykiem, nieumalowana, ale jakbym włożyła ładną sukienkę, to…

Ten facet nie widział w tobie gwiazdy, tylko dziewczynę do wzięcia…

– Nie obraziłam się. Po chwili spokorniałam. Dlaczego uważam, że jestem lepsza od innych? Bo mówię cudzym tekstem, kamera mnie „bierze" i zobaczą mnie na ekranie? Z tego powodu nie mam prawa myśleć, że jestem wybrańcem bogów. (…)

Na przełomie lat 70. i 80. stałaś się jeszcze bardziej rozpoznawalna dzięki rolom w niezwykle popularnych serialach telewizyjnych. Były to m.in. takie hity, jak: „07 zgłoś się", „Rodzina Połanieckich", „Kariera Nikodema Dyzmy", „Jan Serce", „Ballada o Januszku".

– W serialu „07 zgłoś się" zagrałam dwie postaci w dwóch odcinkach nakręconych przez dwóch reżyserów. Wolę siebie w roli młodej kurewki niż szantażowanej dyrektorowej. Odcinek z tą pierwszą moją bohaterką przypomniałam sobie niedawno. Praca na planie tego serialu była dla mnie w porządku, bo dało się odczuć, że między aktorami nie ma przeciwciał. Byłam w uroczym – na pewno dla mnie, nie wiem, jak dla innych – amoku grania. To strasznie ważne, żeby grać z ludźmi, których lubisz, a oni, mam nadzieję – ciebie. Żebyśmy się nie odpychali, niezależnie, czy gramy postacie, które się lubią, czy nie. Żeby nie było rodzaju wyższości między aktorami, bo jeśli jest, to się robi pusto i bez sensu. Musi stykać, musi kopać „prund".

W „Karierze Nikodema Dyzmy" idealnie oddałaś osobowość ekscentrycznej hrabiny Lali Koniecpolskiej, Niemki, która wyszła za mąż za polskiego arystokratę, wielbicielki szybkiej jazdy samochodem i – jak to Lala mówiła łamaną polszczyzną – adoratorki „mezczyzn, które nie boją się ryzyka". Dyzma był

> Bardzo chciałam zagrać… Dziewczynę do wzięcia. I zagrałam. To jedyna wyproszona rola na moim koncie.

eprasa.pl 17e13b0521

„Dziewczyny do wzięcia".

Z Romanem Wilhelmin w „Karierze Nikodema Dyzmy".

Z Kazimierzem Kaczorem w serialu „Jan Serce".

w jej typie. Dlatego pułkownik Wareda, grany przez Leonarda Pietraszaka, ostrzegł go podczas wyścigów konnych skupiających śmietankę przedwojennej Warszawy: „Uważaj, Nikodem. Lala Koniecpolska to prawdziwa wampirzyca".

– Świetnie mi się grało z Romkiem. Jak to się mówi w aktorskim żargonie, maksymalnie skupieni na sobie „wyżeraliśmy" z siebie wzajemnie, czerpaliśmy z siebie, nie kalecząc się przy tym. Byliśmy dla siebie pożywką. Pasożytowaliśmy na sobie. Patrząc po latach np. na naszą scenę z samochodem, myślę, że dobrze ją zagrałam, uruchamiając strumień wewnętrznej energii, intuicyjnie. To jest rozkoszna sytuacja dla aktora, gdy wtula się w rolę, wtapia się w nią, i tak było wtedy z Lalą Koniecpolską. Przywłaszczyłam sobie od Romka najkrótszą lekcję aktorstwa. Pokrywa się ze wskazówkami Janiny Żejmo z planu „Człowieka z M-3". W przypadku Romka sprowadza się do słów: „Przypierdol i odskocz".

Co znaczy?

– Poraź talentem, zrób wrażenie i zniknij.

Żeby skorzystać z tej „najkrótszej lekcji aktorstwa", trzeba ją było najpierw zrozumieć.

– Romek nie znosił niezdolnych kolegów. Nie obrażał ich, nie wytykał im błędów, tylko dawał im popalić w trakcie gry, zresztą mówiąc tekstem zapisanym w scenariuszu. Niuansami potrafił wywołać istną burzę z piorunami. Trup ożywał. Taki mało zdolny partner filmowy Romka czy partnerka nie wiedzieli, co stanie się za moment. Musieli mierzyć się ze swoimi rozchwianymi emocjami i pod presją często bardzo szybko uczyli się sztuki aktorskiej od Romka.

Dyzmę zagrał genialnie. Z pasją pochłaniał tę rolę. Niby grał lekko,

FOT. INPLUS/ EAST NEWS (3)

eprasa.pl 17e13b0521

ale to było coś niezwykłego. Był wielki jako Dyzma, bo nie bał się być mały. Cała ekipa miała radochę z gry. Przetańczyliśmy ten film. Graliśmy jak w szale. Być może nasza energia przeniknęła przez ekran. Każdy z aktorów chciał dobrze wypaść, ale nikt nikogo nie przeskakiwał, nie rywalizowaliśmy ze sobą w sposób chamski i nieetyczny.

Zapewne duża w tym zasługa reżysera Jana Rybkowskiego.

– Pan Jan… Pan Jan Rybkowski… Pan Tata Jan Rybkowski… ubóstwiał aktorów i opiekował się nami. Był dla nas czuły i cudowny. Związywał się z nami. Po skończonej pracy nad jednym filmem zapraszał nas, „swoich aktorów", do kolejnego. Tak było np. ze mną. W „Karierze Nikodema Dyzmy" zagrałam po „Rodzinie Połanieckich" w jego reżyserii. Z Markiem Nowickim, operatorem i scenarzystą, tworzyli z panem Janem fantastyczny tandem.

Pamiętam, gdy w jakiejś knajpce we Włoszech nasz kochany reżyser tak perorował, tak nie mógł się nas nachwalić, że aż sztuczna szczęka wypadła mu na kamienną posadzkę. Nie wiedzieliśmy, co robić. Śmiać się? Podać reżyserowi szczękę? Rybkowski rozwiązał problem jakoś tak naturalnie. Jakby nic się nie stało. Ten pobyt we Włoszech był bardzo radosny. W Wenecji spontanicznie przyłączyła się do nas grupa amerykańskich studentów ze szkoły teatralnej. Razem wędrowaliśmy na kolacje (to dużo powiedziane) i tańce.

W Wenecji kręciliście sceny do…

– …„Rodziny Połanieckich". Konkretnie na Placu Świętego Marka, a więc w najważniejszym punkcie miasta. Wydaje się nieprawdopodobne, że właśnie dla nas w takim miejscu udało się zatrzymać zawsze nieprzebraną falę turystów. Zwracaliśmy ich uwagę strojami z epoki. (…) Pamiętam też w Wenecji gondolę z niezwykłymi pasażerami. Gondolier płynął nią po Canal Grande. Razem z nim płynęły kobieta okryta żałobnym welonem i – najpewniej – jej córka, także ubrana na czarno, oraz trumna. To nie była scena z filmu, tylko realne życie. Piotr Wysocki, który w Rodzinie Połanieckich grał mojego męża Józefa Osnowskiego, zareagował: „Jaki piękny widok!". Na co odpowiedział Bronek Pawlik: „Jasne, szczególnie dla nieboszczyka". (…)

Po „Rodzinie Połanieckich" i „Karierze…" wystąpiłaś w serialu „Jan Serce" w reżyserii Radosława Piwowarskiego. W odcinku „Pieszczoty" zagrałaś śmiałe sceny z Kazimierzem Kaczorem.

– Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy w związku z tą rolą – fryzjerki Danuśki – jak przystało na postać, dotyczy mojej filmowej fryzury. Miałam mieć na głowie coś à la Marilyn Monroe. Fryzjerka – podobno najlepsza w Łodzi, gdzie kręciliśmy – w tamtejszym hotelu Grand nałożyła mi platynową farbę, strasznie długo ją trzymała, więc zniecierpliwiona dotknęłam głowy i poczułam, że włosy ciągną mi się jak guma do żucia i odpadają małymi kępkami. Nie było wyjścia, powiedziałam do fryzjerki: „Tniemy na jeden centymetr od nasady". Kiedy zobaczył mnie Piwowarski – a znaliśmy się dobrze i lubiliśmy się – zdenerwował się tak bardzo, że kazał mi wypier…. Próbowałam się tłumaczyć, ale on nie słuchał. Uratował mnie na szczęście Zbyszek Kamiński, scenarzysta. Zauważył przytomnie, że fryzjerka też może być ostrzyżona na zapałkę, co jakoś przekonało Piwowarskiego. Cieszę się, że tak wyglądała moja Danuśka, bo jako Marilyn Monroe byłaby zbyt oczywista i dosłowna, i nie moja, choć sama Marilyn Monroe jest moja bardzo, bardzo moja.

Pierwszy raz znacznie wcześniej pokazałaś na planie trochę ciała.

– W czasie studiów, w filmie „Draka", w krótkiej fabule, zresztą zatrzymanej przez cenzurę, o wakacjach i młodych chuliganach na plaży w Łebie. Wówczas nagość nie była u nas czymś codziennym. Nasze wspaniałe artystki nie występowały jeszcze w „playboyach" i innych podobnych. Miałam w „Drace" zagrać scenę, w której, gryząc jabłko, w stroju kąpielowym zsuwam się z wydmy i jednocześnie zdejmuję stanik, żeby następnie chlupnąć sobie do morza. Byłam wyjątkowo zestresowana, tym bardziej że w „Drace" grało dużo chłopców, m.in. Krzyś Majchrzak. Zanim zaczęliśmy kręcić tę scenę, oni wszyscy plus reżyser, operator i jeszcze trzech gości z ekipy odjechali łazikiem na bezpieczną odległość, żeby mnie dodatkowo nie stresować.

Wtuliłam się w cycofona, pulchną panią charakteryzatorkę i żaliłam się jej, jakie to będzie straszne dla mnie… Bałam się, że nie rozepnę sprawnie stanika, dlatego pierwszą rzeczą, jak tylko usłyszałam „Kamera! Akcja!", było pozbycie się go. Zrobiłam to za szybko, bo kiedy masz przed sobą morze, piasek pod nogami, to czujesz się jak w raju i dostajesz takiego rozkosznego bezwstydu. Pokazałam za dużo. Zrobiłam jakiś przyzwoitszy dubel.

Mijały lata, a rozbieranie na planie filmowym wciąż mnie stresowało. W latach 80. Petelscy nakręcili kryminał „Kim jest ten człowiek" z Heniem Talarem w roli głównej. Zagrałam jego kochankę. Akcja w Gdańsku, przed wojną. Jesteśmy z Heniem razem w jakimś mieszkaniu dwupoziomowym. Henio na dole, ja schodzę do niego w kuszącym, przezroczystym, czerwonym gieźle i on w tym momencie wielekroć wali do mnie z pistoletu, bo uznaje mnie za szpiega, którego trzeba się pozbyć. No to ja opuszczam ziemski padół. Giezło tak jakoś się układa, że naga leżę na podłodze. Panie charakteryzatorki robią mi fachowo wloty po kulach, po czym „to, co najświętsze" u kobiety, dla kamery zasłaniają przesuniętym fotelem. Pamiętam premierę filmu i krzyk faceta z końca sali kinowej: „K…, zabierzcie ten fotel!". (…)

Henryk Bielski, reżyser „Ballady…", wkrótce zaproponował ci kolejną rolę.

– Uważam, że Henio to genialny reżyser, utalentowany, bardzo

Cała ekipa miała radochę z gry w „Karierze Nikodema Dyzmy". Przetańczyliśmy ten film. Graliśmy jak w szale.

eprasa.pl 17e13b0521

wartościowy człowiek z rzadkim darem zapalania entuzjazmu do pracy w ludziach, z którymi spotyka się na planie. Zaprzyjaźniliśmy się także prywatnie. „Ballada…" jest świetnie nakręconym serialem, w ogóle się nie starzeje, przeciwnie, ogląda się ją z coraz większym zainteresowaniem. Zagrałam też w filmie telewizyjnym w reżyserii Henia, w „Warszawskich gołębiach". W obsadzie byli m.in. Józek Nalberczak i Wanda Łuczycka. Do jednej sceny założyłam własny zielony (i piękny) kostium kąpielowy. Ale najbardziej pamiętam, że mój mąż, Zbyszek Pernej, miał to szczęście, że Henio go zaangażował. „Zaangażował" – wielkie słowo…W scenie przeprowadzki bohaterów Zbyszek jechał naszym samochodem ciężarowym Star 25. Pięknie jechał, tyle tylko, że nie było widać jego twarzy.

À propos Józka Nalberczaka, zagraliśmy też razem w filmie „Fortuna". Lata 20. minionego wieku, II RP, ja – atrakcyjna panienka wkręcona w napad na bank, Nalberczak – kasjer bankowy, podkochuje się w tej panience. (Czyżby przedsmak „Vabanku"?). Tak już mam, o czym mówiłam, że różne sytuacje zostają mi w głowie z planu. „Fortunę" reżyserowała Helena Amiradżibi-Stawińska, dla nas „Dżiba", żona niezwykłego, przekornego pisarza i reżysera Jerzego Stefana Stawińskiego, rodowita Gruzinka z twardymi zasadami życiowymi. Kiedyś z ludźmi z ekipy filmu siedzieliśmy na kolacji we wrocławskim SPATiF-ie, „Dżiba" nie pozwoliła, żeby pewien mężczyzna zapłacił rachunek za jej danie, bo według gruzińskiej tradycji – jak nam wyjaśniła – znaczyłoby to tyle, że sponsor mógłby ją „posiąść". A była grzechu warta nasza kochana „Dżiba". Zapamiętałam też z planu „Fortuny" scenę na podwórku studni z ostrzycielem noży. Przyszedł razem z bezzębną narzeczoną. Ktoś z ekipy zapytał ją, czy zechciałaby statystować w filmie. Odpowiedziała, że oczywiście, ale najpierw musi się przygotować. Stanęła w bramie, wyjęła z torebki ogryzek szminki i lustereczko, jakiego dzisiaj już nie uświadczysz, ze zdjęciem Giny Lollobrigidy. Powiedziała do nas: „Chwila!". Umalowała sobie usta na czerwono, co skomentowała na głos: „K…., lepiej nie będzie", i zagrała.

Seriale z minionych dekad stawiały aktorom wymagania i dawały im satysfakcję. Miały milionowe widownie. Ranga seriali bardzo spadła w ostatnich czasach, choć pojawiają się coraz częściej także wartościowsze produkcje. O tych najbardziej masowych mówi się lekceważąco „tasiemce" i ogląda się je z przyzwyczajenia, dla tak zwanego zabicia czasu. Aktorzy narzekają na warunki pracy. Duże tempo kręcenia, słaba jakość scenariuszy, „drewniane" dialogi. Tobie się udawało. Przez lata grałaś w serialach telewizyjnych wybijających się ponad przeciętność i bardzo popularnych, w „Klanie", „Lokatorach", następnie w „Sąsiadach" oraz w „Leśniczówce".

– Wiem, że widzowie polubili moje serialowe bohaterki, np. Helenę Mondrasiuk, mamę Jacka z „Leśniczówki", która była lekko walnięta i działała niestandardowo. I ja ją polubiłam. Niedawno, po kilku latach, rozstałam się z „Leśniczówką". Odcinek, w którym umiera moja postać, nagraliśmy w końcówce 2022 r. W którymś momencie przykryto mnie białym prześcieradłem i wywieziono z sali szpitalnej. Nienawidzę takich scen. Kocham życie.

Seriale dają okazję spotkania się na planie z aktorami, o których myśląc, aż piszczysz z radości, że będziesz z nimi pracować i rozmawiać też poza scenariuszem. W przypadku „Leśniczówki" bardzo ważnym powodem, że zgodziłam się na udział, była Anna Seniuk. (Jesteś wielka, Anka!). Pierwszy raz spotkałyśmy się w „Potopie" Hoffmana. Ania jednak wcześniej ode mnie odeszła z obsady „Leśniczówki". Chyba jasne, że było mi miło przez wiele lat grać w „Lokatorach" i „Sąsiadach" z Markiem Siudymem, moim ukochanym, serialowym mężem Stanisławem, Stasiem. Łączy nas, poza filmem, miłość do zwierząt. Marek ma wielki sentyment do koni. Prywatnie jest silnym mężczyzną, wspaniałym człowiekiem, którego nie omijały życiowe tragedie.

Nie powiem o żadnym konkretnym współczesnym serialu, ale to fakt, że czasem trudno mi podczas kręcenia kolejnych, kolejnych i kolejnych odcinków poczuć satysfakcję zawodową, bo nie ma czasu na analizę. Jest pośpiech. Nikt nie liczy się z tym, że możesz być wypompowana energetycznie. Są też często ogromne ilości tekstu i siedzenie w studiu od rana do wieczora. W takich warunkach dziś seriale często nie mają szansy być dobre. Wiem, że są też nowe seriale autorskie, ale marnie się na nie załapuję, bo nie jestem w szerszym obiegu, bo jestem już taką przeczytaną gazetą, papierową książką z wyblakniętymi literkami, aktorką demode. Ale jeśli komuś do czegoś się przydam w ambitniejszym serialu, chętnie skorzystam.

Po iluś tam odcinkach „tasiemca" mogę wchodzić w rolę bez prób. Po włożeniu kostiumu, np. dresika misia koali, staję się błyskawicznie misiem koalą. Tylko trzeba mi na plecach suwak zasunąć, bo rączki już niezbyt giętkie. Ale nie mam odwagi, żeby powiedzieć, że dziękuję za codzienne seriale. Z prostego powodu, bo bywa, że nie ma pracy w nadmiarze. Pomimo pośpiechu podczas pracy nad serialami zawsze staram się w domu jak najlepiej przygotować do roli, dodając swojej postaci kawałek siebie od siebie. (…)

Jestem już taką przeczytaną gazetą, papierową książką z wyblakniętymi literkami, aktorką demode.

Fragmenty książki *Entliczek mętliczek. Ewa Szykulska w rozmowie z Karoliną Prewęcką*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

eprasa.pl 17e13b0521

KURTYNA W GÓRĘ

Zapiski z Chamowa

„Chce mi się stąd wyprowadzić. Z tych mrówek”, notował Miron Białoszewski w zapiskach z nowego mieszkania na Saskiej Kępie. A jednak został. Rejestr spostrzeżeń, celnych obserwacji, lęków, ale i zachwytów towarzyszących tej wielkiej zmianie w życiu poety trafił teraz na scenę, brawurowo przełożony na język teatru przez Mikołaja Grabowskiego.

Reżyser z czułością, nie tracąc też ostrości widzenia, ukazuje zderzenie poety z realiami osiedla z wielkiej płyty. Celnym zabiegiem okazało się konfrontowanie obserwacji nowego lokatora mrówkowca z fragmentami filmu edukacyjnego o budownictwie mieszkaniowym (autentycznego filmu z epoki), ilustrującego powstawanie tysięcy nowych bloków – bo wtedy budowało się może niezbyt pięknie, ale naprawdę dużo. Na scenie widzimy więc metalowy szkielet budynku z piętrem – mieszkaniem Mirona i parterem, gdzie mieścić się będą biura administracji czy kawiarnia, na ekranie fragmenty filmu i widok mrówkowca z pewnego oddalenia. Minimalistyczna dekoracja dobrze służy toczącej się bez zacięć opowieści.

Spotkania ze znajomymi, przyjaciółmi, rodziną, a przy tym uciążliwe kontakty z administracją w sprawach meldunkowych – wszystko to wprowadza bohatera w stan rozgorączkowania, irytacji, a czasem uniesienia. Powstaje w ten sposób nie tylko bogaty portret bohatera, ale i wiarygodny obraz PRL z epoki Gierka.

Ogląda się ten spektakl z zapartym tchem – jest w nim kawał Warszawy, prawdziwego życia, uchwyconego za pośrednictwem Białoszewskiego, w którego wciela się Łukasz Lewandowski. Wbrew poprzednikom, ukazującym poetę jako osobę bliską katatonii, niemrawą, odgradzającą się od świata, trochę nieobecną, dał swojej postaci energię, zachłanność w zdobywaniu nieznanej wcześniej przestrzeni. Jego Miron nie zraża się

trudnościami w załatwianiu rozmaitych spraw życiowych; nie staje się może wzorem zaradności, ale jest kimś, kto wychodzi naprzeciw życiu.

Aktorzy Ateneum tworzą zresztą całą galerię świetnie wyrzeźbionych postaci – niedościgłą mistrzynią okazuje się Dorota Nowakowska, która zachwyca jako nadopiekuńcza Matka Mirona i twardo broniąca swojej odrębności artystycznej poetka Jadwiga Stańczakowa. Zasłużone poruszenie na widowni wywołują młodzi aktorzy Jakub Pruski i Jan Wieteska jako fachowcy hydraulicy z bożej łaski. Wciąż ktoś lub coś zaskakuje.

Po obejrzeniu „Chamowa” oddycha się swobodniej.

Tomasz Miłkowski

Miron Białoszewski, „Chamowo”, adaptacja, reżyseria, opracowanie muzyczne Mikołaj Grabowski, Teatr Ateneum, premiera 21 marca 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jeanette Winterson

Po co ci szczęście, jeśli możesz być normalna

tłum. Kaja Gucio

Czarne, Wołowiec 2026

Tytuł trafił na prestiżową listę stu najlepszych książek XXI w. według dziennika „The Guardian”. I nie powinno to dziwić, bo autobiograficzny esej Winterson jest unikatowym połączeniem głębi, humoru i pisarskiego kunsztu. A także wyznaniem wiary w moc literatury, która naprawdę ocala. To prawda, że dobre książki nie są dodatkiem dla wykształconej klasy średniej czy obowiązkiem snoba. To siła dla bezsilnych i utulenie dla niekochanych. Chociaż autorka przywołuje trudne wspomnienia z dzieciństwa naznaczonego surowym wychowaniem, lektura daje nadzieję, koi i pobudza do walki o siebie.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Raye

This Music May Contain Hope

Human Re Sources

Są piosenki, które wywołują dreszcz, wyśpiewane w uniesieniu porywają też słuchacza – tak jak „Nightingale Lane” z nowej płyty brytyjskiej wokalistki. Kompozycje Raye łączą najróżniejsze gatunki, od popu, przez jazz, soul, gospel, po muzykę symfoniczną. To nie tylko diabelnie chwytliwe kawałki. One są też po coś – mają dawać wsparcie, siłę, np. ofiarom wykorzystania seksualnego jak „Ice Cream Man” z debiutanckiego albumu „My 21st Century Blues”. Oba krążki są osobistymi opowieściami, ta druga płyta podzielona została na cztery części – pory roku. Jesień i zima niosą ból, wreszcie jednak przychodzi lato, pora rozkwitu, odzwierciedlona też rytmem i nastrojem muzyki. Raye zachwyca możliwościami wokalnymi i potężną energią (ma też zdolność wystrzeliwania całkiem celnych tekstów z prędkością karabinu maszynowego). Długo pracowała na sukcesy innych wykonawców, ale wreszcie idzie po swoje. To jej czas rozkwitu.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 17e13b0521

Wystawa „Zasada Baťy: dziś fantazja, jutro rzeczywistość". Znajduje się tu m.in. największa kolekcja obuwia w Europie, od bucików gejsz po buciory koszykarzy.

Amerykański sen Tomáša Baťy

Czeskiego producenta obuwia w roku 150. urodzin wspominają wszyscy Europejczycy, a mieszkańcy Chełmka i Krapkowic – szczególnie

Chrystian Ślusarczyk

W szarych czasach PRL na rynku brakowało praktycznie wszystkiego. Obuwie nie było wyjątkiem. Jeśli jednak mogliśmy już coś z niewielkiej oferty wybrać – bez wahania sięgaliśmy po buty z logo Chełmek. W leżącym na pograniczu Małopolski i Śląska miasteczku produkowano wówczas praktycznie niezniszczalne obuwie. Niestety, dziś nie znajdziemy tutaj dawnych hal fabrycznych. Zastąpiły je hurtownie i stosy palet. Na ulicy, przy której stały zakłady obuwnicze, zgodnie z duchem czasu wita nas chiński market.

Dzisiaj, w epoce gospodarki rynkowej, w dziesiątkach sklepów w całej Polsce można za to kupić inne buty ze znanym logo. Projektanci obuwia Baťa, bo o nim mowa, starają się podążać za najnowszymi trendami modowymi. Niewielu z nas zdaje sobie sprawę, że historia tej marki sięga czasów Austro-Węgier końca XIX w.

Sukces po czesku

3 kwietnia 1876 r. przyszedł na świat Tomáš Baťa. 18 lat później w niewielkim wówczas miasteczku Zlín leżącym na wschodzie Moraw młody szewc Tomáš wraz z siostrą i bratem założyli firmę obuwniczą. Rodzinny projekt w ciągu kilku dziesięcioleci stał się marką rozpoznawalną na wszystkich kontynentach.

Przez cały rok 2026 w Czechach organizowane są uroczystości upamiętniające 150-lecie urodzin Baťy. Największe – w Zlínie właśnie. Ta rocznica została również wpisana do kalendarza rocznic UNESCO na lata 2026-2027.

Dziś każdy mieszkaniec 70-tysięcznego Zlína doskonale wie, że za fenomenalnym rozwojem miasta stoi przedsiębiorca Tomáš Baťa, który ucieleśniał czeską wersję amerykańskiego snu o sukcesie.

Tomáš talent w dużej mierze odziedziczył po ojcu, Antonínie, który był szewcem. Młody Baťa został właścicielem małej manufaktury obuwniczej w Zlínie tuż po osiągnięciu pełnoletności. Wkrótce potem wzbogacił się na dostawach obuwia dla armii Austro-Węgier podczas I wojny światowej. Pozwoliło mu to na szybkie rozwinięcie firmy

FOT. CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK

eprasa.pl 17e13b0521

i zagwarantowało całkiem pokaźne dochody, które przeznaczył na budowę fabryk i miasta wokół nich.

Baťa nazywany jest „Henrym Fordem Europy Wschodniej". Tomáš wiedział, że aby rozwijać firmę, potrzebuje zupełnie nowego podejścia do kwestii organizacji pracy i metod wytwarzania obuwia. Zorganizował więc sobie biznesowo-szkoleniową podróż do USA, by na własne oczy zobaczyć, jak wyglądają nowoczesne techniki produkcji i zarządzania. Niczym szpieg przemysłowy zatrudnił się w jednej z amerykańskich fabryk, aby podpatrywać sposób organizacji pracy. Ogromne wrażenie zrobiły na nim zakłady samochodowe Forda. Po powrocie do ojczyzny doskonale wiedział, jak przenieść amerykańskie doświadczenia na grunt europejski. Zaskakiwał wszystkich innowacyjnością pomysłów. Jednym z pierwszych jego posunięć po powrocie zza oceanu było zamówienie w USA i w Niemczech maszyn dla swojego przedsiębiorstwa.

Baťa nie tylko uległ modnym w okresie międzywojennym ideom tworzenia funkcjonalnych miast organizmów – w znaczący sposób rozwinął te koncepcje i wzbogacił. To dzięki niemu na deskach kreślarskich ówczesnych architektów i urbanistów powstała nowoczesna forma Zlína jako organizmu miejskiego otaczającego fabryki, który mógł stanowić wzór dla wszystkich. Fabrykant zwrócił się w tej sprawie o pomoc m.in. do jednego z najwybitniejszych architektów świata – Le Corbusiera. Współpracę z Le Corbusierem kontynuował Jan Antonín Baťa, następca Tomáša, któremu także zależało na jak najpiękniejszej wizji urbanistycznej Zlína.

Dzisiaj Baťa ma zakłady produkcyjne w 27 krajach świata, a sklepy – w ponad 50.

Śladami Baťy

Duch geniusza Baťy czujemy w każdym zakątku Zlína. Miejsc związanych z czeskim królem obuwia jest bez liku. Aby je gruntownie poznać, potrzeba kilku dni!

Po pierwsze, jest budynek-pomnik, zwany Miejscem Pamięci Tomáša Baťy, uważany za arcydzieło funkcjonalizmu. Ten niedawno odrestaurowany obiekt z lat 30. XX w. godnie upamiętnia założyciela czeskiego imperium obuwniczego. W jego wnętrzu dominują stalowo-betonowe schody w kształcie litery Z oraz model w skali 1:1 samolotu Junkers, w którym przedsiębiorca zginął. Do tragedii doszło 12 lipca 1932 r., gdy jego prywatny Junkers F13 wystartował z firmowego lotniska w Otrokovicach i po kilku minutach lotu uległ wypadkowi w gęstej mgle.

W ramach obchodów 150. rocznicy urodzin w budynku otwarto wystawę „Miasto Marzeń".

W bieżącym numerze także:

- Bartek Rumieńczyk – Je suis Kamila
- Jacek Kochanowski – Puszcza śmierci
- Charles Perragin – Gasnący ekstraktywizm w Kazachstanie
- Rémi Carayol – Czy we Francji są więźniowie polityczni?
- Jakub Marciniak – Zapomniana dokumentalistka

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 17e13b0521

Interaktywna ekspozycja przedstawia wizję nowoczesnego miasta autorstwa Baťy, jego filozofię biznesową oraz historię współpracy z projektantem budynku-pomnika. Był nim architekt František Lýdie Gahura, któremu też Zlín zawdzięcza wyjątkowy charakter.

Jedną z największych obuwniczych atrakcji miasta jest wystawa „Zasada Baťy: dziś fantazja, jutro rzeczywistość" („Princip Baťa: dnes fantazie, zítra skutečnost"). Można ją zobaczyć w budynku 14/15 Instytutu Baťy, w którym mieści się Muzeum Moraw Południowo-Wschodnich. Znajduje się tam m.in. największa kolekcja obuwia w Europie, od bucików japońskich gejsz po potężne buty koszykarzy. Zapoznamy się też ze szczegółami filozofii biznesu Baťy: produkcji, sklepów, reklamy, i pracą zlínskich studiów filmowych.

Jednadvacítka lub Zlín skyscraper to budynek administracyjny numer 21 Zakładów Baťy, ukończony w 1938 r. i wybudowany według projektu Vladimira Karfíka. W owym czasie był to najwyższy i jeden z najnowocześniejszych budynków w Europie. Ma 17 pięter – na każdym znajdowała się wtedy tak modna dziś przestrzeń typu open space dla… 200 pracowników. Technologicznym rarytasem jest winda oraz biuro szefa firmy – z umywalką i klimatyzacją!

Warto również odwiedzić willę Tomáša Baťy z 1911 r. Przedsiębiorca chciał zbudować dla siebie i rodziny wygodną rezydencję, z której mógłby widzieć swoją fabrykę. Willę można zwiedzić dzięki Fundacji Tomáša Baťy, która ma tu siedzibę.

Z każdego punktu widokowego na pagórkach Zlína zobaczyć można także nieduże ceglane domki z ogródkami i charakterystycznymi fasadami, które przeznaczone były dla pracowników fabryki. To całkiem spore miasteczko było wówczas iście rewolucyjną koncepcją. Baťa chciał, by jego pracownicy nie męczyli się dojazdami do fabryki, dlatego zadbał o zakwaterowanie jak najbliżej miejsca pracy. W tamtych czasach domy zapewniały mieszkańcom niezwykle wysoki standard życia. Dzisiaj są unikatowym zabytkiem.

W mieście można jeszcze obejrzeć studia filmowe, które służyły do kręcenia reklam dla firmy Baťy. Później powstawały tam legendarne czeskie filmy.

Przedsiębiorca wiedział też, że nie samą pracą człowiek żyje. Dlatego niedaleko Zlína powstała miejscowość uzdrowiskowa Luhačovice. Tomáš z rodziną jeździli tam odpoczywać i „ładować akumulatory".

Dzisiaj Baťa ma zakłady produkcyjne w 27 krajach świata, a sklepy – w ponad 50. Szacuje się, że w całej historii przedsiębiorstwa sprzedano 14 mld par butów!

Firmą zarządzano najpierw z rodzinnego Zlína, następnie z Londynu, Nowego Jorku, Toronto, a od roku 2002 – ze szwajcarskiej Lozanny. Jak widać, Tomáša Baťę śmiało można nazwać pierwszym globalistą.

Chełmek i Krapkowice – polskie dzieci Baťy

W 1931 r. Chełmek był biedną i zaniedbaną rolniczą wioską. Jego los radykalnie się odmienił, gdy Tomáš Baťa na nieruchomościach wykupionych od księcia Adama Sapiehy rozpoczął budowę gigantycznej jak na owe czasy fabryki obuwia oraz nowoczesnego osiedla dla pracowników. W ciągu pięciu lat liczba mieszkańców podwoiła się. Fabryka w Chełmku stała się najnowocześniejszym zakładem przemysłowym Polski lat międzywojennych. Jak nietrudno się domyślić, firma Baťa błyskawicznie zdominowała rynek obuwniczy w kraju. Zakłady obuwnicze w Chełmku, w różnych lokalizacjach i pod różnymi nazwami i szyldami, istniały w Polsce do 2023 r.

Do dzisiaj wielu mieszkańców Chełmka korzysta z infrastruktury zbudowanej przez czeskiego potentata. To dzięki niemu w Chełmku powstało minimiasteczko 16 nowoczesnych, wielorodzinnych, otoczonych zielenią domów zbudowanych z charakterystycznej czerwonej cegły. Zgodnie z założeniem Baťy mieli tam znaleźć lokum zarówno pracownicy zakładów, jak i dyrekcja. Kwadratowe domki nadal są zamieszkane. Baťa w Chełmku inwestował także w sport – w tenis (powstałe wówczas korty wciąż służą tenisistom) oraz w piłkę nożną (KS Chełmek powstał w 1932 r.). Za jego sprawą również wydawano pierwszą w Polsce gazetę zakładową „Echo Chełmka". W 1936 r. dzięki materialnemu i finansowemu wsparciu fabryki w ciągu roku (!) wybudowano zaś spory kościół.

W roku 2006 tuż przy dawnych zakładach obuwniczych, na rogu uliczek Baťy i Staicha, powstał Dom Pamięci Baťy. Wystarał się o to lokalny samorząd, który zdobył pieniądze z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego i budżetu państwa. W domu pamięci mieszczą się sale muzealne poświęcone rodzinie Baťy, historii przemysłu obuwniczego oraz przeszłości regionu. Honorowymi gospodarzami miejsca są członkowie Stowarzyszenia Klubu Idei Tomasza Baty.

Polskie ślady Baťy prowadzą nie tylko do Chełmka. W 1930 r. hrabia Sponeck sprzedał mu swoje ziemie w miejscowości Otmęt koło Krapkowic (306 ha). Pięć lat później stały tam już cztery hale produkcyjne – jedne z najnowocześniejszych w Europie. Krapkowiczanie do dziś pamiętają o czeskim przedsiębiorcy, który przyczynił się do przemysłowego bumu miasteczka. Przy wejściu do krapkowickiego parku (powstał dzięki staraniom Baťy), przy ul. Obuwników, w 2020 r. postawiono spory kamień z tablicą przedstawiającą czeskiego przemysłowca. Obok jego wizerunku widnieje napis: „Tomasz Bata (1876--1932) – wielki wizjoner, założyciel europejskiej sieci fabryk obuwniczych. Prekursor nowoczesnego stylu zarządzania i budowniczy społeczno-industrialnej infrastruktury Krapkowic".

Chrystian Ślusarczyk

Szacuje się, że w całej historii przedsiębiorstwa sprzedano 14 mld par butów!

eprasa.pl 17e13b0521

World Press Photo 2026

1. Tadeo Bourbon dla Revista Mu – o. Jorge „Chueco" Romero zatrzymany w czasie protestu emerytów w Buenos Aires.
2. Ever Andrés Mercado Puentes – Fiesta de los Manacillos, tradycja związana z Wielkim Tygodniem kultywowana przez społeczność Juntas (potomków afrykańskich niewolników) zamieszkującą kolumbijskie wybrzeże Pacyfiku.
3. Aaron Favila dla Associated Press – ślub w zalanym kościele Barásoain na Filipinach po przejściu tajfunu Wipha.
4. Tyrone Siu dla Agencji Reutera – rozpacz i bezsilność podczas tragicznego pożaru kompleksu mieszkaniowego w Tai Po w Hongkongu.
5. Diego Ibarra Sánchez – syryjski chłopiec w szkole w miejscowości Al-Labwa w libańskiej dolinie Bekaa.

eprasa.pl 17e13b0521

Zwycięzców tegorocznego konkursu wyłoniono spośród 3747 fotografów ze 141 krajów, którzy nadesłali 57 373 zdjęcia dokumentujące współczesną rzeczywistość. Oto nasz subiektywny wybór.

6. Sanna Sjöswärd dla Corren – Engla Louise, była tancerka, żyje z ciężką postacią anoreksji. W wieku 46 lat waży mniej niż 25 kg. Uznawana jest za osobę oporną na terapię i otrzymuje opiekę paliatywną w swoim domu.
7. Ihsaan Haffejee dla Ground Up – szkoła baletowa w Johannesburgu.

eprasa.pl 17e13b0521

Ronaldinho próbował sztuczek technicznych z gracją pijanego wuja na weselu

Wojciech Kuczok

To nie jest sport dla starych ludzi. Współczesna piłka jest oparta głównie na motoryce, dlatego problem z meczami pokazowymi dawnych gwiazd futbolu polega na tym, że show z pierwszym gwizdkiem się… kończy. O ile popisy sędziwych gwiazd tenisa mają sens, bo nawet 80-latkowie, choć już z bieganiem mogą mieć kłopot i nie poruszają się po całości kortu, są jednak w stanie czarować techniką i nawet na stojąco zachwycać publiczność – piłkarz, który nie biega, zwłaszcza na pełnowymiarowym boisku, żadnej atrakcji nie uczyni. Wszelkie galowe występy piłkarskich dinozaurów mogą mieć zatem sens, o ile piłkarze nie wpadną na pomysł, aby… po prostu poważnie zagrać w piłkę na miarę swoich aktualnych możliwości.

Od kiedy mój 10-letni synek, piłkarz i fan futbolu, wywiedział się, że Ronaldinho przyjeżdża do Chorzowa, nie było zmiłuj. „Tato, to jest twoje miasto, załatwiaj bilety, jedziemy". Antek kojarzy nazwiska gwiazd futbolu, które zakończyły karierę, zanim się narodził, za sprawą najpopularniejszej gry piłkarskiej – każdego dnia w wolnej chwili łapie za pada i rozgrywa kolejne „tryby kariery" w Fifie. Można sobie dobierać graczy z jedenastki legend, tutaj służy pomocą stary ojciec, żeby nie było wtopy, bo oprócz najsłynniejszych w rodzaju Pelégo czy Maradony pojawiają się gracze nieco mniej dzisiaj znani, choć równie wybitni. „Tato, kogo mam wziąć na prawą obronę, Maicona, czy Salgado?", zwykł w takich razach pytać Antek, a ja po raz pierwszy mogłem mu odpowiedzieć: „Nie musisz wybierać, przyjadą obaj".

Do Chorzowa ściągnęła galaktyka dawnych mistrzów, aby pod kapitanatem Francesca Tottiego i samego Ronaldinha rozegrać mecz gwiazd. Poziom sportowy zmilczmy. Bardziej mi poprawia humor Luka Modrić jako najstarszy czynny lider środka pola w europejskim Top 5 niż emeryci podupadli na zdrowiu i duchu, zaproszeni na bal nieumarłych. Zaiste, to był zombie futbol. Mniejszość, do której należał choćby Javier Saviola, niedługo po zakończeniu kariery jest wciąż w sportowej formie – Argentyńczyk skończył mecz hat trickiem, Fabio Capello go zdjął po kilkunastu minutach, bo pojawiło się zagrożenie, że nader żwawy Saviola zepsuje zabawę, w pojedynkę dokonując egzekucji. Reszta panów raczej nie nadążała.

Problem z meczami pokazowymi dawnych gwiazd futbolu polega na tym, że show z pierwszym gwizdkiem się… kończy.

Antek po pierwszych minutach spytał, czy oni już grają, czy wciąż się rozgrzewają, kumpel geriatra wyszedł w przerwie, mówiąc, że on to ma na co dzień w robocie. Starsi panowie o nierzadko nagannej posturze (królem kałduna strategicznego okazał się Emmanuel Olisadebe) bez powodzenia próbowali odtworzyć cokolwiek ze swojej dawnej formy. Ronaldinho dawno już stracił moc w swojej różdżce, próbował sztuczek technicznych z gracją pijanego wuja na weselu, poruszał się po boisku niechętnie i z uwagi na obecną tuszę w najlepszym razie truchtem. Najczęściej odgrywał z pierwszej piłki, czasem za pomocą swojego ulubionego tricku, czyli lobu ze stojącej piłki.

Po raz pierwszy w życiu (i mam nadzieję, że ostatni) zobaczyłem mecz bez fauli – i nagle okazało się, że idealnie czysta gra jest nie do zniesienia. Bez pressingu i walki o piłkę nie ma futbolu, tylko jakieś smętne peregrynacje panów, którym piłka się pęta pod nogami, coś w rodzaju montypythonowskiego meczu filozofów, tyle że wszyscy od początku znają zasady gry, ale w niczym to nie pomaga.

Nawet kiedy honory trenera jednej z drużyn gwiazd symbolicznie czyni Polak, w ciemno można obstawiać, że fluidy polskiej myśli szkoleniowej i przy tak krótkim kontakcie w szatni przenikną do zawodników, by spętać im nogi – oto więc ekipa Jerzego Brzęczka z kapitanem Tottim zasłużenie przegrała z drużyną Fabia Capella 4:9, choć po prawdzie było 4:7, bo bramki zdobywane w pięciu ostatnich minutach meczu liczyły się podwójnie. Zasada złotego gola była jedyną regulaminową atrakcją, wymyśloną po to, by zmotywować wyczerpanych oldboyów do jeszcze jednego zrywu. Ostatecznie i tak skorzystał z tego świeżak, niejaki Qesek, dwudziestokilkuletni youtuber. Co ciekawe, najmłodsza część widowni zareagowała na jego wejście żwawiej niż na Ronaldinha, oni go kojarzą, to ich człowiek.

Sam brazylijski gwiazdor sześć lat temu grał w piłkę na paragwajskim spacerniaku, teraz przyjęła go kilkudziesięciotysięczna widownia Stadionu Śląskiego, ale próżno było

eprasa.pl 17e13b0521

Ronaldinho, jedna z gwiazd „Galacticos Show – Pojedynku Legend XXI wieku", na Stadionie Śląskim w Chorzowie, 25 kwietnia 2026 r.

oczekiwać choćby odrobiny pokory i wdzięczności. Pomimo zapowiedzi stadionowego spikera i tysięcy dzieciaków, które zbiegły do barierek, by przybić piątkę z gwiazdami, ani Ronaldinho, ani żaden inny członek galaktycznej ekipy nie przebiegł rundy honorowej. Dzieciaki z wiarą czekały kilkadziesiąt minut na przybicie piątki, podczas gdy panowie piłkarze dawno już biesiadowali na bankiecie sponsorskim. Przyjechali zainkasować setki tysięcy euro honorariów i tyle – w zasadzie widowisko nie byłoby mniej atrakcyjne, gdyby po prostu każdy z nich osobiście odbierał swoją dolę na oczach widowni – choć podobno nawet do tego trudno było zmotywować Ronaldinha, który z bankietu wyszedł po angielsku i nawet nie pofatygował się na scenę, aby odebrać upominki.

Dziatwa i tak miała radość, bo nie o piłkę tu chodziło, Antka najbardziej cieszył nalot dywanowy tysięcy samolocików naprędce złożonych przez tatusiów z papierowych prostokątów, przygotowanych przez organizatorów pod każdym krzesełkiem do kartoniady, z której ostatecznie niewiele wyszło. Największą frajdę miał jednak przed meczem, kiedy przed hotelem po raz pierwszy w życiu zanurkował z własnym notesikiem w tłum łowców autografów i zdobył podpisy czterech legend. Wpisali mu się Robert Pirès, Nwankwo Kanu, Míchel Salgado i Djibril Cissé. Zwłaszcza autografy dwóch pierwszych to nie lada rarytas, albowiem Francuz i Nigeryjczyk byli członkami legendarnych The Invincibles, czyli ekipy Arsenalu Arsène'a Wengera, która zdobyła w sezonie 2003/2004 mistrzostwo Anglii bez porażki.

Wcześniej zdarzyło się to tylko raz, jeszcze w XIX w., za sprawą Preston, później nie powtórzyło się nigdy. Arsenal ustanowił wtedy rekord wszech czasów, pozostając niepokonanym w 49 kolejnych meczach. Od tamtej pory kibice Kanonierów mistrzostwa się nie doczekali, a w ostatnich latach przepoczwarzają się raczej w „Neverkusen" – zaliczyli trzy kolejne wicemistrzostwa i zmierzają po kolejne. Znowu wedle tego samego scenariusza: podopieczni Mikela Artety zdobywają jesienią i zimą olbrzymią przewagę punktową, aby na wiosnę bezprzykładnie ją roztrwonić i dać się przegonić albo Liverpoolowi (przed rokiem), albo – jak obecnie – Manchesterowi City.

Dla fanów z północnej części Londynu ten sezon może być szczególnie dotkliwy – bo także kibice Tottenhamu, ekipy, która jeszcze półtora miesiąca temu grała swoje mecze w Lidze Mistrzów, nie przywykli do występów Kogutów w Championship. A na to się zanosi – Tottenham na finiszu zajmuje miejsce spadkowe i wiele wskazuje, że nie zdoła się utrzymać w angielskiej elicie. Od niemal pół wieku grający nieprzerwanie w najwyższej klasie rozgrywkowej Tottenham zdobywał w tym czasie zarówno krajowe, jak i europejskie puchary, siedem lat temu był nawet finalistą Ligi Mistrzów. Spadek Londyńczyków byłby sensacją porównywalną w skali polskiej do wciąż możliwej, a nawet prawdopodobnej degradacji warszawskiej Legii.

Piszę te słowa jeszcze przed kluczowym meczem o utrzymanie, który rozegrały w Warszawie Legia z Widzewem. Sam fakt, że ten piłkarski klasyk jest w końcówce sezonu meczem klubów desperacko walczących o ligowy byt, trudno przyjąć do wiadomości – dobiega końca jeden z najdziwniejszych sezonów Ekstraklasy, ale o tym będzie jeszcze okazja napisać więcej. ■

Panowie piłkarze przyjechali zainkasować setki tysięcy euro honorariów i tyle.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 17e13b0521

Patola zwana zgorszeniem

W Kościele wszyscy udają. Każdy ma jakieś swoje drugie życie, ale udaje, że to jego nie dotyczy

Artur Nowak

Co robi zdrowy byczek, kiedy zbliżają się dni wolne? Ano idzie się zabawić. Wie przecież, że z każdego grzechu po prostu można się wyspowiadać. Wbija się więc w cywilki, zamyka za sobą plebanię i rusza na kilkudniową imprezę. No, ale nie zawsze. Czasem to impreza przyjeżdża do niego. (…)

Mój rozmówca, w celach i na zasadach, o które się nie dopytuję, spotyka się po godzinach z księżmi, tłumaczy mi, że przeniknął do tego środowiska polecony przez jednego z duchownych. I tak się zaczęła ta niesamowita historia. (…)

– Jacy są? To zależy. Bo jednak się różnią. Proboszczowie bez szaleństw. Pogodni, inteligentni, z nimi można nawet pogadać. Czytają książki, znają nowe filmy. A młodzi… jacyś autystyczni tacy, wycofani, zalęknieni – mędrkuje, sącząc białe wino. – Sam nie wiem, wolę starszych. Młodzi poza tym przychodzą po narkotykach.

– A co lubią zażywać?

– Koka, meta, mefedron…

– Chodzisz do kościoła?

– Absolutnie nie. – Uśmiecha się. – Nie wierzę w takie rzeczy. (…)

•

Krzysztof ma salon masażu. Nie jeździ po plebaniach. Woli mieć wszystko pod kontrolą, a o to łatwiej na swoim terenie. Obsługuje kilkudziesięciu księży. Trafiają do niego z polecenia. Nowych klientów umawia mu telefonistka, a ci stali mają do niego bezpośredni numer. Czasem ci najbardziej zaufani przychodzą w sutannie. Inni z czasem się przyznają, że robią w „firmie", a o niektórych po prostu wie, że są z tej branży. Zdradza ich ten infantylny język, zmiękczanie wypowiedzi, no i – co tu dużo gadać – mówią trochę jak z ambony. No i widać, że jakby czegoś się bali. Wracają za tydzień, za miesiąc, czasem zupełnie niespodziewanie. Jakie mają oczekiwania? Przebieg jest zwykle podobny – najpierw masaż rękoma, potem całym ciałem. Księża lubią też poklepywanie po pośladkach, lizanie miejsc intymnych, no i oczywiście masowanie penisa. Po masażu mają w pakiecie wspólny prysznic. Po niedzieli niektórzy płacą drobnymi z tacy.

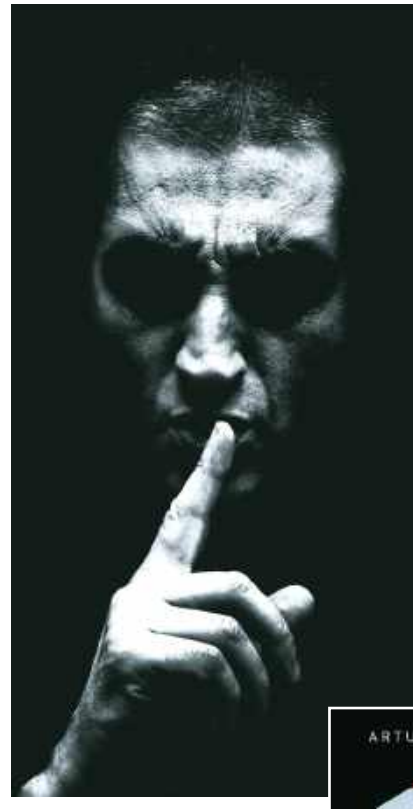

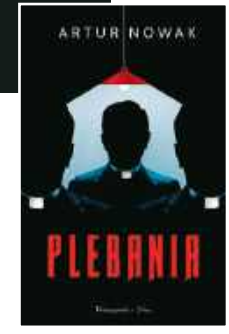

Fragmenty książki Artura Nowaka *Plebania*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2024

Kiedyś trafił na profesora. Klient nie przyznał się jednak ani do tytułu, ani do tego, że jest księdzem. Mówił, że jest nauczycielem. No, ale nie miał szczęścia. Minął się dosłownie w drzwiach salonu z innym księdzem, który go rozpoznał: „Czy to jest ksiądz profesor…?", zapytał drugi klient, wymieniając nazwisko duchownego. No i tak to się zaczęło. Masażysta wygooglował księdza i kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia, postanowił nagrać seans z ich spotkania. (…) No i potem z tym filmem udał się w wędrówkę po redakcjach. Nikt jednak za film nie chciał zapłacić. Ale i tak obraz przedostał się do sieci.

Arcybiskup nie miał wyjścia. Schował profesora na jakiś czas. Czy wypłynie jakby nigdy nic i wróci do wykładów? Masażysta nie chce o tej historii rozmawiać.

– Może pan dopisać w książce, że wjechało po mnie CBŚP o szóstej rano do domu. Grillowała mnie prokuratura. Pomogły mi tylko wrocławskie prostytutki. To one zrzuciły mi się na adwokata. Dostałem grzywnę dwa razy wyższą niż ten cały Krystek z Sopotu. Ponadto aby zapadła jakakolwiek ugoda, musiałem na kolanie na korytarzu sądu podpisać kurii papier, wedle którego jakakolwiek rozmowa o tym, co się wydarzyło, będzie skutkowała pociągnięciem mnie do odpowiedzialności. Kuria poszła na ugodę tylko dlatego, że dwa dni przed procesem dowiedziała się, że mam jeszcze kilka asów w rękawie, i późnym wieczorem zaczęła wydzwaniać do prokuratury. Inaczej byłbym już udupiony po szyję.

eprasa.pl 17e13b0521

•

Proboszcz parafii w Czerlejnie nie miał szczęścia. Ale może powinien być ostrożniejszy. Jego profil na gejowskim portalu mógł wskazywać, że jest księdzem. Jak ustalili administratorzy, między mszami aktywnie prowadził dialogi na komunikatorach. Nie bał się zdjęć z twarzą. Marzył mu się seks w kominiarkach, podkreślał, że jest pasywny i chętnie porozumiewa się po francusku. Jedna z jego rozmów została utrwalona i wybuchł skandal. W słowach księdza wyraźnie pobrzmiewa desperacja: „Mam dzisiaj cztery oferty. O której ty możesz najpóźniej do mnie przyjechać? Do której możesz u mnie być? Rozumiem, że jesteś aktywny, to Bogu dzięki, bo ja jestem pasywny". Słowotok pomieszany z entuzjazmem sprawia wrażenie, że ksiądz jest pod wpływem jakichś środków. Absolutnie stracił kontrolę nad tym, co mówił: „Ty wiesz, że jestem kanonikiem. Trochę z szacunkiem musisz się ze mną obchodzić", klaruje ledwie co poznanemu rozmówcy. W kolejnym opublikowanym dialogu rozmówca proboszcza przechodzi do konkretów: „A viagrę masz? Popersa? Tyłek gotowy?". W odpowiedzi nie ma zawahania: „Ja mam zawsze gotowy. Jestem zawsze gotowy na przyjęcie. Jak byłem w seminarium, byłem escortem". Ale rozmowa jeszcze bardziej się rozkręca. Mężczyzna na nagraniu chwali się długością swojego przyrodzenia. Mówi, że ma 24 cm. Ksiądz idzie na całość: „Dostaję takiej fantazji, jestem na etapie wielokątów, robię ustawki po trzech, po czterech, po pięciu, z Warszawy ściągam, totalnie mnie to rajcuje, jak jest trzech aktywów".

Wpuszczenie tej rozmowy do sieci brutalnie przerwało karierę księdza. Próbował ratować sytuację, tłumacząc dziennikarzom lokalnego portalu, że to sprawka innego duchownego, który go szantażuje, że jego zdjęcia na profilach to prowokacja. Twierdził, że sprawą już się zajmuje policja, a jego język to zmyłka, która miała na celu wyciągnięcie od rozmówcy informacji o handlu narkotykami, bo ksiądz potrzebował na to dowodów. (…)

Zbierając materiały do książki i badając wiele wątków, dotarłem do lekarza, który opowiedział mi przedziwną historię. W środku nocy dostał telefon od profesora, znanej postaci w świecie lekarskim, który poprosił go, by natychmiast pojechał do szpitala na ostry dyżur. Na miejscu czekała na niego pielęgniarka, którą również wyrwano ze snu. Na łóżku obok izby przyjęć czekał na nich mężczyzna odmawiający różaniec. Widać było, że bardzo cierpi. Ich pomoc miała polegać na wyjęciu z odbytu duchownego zakrętki od dezodorantu. Kiedy przeprowadzono zabieg, lekarz chciał opisać w papierach sposób, w jaki opatrzono pacjenta. Okazało się jednak, że z woli przełożonych szpitala wszystko miało się odbyć poza protokołem.

Zainteresował mnie ten temat. Okazało się, że takich przypadków było więcej. W Pile ratowano księdza, w którego odbycie utkwił wibrator, inny duchowny w sanockim szpitalu szukał ratunku z butelką w tym właśnie miejscu. Próbowałem sprawdzić, czy osoby te spotkały jakieś konsekwencje w postępowaniu wewnątrzkościelnym. Żadne. O sprawach niby wiedzieli wszyscy, ale nikt głośno o nich nie mówił.

– To się powtarza co kwartał, czasem, jak jest cieplej, bywa, że częściej – tłumaczy mi mężczyzna bliżej pięćdziesiątki niż tuż po czterdziestce. Poznaliśmy się przy okazji pewnej sprawy, którą mu prowadziłem w prokuraturze. Gdy dowiedział się, o czym piszę, zapalił się do rozmowy. (…)

– Od kiedy wozisz czarnych? – dopytuję.

– Będzie z 10 lat. – Szuka w pamięci dat. – Ta sama ekipa. Zbieram ich po drodze. Mój ksiądz, no i czterech kolegów. Stawiają mi hotel, jedzenie… Wszystko z najwyższej półki.

Domyślam się, że ma z tego coś więcej. Kto wie? Może intratne zlecenia na przewóz pielgrzymów?

– Gdzie jeździcie?

– Różnie: Berlin, Praga, Warszawa…

No i opowiada mi, jak tamci się bawią:

– Zdejmują te swoje sutanny i odpalają się na maksa. – Uśmiecha się, choć jego mina bardziej wskazuje na zadziwienie niż radość.

Samochód to komfortowy transporter z klimatyzacją, stolikiem i wygodnymi fotelami za przyciemnionymi szybami. Na tym stoliku było już wszystko – koka, ecstasy, środki na potencję. No i oczywiście bar z wysokiej półki. Auto rusza i się zaczyna. Tembr głosu rośnie wraz ze stężeniem alkoholu we krwi. Jest głośniej, zabawniej, pieprzniej. Wyobrażam sobie tę euforię.

– No i czego oni tam słuchają? – pytam. – „Barki", „Czarnej Madonny"?

– Nic z tych rzeczy: metal, punk, disco polo. „Barka" była z dwa razy, jak się już dobrze porobili.

– A jednak! (…)

– No, ale jak wyglądają te imprezy?

– Nic szczególnego. Dojeżdżają na miejsce kompletnie pijani. Bookujemy się w hotelu. Po śniadaniu jest czas, żeby odespać. Po południu ogarniają escorty.

– No to mało oryginalnie – przyznaję mu rację.

To życie przepełnione podbojami seksualnymi, przygodami i narkotykami. To tandem, na którym jedzie dzisiejszy Kościół, przynajmniej w Polsce.

Księża młodej daty, starej daty – wszyscy, którzy przychodzili do mnie na masaże, zwyczajnie ćpają.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 17e13b0521

– Najdroższe dziwki w mieście na całą dobę. Jak są pijani, puszczają im hamulce. Peplają przy mnie wszystko. Płacą dziewczynom po 2-3 tys. za dobę. Każdy ma wykupiony hotel na dwie osoby. Rano, zaraz po śniadaniu, wracamy do domku. Jest grzecznie. Najwyżej jakieś piwko. Relacjonują, co się komu wydarzyło. Żegnają się wylewnie do następnego razu.

Kiedy opowiadam tę historię jednemu z byłych księży z Warszawy, jest nią zbudowany.

Proboszczowi parafii w Czerlejnie marzył się seks w kominiarkach. Jedna z jego rozmów została utrwalona i wybuchł skandal.

– To wspaniale. Mnie właśnie tego brakowało. Miałem wrażenie, że jestem z tym sam.

– Jak to?

– Problem polega na tym, że w Kościele wszyscy udają. Każdy ma jakieś swoje drugie życie, ale udaje, że to jego nie dotyczy.

Tłumaczy mi z pasją, bo dla niego to świeża sprawa. Ma jeszcze sporo pretensji i nie potrafi przebaczyć ludziom, którzy go skrzywdzili. Matce, dla której męczył się latami, udając żarliwe powołanie, a ono wygasło, księżom, którzy pozbawili go złudzeń, jak się robi religię, wreszcie sobie samemu, że zabrał sobie kawał życia.

– Gdybym miał kolegów, którzy poszliby ze mną na dziwki, napiliby się ze mną wódki, pewnie bym został. Najgorsza jest samotność i to, że każdy udaje, że sobie z nią radzi.

Ale wielu ludzi radzi sobie z nią doskonale. Znam kogoś, kto obsługuje księży na co dzień. Tacy ludzie znają wszystkich ważniejszych graczy, jeśli chodzi o organizację rozrywek w branży seksualnej w całej Polsce. Swoje sądy wygłasza z przekonaniem:

– Życie typowego księdza jest teraz moim zdaniem bardzo zbliżone do stylu życia, jaki w latach 60. czy 70. praktykowali Rolling Stones albo muzycy z zespołu Mötley Crüe.

Ci wszyscy smutni faceci, których znamy z drętwych wywiadów i wypowiadających smutne formuły liturgiczne, są jak Mick Jagger i Keith Richards?

– To jest życie przepełnione podbojami seksualnymi, przygodami oraz narkotykami. To jest taki tandem, na którym jedzie dzisiejszy Kościół, przynajmniej w Polsce. Jedno kółko to seks, a drugie – narkotyki.

Lwia część duchownych żyjących w podziemiu seksualnym to osoby homoseksualne.

– Geje mają swoje kluby. Geje mają swoje miejsca spotkań, swoje aplikacje. Mają swoje zwyczaje oraz nawyki. Księża geje, a takich, jak już wiemy, jest zdecydowana większość, są obecni dosłownie w każdej z tych przestrzeni, stworzonej czy zarezerwowanej dla osób LGBT. Jak to się dzieje? Otóż schemat jest zaskakująco prosty. We Wrocławiu bardzo często masowałem księży spoza Wrocławia. Z archidiecezji poznańskiej, krakowskiej, warszawskiej etc. Jeśli zatem ksiądz z Poznania chce skorzystać z sauny, a geje bardzo lubią spotykać się w saunach (o tym już krążą legendy), nie idzie do Term Maltańskich w Poznaniu, ponieważ tam ktoś mógłby go rozpoznać. Taki ksiądz pakuje się w samochód i jedzie na weekend np. do Wrocławia, aby spotkać się z innymi gejami w saunach wrocławskiego aquaparku. Bardzo często przychodził do mnie na masaż ksiądz z innej diecezji w Polsce albo prosto z sauny, albo wybierał się do niej zaraz po masażu. Często w trakcie masażu opowiadali mi, jakie ciacha widzieli w saunach albo czy kogoś udało im się tam poderwać. To samo dotyczy klubów gejowskich. Często pod wieczór w piątek czy w sobotę obsługiwałem księdza, dajmy na to z Warszawy, który po masażu wybierał się do Cactusa. Cactus to jest taki klub gejowski we Wrocławiu słynący z darkroomów, kina porno i tego, że tam jest dosłownie kotłownia, jeśli chodzi o ekscesy seksualne. Tak więc taki ksiądz np. z Warszawy nie szedł do klubu Instytut w stolicy, bo tam mógłby zostać rozpoznany. Jechał albo do Dark Angels do Poznania, albo do Cactusa. Nawiasem mówiąc, z tych opowieści księży znam każdy klub gejowski w Polsce i każdą saunę w Polsce, choć nie byłem w żadnym z tych obiektów. Często opowiadali mi, co tam się dzieje, jak jest w środku, na co można liczyć, co jak wygląda. Księża bywają we wszystkich miejscach zarezerwowanych dla gejów i podzielają wszystkie te zachowania, zasady i nawyki, które są właściwe dla społeczności LGBT. Tylko aby zachować anonimowość, nie robią tego w swoich, jak by to określić, rodzimych rewirach.

A co z narkotykami? Byłem zaskoczony, jak często w trakcie przygotowywania się do napisania tej książki o nich słyszałem.

– W środowisku gejowskim funkcjonuje aplikacja o nazwie Grindr, która jest odpowiednikiem heteroseksualnego Tindera. Jak łatwo się domyślić, służy ona do umawiania się na randki. Jeśli ktoś niewtajemniczony założyłby sobie w niej konto, w mgnieniu oka dostrzegłby kilka detali budzących zastanowienie. Mianowicie średnio w co drugim lub co trzecim profilu można dostrzec charakterystyczny symbol, taki niebieski diamencik lub słowo „chemfun". Oznaczają one albo chęć spotkania się na seks pod wpływem środków odurzających, albo to, że ktoś już jest porobiony i szuka drugiego w podobnym stanie, również na seks. Dlaczego symbolem jest diamencik?

Problem polega na udawaniu i przymykaniu oczu. To niewidzialna prawda o Kościele, która gorszy. Bo zgorszenie to największy grzech w tej korporacji.

eprasa.pl 17e13b0521

Symbolizuje mefedron, w slangu ulicznym nazywany kryształem. Mefedron w środowisku gejowskim od kilku lat jest używany na szeroką skalę, ponieważ jako stymulant ma właściwości euforyzujące, co potęguje bodźce płynące z doświadczeń seksualnych. Nie wiem, ilu księży obsługiwałem w swojej karierze, ale na palcach jednej ręki policzyłbym tych, którzy nie przychodzili na narkotykach. Może akuratnie ja niefortunnie trafiałem na takich, którzy nadużywali takich rozrywek. Może ci, którzy nie chodzą po saunach, darkroomach i masażach erotycznych, są inni, ja tego nie wiem, opisuję jedynie swoje doświadczenia. Księża korzystający z moich usług zwykle brali oczywiście mefkę, czyli mefedron, MDMA lub klefedron. Wszystkie te stymulanty cechuje podobne euforyzujące działanie, potęgujące doznania seksualne. Skąd to wiem, skoro nie przeprowadzałem nikomu testów narkotykowych? Kilka razy mi proponowali, żebym wziął z nimi przed masażem, ale w tamtym okresie byłem czysty i zwykle wymawiałem się, tłumacząc, że mam jeszcze kilka masaży przed sobą i nie chcę zjazdu. W pozostałych przypadkach po prostu to wiedziałem. Mam styczność z ulicą od najmłodszych lat. Od sześciu lat działam w podziemiu przemysłu erotycznego. Doskonale wiem, kto jest na prochach, a kto jest czysty. Wystarczy, że spojrzę, powącham, zamienię słowo. (...) Księża młodej daty, starej daty – wszyscy, którzy przychodzili do mnie na masaże, zwyczajnie ćpają.

•

Jeden z księży w dość dziwnych okolicznościach odszedł ze stanu kapłańskiego. Znałem go z moim rozmówcą z niszowej publicystyki tzw. Kościoła otwartego.

– Nakryłem go kiedyś na oglądaniu porno z chłopcami – oznajmia mi znajomy. – Żadna tam pedofilia – zapewnił, jakby próbując go wybielić.

– Jak to?

Nie mogę uwierzyć. Ten „fajny ksiądz"?

– A tak. On był noga w sprawach komputerów, no i jak mu usuwałem wirusy, wszedłem w historię, a tam fiu, fiu! Orgietka na sto kutasów.

– I co?

– Udałem, że nic nie widzę.

Na tym właśnie polega problem. Na udawaniu i przymykaniu oczu. Niewidzialna prawda o Kościele, która gorszy. Bo zgorszenie to największy grzech w tej korporacji. Nic przecież by się nie stało, gdyby księża bez narażania się na represje mogli zaspokajać elementarne potrzeby życiowe. Natomiast represjonowanie aktów seksualnych duchownych i ignorowanie seksualności stworzyło w jakimś sensie wyniszczający układ zamknięty. Można przytoczyć wiele badań, które pokazują, do czego może prowadzić dobrowolne kastrowanie swoich potrzeb seksualnych. Jedna ze znajomych psycholożek prowadząca terapie księży opowiadała mi o wielodniowych maratonach masturbacji, po których przychodziło – topione w wódce albo rozpuszczane w narkotykach – poczucie winy duchownych. Czasem prowadzi to do desperackich zachowań. „Postanowieniem biskupa siedleckiego ksiądz został odsunięty od wszelkiej pracy duszpasterskiej i skierowany do czasu zakończenia śledztwa i ewentualnego procesu w miejsce odosobnienia", poinformował ks. Jacek Świątek, rzecznik prasowy siedleckiej kurii. O co chodziło? Ksiądz z parafii w Łukowie wybrał się w lutym 2023 roku do centrum handlowego Vivo! Lublin. Z telefonem komórkowym zaczaił się w męskiej toalecie. Wpadł, gdy nagrywał mężczyznę. Jak poinformował rzecznik Komendy Miejskiej Policji w Lublinie, trzydziestosiedmiolatek usłyszał zarzut usiłowania utrwalania nagiego wizerunku mężczyzny bez jego zgody. Grozi za to do pięciu lat więzienia. (...) ■

MURAL NA CHMIELNEJ

Przy ulicy Chmielnej 21 w Warszawie, na dziedzińcu Kamienicy Braci Jabłkowskich, pojawił się intrygujący mural autorstwa architekta Piotra Glegoły, wykonany przy współpracy Good Looking Studio. Nawiązuje do futurystycznych pocztówek z początku XX w. przedstawiających „Warszawę przyszłości" i od razu wzbudził olbrzymie zainteresowanie wśród mieszkańców stolicy. **Oficjalna „premiera muralu" została zaplanowana w kamienicy na 9 maja o godz. 18.** Otwartemu dla wszystkich zainteresowanych wydarzeniu będzie towarzyszyć wystawa oryginalnych pocztówek będących inspiracją do powstania muralu. Materiały do wystawy udostępnił kolekcjoner Piotr Żak.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 17e13b0521

MIASTO WINA I FUTBOLU

To piłka nożna sprawiła, że Porto kojarzy się dzisiaj nie tylko z wyśmienitym trunkiem

Tomasz Skowronek
Korespondencja z Portugalii

Miłośnikom wina Porto oferuje jeden z najbardziej charakterystycznych widoków w Europie. Kiedy staniemy na nabrzeżu szerokiej rzeki Duero, z żelazną konstrukcją mostu Dom Luís I po lewej stronie, na drugim brzegu zobaczymy rzędy magazynów z nazwami, które od dekad definiują lokalną tożsamość: Cruz, Cálem, Sandeman, Kopke, Taylor's, Graham's.

Po drugiej stronie rzeki leży też Vila Nova de Gaia – formalnie oddzielna miejscowość, w praktyce część tego samego organizmu wchodzącego w skład zespołu miast Grande Porto. Właśnie tam powstały słynne lodges – magazyny wina porto. Ich lokalizacja początkowo miała bardzo praktyczny wymiar – chłodniejszy i stabilniejszy niż w dolinie Duero klimat miasta chronił wino przed przegrzaniem. Dziś nie jest to już konieczne, ale infrastruktura przetrwała. I zmieniła funkcję. Wraz z turystycznym bumem dawne magazyny stały się jednymi z najbardziej atrakcyjnych przestrzeni miasta.

Porto, jak wiele europejskich miejscowości, w ostatnich dekadach przeszło turystyczną transformację. Dawne piwnice z winem przekształcono w hotele, muzea i centra degustacyjne, a symbolem tej zmiany stał się kompleks World of Wine (WOW).

Zagrożona tożsamość

Porto od wieków budowało swoją potęgę na winie. Już w 1756 r. region Douro (portugalska nazwa rzeki Duero – przyp. red.) został oficjalnie wyznaczony jako obszar jego produkcji. Stał się tym samym najstarszym prawnie wydzielonym regionem winiarskim na świecie. Wino transportowano rzeką do Porto, następnie dojrzewało ono w piwnicach w Vila Nova de Gaia i było wysyłane dalej – głównie do Wielkiej Brytanii. To właśnie potrzeba transportu wina do Wielkiej Brytanii wpłynęła na jego wzmocnienie – ponieważ podczas transportu wina bardzo często się psuły, zaczęto dolewać do beczek wysokoprocentowy spirytus winny.

Dziś ta sytuacja się zmieniła. Od 2000 r. sprzedaż porto spadła o ponad 30% – a prognozy wskazują, że do 2030 r. jego sprzedaż nadal będzie spadać. Branża próbuje się dostosować: stawia na droższe produkty, rozwija turystykę i coraz częściej inwestuje w wina stołowe z regionu Douro. Nawet najbardziej prestiżowy i najszlachetniejszy rodzaj wina, Porto Vintage (PV), stanowi dziś zaledwie niewielki procent całkowitej produkcji. Producenci próbują zatem zmieniać sposób, w jaki porto jest konsumowane. Lżejsze style, np. białe porto czy tawny, są promowane jako wina orzeźwiające i codzienne, a nie wyłącznie trunki świąteczne, podawane po posiłku (digestif). Ma to wydłużyć sezon sprzedaży i poszerzyć grupę odbiorców.

Jednak w lipcu 2025 r. ponad 500 producentów porto wyszło na ulice Peso da Régua, protestując

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 17e13b0521

Producenci próbują zmieniać sposób picia porto. Lżejsze style: białe porto czy tawny, promowane są jako wina orzeźwiające i codzienne, a nie tylko podawane po posiłku.

przeciwko spadającym cenom i rosnącej konkurencji, także ze strony Hiszpanii. Kryzys widać już nie tylko w statystykach, ale też w nastrojach mieszkańców regionu.

Porto bowiem to nie tylko wino – to także tożsamość. Portugalczycy mówią: „Braga się modli, Coimbra studiuje, Porto pracuje, a Lizbona się bawi". To zdanie dobrze oddaje napięcie między północą a stolicą Portugalii. Podczas gdy inne miasta chlubią się przemysłem, handel winem uczynił Porto miastem zamożnym i wyjątkowym, z bogatym dziedzictwem kulturowym, architektonicznym i gospodarczym. Jego historyczne centrum, ze średniowiecznymi kamienicami, barokowymi kościołami i secesyjnymi sklepikami, zostało wpisane w 1996 r. na Listę światowego dziedzictwa UNESCO. Porto zostało również w 2001 r. Europejską Stolicą Kultury.

Futbol – nowy język miasta

Drugim filarem tożsamości Porto stał się klub piłkarski. Założony w 1893 r. przez Antónia Nicolau d'Almeidę, handlarza winem, urósł do rangi jednego z symboli miasta. Jego sukcesy – od wygranych w mistrzostwach Portugalii po triumfy w Europie – sprawiły, że Porto to dzisiaj już nie tylko marka wina, ale także marka sportowa. Dla wielu turystów, nie tylko kibiców, właśnie Estádio do Dragão jest pierwszym miejscem kontaktu z miastem. W dni meczowe okolice stadionu wypełniają się przybyszami z wielu stron Europy. Sport staje się częścią lokalnej gospodarki – podobnie jak enoturystyka.

Na północy Portugalii futbol nigdy nie był tylko sportem. Od zawsze był językiem opowieści o ambicjach i kompleksach regionu. FC Porto wyrósł na największą przeciwwagę dla piłki zdominowanej przez lizbońskie elity (SL Benfica i Sporting CP). Stał się jednym z najważniejszych symboli tej tożsamości, nie tylko sportowej, ale też ekonomicznej i politycznej. Pokazał i pokazuje także konflikt między bogatszym, bardziej uprzywilejowanym centrum a przemysłową północą, która przez lata musiała walczyć o swoją pozycję w państwie i gospodarce. Wyraźnie widać to w historii klubu. Po sukcesach w pierwszej połowie XX w. przyszły lata 60., kiedy portugalski futbol zdominowała Benfica na czele z Eusébiem. FC Porto na długo znalazło się w cieniu. Powrót do chwały nie był nagły – za to trwały. Klub odbudował się dzięki konsekwencji, dobrej organizacji i międzynarodowej strategii transferowej. Z czasem znów zaczął wygrywać – i w kraju, i w Europie.

Dziś FC Porto to nie tylko drużyna, ale także przedsiębiorstwo. Sukces opiera na szkoleniu i eksporcie talentów – młodzi zawodnicy trafiają do akademii, a następnie są sprzedawani do bogatszych lig. Transfery stały się jednym z głównych źródeł jego dochodu. Klub funkcjonuje jako część globalnego rynku łączącego sport, kapitał i politykę. Przez lata Porto budowało też sieć powiązań z lokalnymi elitami. Futbol w tym układzie wzmacnia wpływy, mobilizuje poparcie społeczne i przenika do sfery politycznej.

Estádio do Dragão już dawno przestał być zatem tylko stadionem. Stał się miejscem, w którym tożsamość regionu krzyżuje się z emocjami i… dużymi pieniędzmi.

Historyczne transfery: Młynarczyk i Pietuszewski

Najważniejszym polskim akcentem w historii FC Porto pozostaje Józef Młynarczyk, który w latach 80. był częścią drużyny sięgającej po Puchar Europy. To on stał na bramce Smoków w 1987 r. – w jednym z najważniejszych momentów w historii klubu.

Sięganie po zagranicznych piłkarzy w przypadku FC Porto od zawsze było elementem strategii. Klub przez dekady budował swoją pozycję, szukając talentów poza najdroższymi rynkami Europy Zachodniej: w Ameryce Południowej, w Afryce, ale także w Europie Środkowo-Wschodniej. Pojawienie się w drużynie w latach 80. Józefa Młynarczyka nie było zatem przypadkiem. Portugalskie kluby, dysponujące mniejszymi budżetami niż ich rywale z Anglii czy Hiszpanii, szukały wartości tam, gdzie inni jeszcze jej nie dostrzegali. Polska, z dobrze wyszkolonymi, ale relatywnie niedocenianymi zawodnikami, wpisywała się w ten model.

Jednocześnie Porto nigdy nie budowało swojej tożsamości, opierając się na jednym konkretnym kierunku transferowym. Dlatego polski wątek, choć ważny, pozostaje w jego historii epizodem. Tamten sukces jednak symbolizował coś więcej niż sport. Pokazywał, że FC Porto buduje swoją siłę również poprzez otwarcie na świat.

Dziś obecność Polaków w europejskim futbolu jest znacznie większa niż w czasach Młynarczyka. Piłkarze tacy jak Jan Bednarek czy Jakub Kiwior stanowią trzon defensywy FC Porto, będąc jednocześnie częścią globalnego rynku transferowego, który zmienił charakter współczesnej piłki.

FC Porto niedawno pozyskało także jednego z najbardziej obiecujących młodych piłkarzy na świecie. 17-letni Polak Oskar Pietuszewski stał się najdroższym nastoletnim piłkarzem, jaki kiedykolwiek dołączył do ligi portugalskiej. Po bramce w meczu FC Porto z Benficą (2:2) już przeszedł do historii jako najmłodszy strzelec gola.

Gdy kelner w jednej z restauracji w Porto usłyszał, że jestem z Polski, od razu przeszedł na temat piłki. Zamiast kurtuazyjnej wymiany uprzejmości na temat podróży rozmawialiśmy o Pietuszewskim. Usłyszałem, że w Portugalii już mówi się o nim jako o jednym z najciekawszych młodych zawodników, którzy trafili do ligi.

Porto opiera się dziś na dwóch filarach: winie i futbolu. Wino budowało jego znaczenie przez stulecia. Piłka daje globalną widoczność w XXI w. Oba światy działają podobnie: wzbudzają ogromne emocje, przyciągają kapitał i opowiadają historię miejsca, które od lat próbuje udowodnić, że nie musi być tylko dodatkiem do Lizbony. ■

eprasa.pl 17e13b0521

Tam, gdzie mgła staje się rzeką

Lasy mgliste w Andach to jedne z najbogatszych ekosystemów na Ziemi

Robert Macfarlane

Lasy mgliste tworzą rzeki. Rosną wyżej niż lasy deszczowe, zazwyczaj na wysokości pomiędzy 900 a 2400 m n.p.m. Pośród gwałtownych krajobrazów, kreślonych graniami, grzbietami i dolinami. Wysokość sprawia, że są chłodniejsze niż lasy deszczowe, a bogata rzeźba terenu sprzyja narodzinom rzek wartkich, płytkich, o krystalicznie czystych wodach w kamiennych korytach – w przeciwieństwie do wolniejszych, znacznie bardziej zamulonych rzek na nizinach.

Wysokość i chłód przyczyniają się do powstawania chmur. Wilgotne powietrze, pchane ku górze przez ukształtowanie terenu, się ochładza, a osiągnąwszy punkt rosy, zamienia w mgłę spowijającą las przez okrągły rok. Mgła ogranicza bezpośrednie nasłonecznienie, spowalniając w drzewach proces transpiracji i zatrzymując więcej wody w ekosystemie leśnym.

Ponieważ mgła przenika całą bryłę lasu, sunąc po podłożu i pnąc się aż po korony, między pniami, wnikając w najmniejszy nawet zakamarek, powierzchnia, na której może dochodzić do skroplenia, osiąga maksymalne rozmiary. A z racji tego, że lasy mgliste znamionuje niebywała gęstość epifitów („roślin powietrznych", rosnących na innych roślinach), powierzchnia ta okazuje się niezmierzona. Wątrobowce, mchy, paprocie, storczyki, porosty i bromelie oblepiają drzewa na tyle, że jedno większe drzewo porastać mogą setki, a czasem nawet tysiące innych roślin, gęściej nawet niż w niektórych lasach deszczowych.

Na powierzchni 1 ha lasu mglistego może rosnąć 400 gatunków drzew.

Niczym przedzierający się przez mgłę brodacz, na którego zaroście osiadają krople wody, epifity lasu mglistego działają na podobieństwo kondensatorów wilgoci. To, co się na nich osadza, skapuje następnie z wolna na ziemię w postaci wody. Tego rodzaju łagodne, nieustające spływanie przez biologów nazywane jest „skraplaniem mgły" bądź „opadem mglistym". To właśnie pozwala lasom mglistym podtrzymać przepływ wody w strumieniach nawet podczas suszy. Dlatego inną nazwą lasu mglistego jest „las wodny". Dlatego rzeki i las mglisty są nierozerwanie ze sobą związane: rodzą się nawzajem.

Wnętrze lasu mglistego przypomina parujący, jarzący się piec zieleni. Zagłębianie się weń jest jak przedzieranie przez nasiąknięty wodą mech, jak gdyby ktoś zmniejszył nas do rozmiarów owada – tak sobie to wyobrażam. (...)

Lasy mgliste to jedne z najbogatszych w gatunki środowisk na Ziemi. Choć pokrywają mniej niż 0,5%powierzchni lądów, zamieszkuje je ok.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 17e13b0521

15% wszystkich znanych nam gatunków. Na powierzchni 1 ha lasu mglistego może rosnąć 400 gatunków drzew, czyli niemal połowa tego, co w całych Stanach Zjednoczonych. Najbardziej bioróżnorodne lasy mgliste znajdują się na obszarze równikowym Andów, gdzie sąsiedztwo Pacyfiku i Andów wspinających się w odległości zaledwie tysiąca kilometrów od brzegu oceanu na wysokość przeszło 6 km nad jego poziomem, tworzy niesamowite bogactwo i różnorodność życia.

W ostatnich dekadach jednak pod wyrąb, rolnictwo, zabudowę i górnictwo przeznaczono miliony hektarów tych lasów. Od 2001 do 2018 r. zniknęło z powierzchni Ziemi ponad 2% lasów mglistych na świecie; w Andach aż 8%. Obowiązujące przepisy zdołały spowolnić, lecz nie powstrzymały całkowicie ich niszczenia, a znaczną część strat poniósł właśnie Ekwador.

Najbardziej katastrofalną w skutkach i nieodwracalną formą ingerencji w las mglisty jest przemysłowe wydobycie metali. Na potrzeby odkrywkowego wydobycia złota i miedzi, głównej metody stosowanej dziś na terenie północnych Andów, trzeba najpierw ogołocić z drzew teren przyszłej kopalni, a następnie poprzecinać go siecią dróg dla ciężkich maszyn. Dynamit rozsadza skałę macierzystą, koparki zbierają odłamek po odłamku, ciężarówki urobek wiozą do kruszarek, gdzie miele się go na drobny proszek, miesza się go następnie z wodą, by uzyskać z niego zaczyn. Kolejnym krokiem jest rafinacja, w której usuwa się niepożądane składniki mineralne, oddziela cenne produkty uboczne i oczyszcza zawiesinę rudy, póki nie uzyska się pożądanego stopnia koncentracji.

W przypadku kopalń złota ruda trafia zwykle na ogromne hałdy w celu ekstrakcji z użyciem techniki zwanej ługowaniem cyjankowym. Spryskuje się je w tym celu rozcieńczonym, silnie toksycznym roztworem cyjanku sodu, który przesącza się w dół i wydziela gaz o zapachu gorzkich migdałów. Tam, gdzie trafia na złoto, rozpuszcza je i wypłukuje. Ponieważ złoto rozproszone jest w niskoprocentowej rudzie, trzeba w tym celu użyć ogromnych ilości rozpuszczalników, które następnie – przynajmniej w założeniu – składuje się w zbiornikach odpadów. W praktyce jednak mniejsze kopalnie po prostu spuszczają je do okolicznych strumieni i rzek.

Takim sposobem rozsadza się kości gór; takim sposobem wysysa się z nich szpik, by wystawić go na sprzedaż; takim sposobem skażony i zgładzony zostaje las mglisty wraz z płynącymi przezeń rzekami.

Jedno większe drzewo porastają setki, a czasem tysiące innych roślin, gęściej niż w niektórych lasach deszczowych.

Jeden z najbardziej pierwotnych i cudownych lasów mglistych w Ameryce Południowej porasta Cordillera de Toisán, pas północno-zachodnich Andów przecinający region Intag w prowincji Imbabura. Na jej zachodnim krańcu leży niewielkie pasmo Cordillera de la Plata. A na południowym końcu tego pasma, gdzie siły górotwórcze utworzyły głębokie doliny i strome grzbiety i gdzie grunt pnie się ku szczytowi tej piramidy na wysokość ok. 1,7 tys. m, znajduje się Los Cedros: surowy, odległy, w większości pierwotny las mglisty, dostępny tylko pieszo, na mułach albo helikopterem. Mapa przedstawiająca ukształtowanie terenu Los Cedros jest przepiękna. Pokazuje leśną zieleń pokrytą błękitnym użyłkowaniem sieci rzek i potoków. Przedstawia krajobraz o misternym układzie połaci ziemi, rysującym kontury licznych niewielkich zlewisk, w których deszcze i opady mgły spływają wodami do niezliczonych potoków i strumieni, zbiegających się następnie w cztery główne rzeki płynące stąd na południe: Río Manduriacu, Río Magdalena Chico, Río Verde i Río Los Cedros. To właśnie bieg Río Los Cedros chcieliśmy prześledzić, zmierzając ku jej źródłom bijącym w wysoko położonych ostępach lasu mglistego.

Los Cedros to ożywiona *Wunderkammer* – gabinet osobliwości natury. Zamieszkuje go plejada bajkowych stworzeń, ptaków, roślin i grzybów, wyjętych jakby wprost z imaginarium Hieronima Boscha: kolczasta mysz kieszonkowa, figowiec dusiciel, kapucynka białogłowa, grzyb zwany „palcami diabła”,

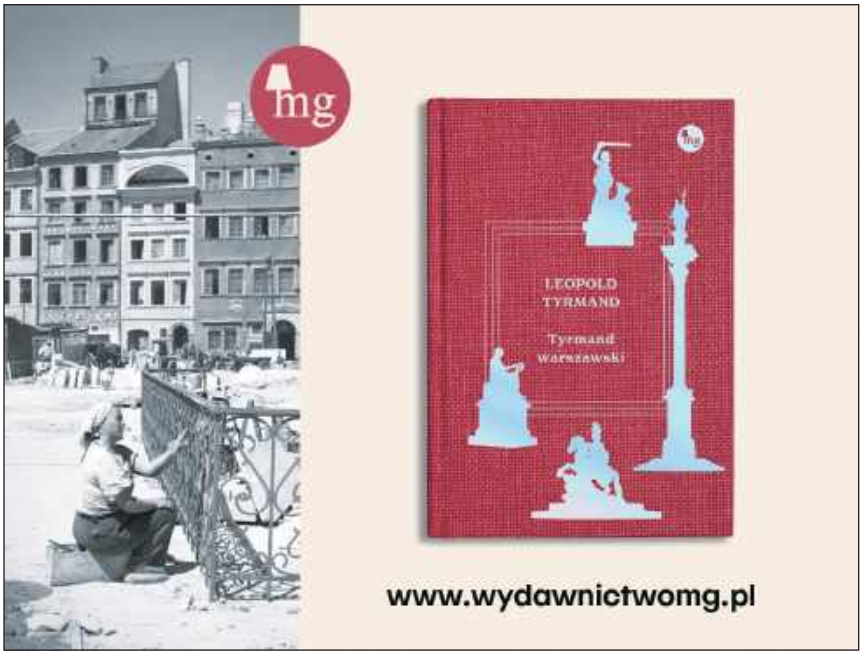

eprasa.pl 17e13b0521

andoniedźwiedź okularowy, karłowata wiewiórka, wydra rzeczna, jaguarundi, kwezal złotogłowy, sęp czarno-kasztanowy… Mieszka tutaj również żaba, która w parę chwil potrafi zmienić fakturę skóry z gładkiej na chropowatą i odwrotnie. Rosną tutaj storczyki „Dracula", o purpurowych płatkach układających się jak peleryna wampira; wydzielają z siebie zapach gnijącego mięsa, by zwabić zapylające je muchy. Żyje tutaj co najmniej 12 gatunków kolibrów, zawieszonych w powietrzu drobin ciekłego metalu; ich imiona brzmią niczym z bajki: szmaragdzik andyjski, nimfa długoogoniasta, lordzik fioletowogardły.

Na rwących odcinkach strumieni i rzek w Los Cedros wody nabierają zielonkawego odcienia, w zakolach i głębinach stają się błękitne niczym serce lodowca. Piją z nich pumy i lamparty, białogardłe pluszcze łowią w nich ryby.

Nie wiadomo dokładnie, jak dawno temu ukształtował się teren lasu mglistego, który dziś nosi nazwę Los Cedros, ani przez ile tysiącleci rozwijał się nieprzerwanie. Zgodnie jednak z hipotezą suchych refugiów, jednym z dwóch dominujących paradygmatów pozwalających zrozumieć plejstoceńską przeszłość lasów deszczowych i mglistych w krainie neotropikalnej, można przypuszczać, że las górski istniał tu nieprzerwanie przez cały plejstoceński okres naprzemiennie występujących glacjałów i interglacjałów, czyli przez około półtora miliona lat.

Jest to zatem las, który regulował się samoczynnie przez wyjątkowo długi czas.

•

Gdy obładowujemy muły naszym bagażem przed wyruszeniem na szlak, Giuliana karmi je plantanami i głaszcze po nozdrzach. Zwierzęta prychają z zadowolenia. Jerzyki pędem zataczają pętle, niczym miniaturowe kusze ścigające muchy nad wodą. Raz po raz powracają do tego samego miejsca, kreśląc w powietrzu spirale kształtem przypominające wodę wirującą w odpływie.

Zatrzymuje się biały samochód. Wysiada z niego dwóch mężczyzn, których się spodziewaliśmy.

– Ramiro! Agustín! – wołam na powitanie.

To nasi starzy przyjaciele. Obaj po pięćdziesiątce, obaj są prawnikami i zasiadali w Trybunale Konstytucyjnym. Tworzą niezwykły duet przeciwieństw. Ramiro Ávila Santamaría jest ekstrawagancki, rozluźniony, odważny i teatralny w gestach. Uwielbia biegać, myśleć, dyskutować – karmi się dialektyką i ginem. Agustín Grijalva Jiménez jest cichy, powściągliwy, czujny (…) Obaj odegrali kluczową rolę w historii Los Cedros, ale nigdy wcześniej nie mieli okazji zanurzyć się w tym lesie osobiście, ponieważ spotkali się z nim po raz pierwszy w trakcie pandemii, gdy podróże po Ekwadorze były znacznie utrudnione. Teraz wnikają w jego mglistą głębię ramię w ramię z nami, pełni ekscytacji. (…)

Giuliana zauważa, że obserwuję jerzyki.

– Rob, skoro jesteś takim wielbicielem ptaków, muszę ci coś wyznać, jeszcze zanim wejdziemy głębiej w las. Mam pewien problem, nie potrafię patrzeć w niebo z takim samym zainteresowaniem jak pod nogi, więc ptaki siłą rzeczy przegrywają z grzybami.

– Nie ma sprawy. Ja zajmę się niebem, ty ziemią.

– Gdybym naprawdę prowadziła badania nad grzybami w Los Cedros – dodaje Giuliana – posuwalibyśmy się kilka metrów na godzinę, kilkaset metrów dziennie. To byłby najwolniejszy spacer świata! A właściwie pełzanie.

Pokonujemy najwyżej 10 m, gdy Giuliana z krzykiem rzuca się na ziemię. Ktoś ją postrzelił? Skąd, wita się z grzybem!

– O, dzień dobry! Huraaa! Chodźcie tutaj wszyscy, po-znajcie się! Spójrzcie: *Pholiota*! Widzicie łuseczki na pileusie? Te łuseczki to pozostałość osłony całkowitej!

– Brzmi bardziej jak teologia niż mykologia – komentuję.

– Po prostu popatrzcie na jej kłaczkowaty trzon, Rob!

Pileus – wyjaśnia – to kapelusz; kłaczkowaty trzon to nóżka grzyba pokryta włókienkami; a osłona całkowita to nazwa, jaką mykolodzy określają błonkę spowijającą niektóre grzyby w formie przypominającej skorupkę jajka. Kolejne 50 m dalej jej kolejne: „Huraaa!".

– Spójrzcie! Kapelusz czarownicy, *sombrero de bruja*! Wspaniałe znalezisko. Och, a tam jest *Auricularia auricula-judae*. Uszak bzowy! To świetna wiadomość. Gwarantuję wam, że skoro rosną w pobliżu, nie zginiemy tutaj z głodu.

eprasa.pl 17e13b0521

Jej entuzjazm udziela się wszystkim, a jej wiedza jest przepastna.

– Ach, mrówki grzybiarki. Maszerują naszą ścieżką. Uważajcie i patrzcie wszyscy pod nogi!

Rzeczywiście, setki połyskujących czarnych mrówek, każda z nich niesie starannie przycięty trójkąt albo trapez liścia. Przypominają unoszącą się na wodzie armadę miniaturowych statków z wciągniętymi na maszt zielonymi żaglami. Mrówki wydeptały własną ścieżkę, szeroką na dwa i pół centymetra, przetartą milionami kroków. Klękam i kładę płasko dłoń w poprzek ich drogi. Mrówki nie wahają się nawet przez ułamek sekundy. Przechodzą po niej spokojnie i maszerują dalej.

– Dokąd one to wszystko niosą? Po co? – pytam. – Przecież mrówki nie jedzą liści.

– Im też chodzi o grzyby, Rob – odpowiada Giuliana.

– Jasne – wzdycha César.

– Nie żartuję! – Giuliana się śmieje. – Znoszą liście do ogromnych podziemnych gniazd, gdzie stają się one pożywką dla grzyba, który jest właściwym pokarmem mrówek, a tak naprawdę larw. Mrówki grzybiarki wynalazły najprawdopodobniej najstarszą formę rolnictwa na Ziemi. Uprawiają grzybnię. I to wszystko dzieje się tutaj, tuż pod naszymi stopami, w całym tym lesie.

Przyglądam się ich przemarszowi, w którym nie ma miejsca na chaos; cóż za dyscyplina pracy.

– Czyli ta biomasa wleczona jest do dołu, do gniazda. Przez cały dzień i całą noc praca nie ustaje, poświęcona wyłącznie karmieniu grzybni?

– Tak. Możliwe, że potrafią nawet określić jej wagę, by oszacować, ile biomasy im potrzeba, i zoptymalizować wydajność zatrudnionych do tego robotnic.

– Wrzucimy któregoś dnia mikrofon do jednego z takich gniazd w lesie – stwierdza Cosmo. – Cóż za niesamowity świat dźwięków. Słychać nawet ich strydulację. W taki sposób porozumiewają się między sobą.

– Mrówki hodują też pleśń, która wydziela substancje hamujące fazę rozrodczą głównego grzyba – mówi Giuliana. – Dzięki temu pozostaje on zawsze w fazie wegetatywnej. Uczestniczyłam w ekspedycjach na terenie Amazonii, gdzie rozkopywaliśmy opuszczone przez mrówki gniazda, w których hodowały grzyby. Grzyby te należą głównie do rodzaju *Pterula*. Gdy zbadaliśmy te mrowiska, okazało się, że swą budową przypominają mózg, są ogromnych rozmiarów, jak bladobiałe, głębokowodne rafy koralowe.

Giuliana wyposaża mnie w nową parę oczu pozwalających przyglądać się inaczej życiu w lesie, a Cosmo daje nowe uszy, bym mógł je usłyszeć. (...)

•

Krok po kroku ścieżka pnie się stromo. (...) Przedzieramy się powoli, bo Giuliana zatrzymuje się przy każdym napotkanym grzybie, a to jedno z najbardziej grzybnych miejsc na świecie – nawet teraz, pod koniec pory suchej. Na środku ścieżki leży kupa starego mulego łajna. Oczy Giuliany jaśnieją, przykuca przy niej, jakby przemawiała do dziecka.

– Och! *Parasola plicatilis*. Huraaa! Witaj, kochanie! Spójrz! Pileus zdążył się rozwinąć. Te gównolubne grzyby są po prostu przepiękne. To gatunek rosnący na odchodach, ale większość gatunków występujących na mulim łajnie nie wyrośnie na krowim. Tak wiele form życia grzybowego jest ściśle związanych z podłożem.

Żuk gnojowy cierpliwie wspina się na jedną z kulek łajna, po czym spada i ląduje na grzbiecie, ukazując opalizująco-błękitny pancerz brzucha i przebierając z wolna stalowymi odnóżami. Odwracam go na właściwą stronę i ruszamy dalej.

Zygzakowata srebrzysta linia dopiero co zrzuconej skóry węża, długa może na półtora metra, zwisa jak udrapowana na zboczu. Widać nadal pojedyncze łuski wężowego widma.

– Rob, Cosmo! Huraaa! Chodźcie, *Xylaria*! Spójrzcie na te cienkie czarne palce. *Xylaria* są bliżej spokrewnione z truflami niż z grzybami kapeluszowymi.

Zaczynam się zastanawiać, czy zdążymy dotrzeć do lasu przed zmrokiem.

Giuliana wyczuwa moje obawy.

– Zaufaj mi, Rob – prosi. – Naprawdę jestem w tym dobra. Filtruję komunikaty od grzybów i staram się patrzeć przed siebie. Mój dom w Chile musiałam zbudować na palach, poza lasem i nad ziemią, bo tylko tak mogłam odpocząć od grzybów. – Zbacza gwałtownie w prawo. – Och, popatrz! Jaki przepiękny *Marasmius* rozkłada liść!

Z korony drzew odzywają się dwa tukany, pohukując. To duże, ciężkogłowe ptaki, jaskrawodziobe istoty wyjęte wprost z karnawału. Zerkają na nas z góry. Podskakują i zmieniają pozycję na gałęziach niczym wspinacze, przekładający łapy na stromych stopniach skał. Liście kołyszą się w deszczu. Grzmią gromy w oddali. Ptasie alarmy wywołane naszą obecnością podchwytywane są przez inne gatunki, przekazywane dalej zataczają coraz szersze kręgi.

– Lubię wsłuchiwać się w te fale informacji roznoszące się po lesie – mówi Cosmo. – W takiej gęstwinie słychać dużo dalej, niż widać.

Po kolejnych dwóch godzinach ścieżka się wypłaszcza. Niespodzianie przed nami wyłania się omszały mięsiście płot, a tuż za nim polana z drewnianymi chatkami i zabudowaniami gospodarczymi.

Dotarliśmy do Stacji Naukowej, jedynego miejsca w Los Cedros, gdzie istnieje osada wzniesiona ludzką ręką. Od lat badacze wykorzystują ją w charakterze bazy terenowej, gdy próbują zgłębić jakiś fragment tego oszałamiającego leśnego superżycia. (...)

Najbardziej katastrofalną w skutkach formą ingerencji w las mglisty jest przemysłowe wydobycie metali.

Fragmenty książki Roberta Macfarlane'a *Czy rzeka żyje?*, przeł. Sławomir Królak, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026

eprasa.pl 17e13b0521

JOLKA

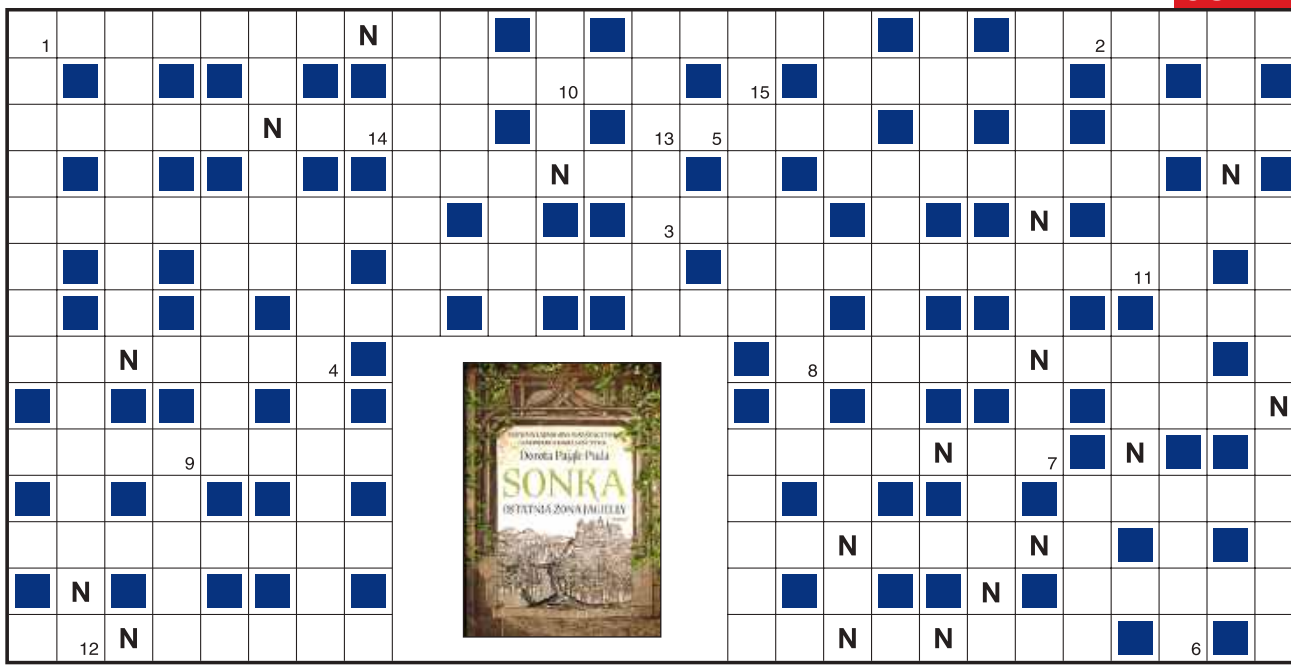

1	2	3	4	5	6	7

8	9	10	11	12	13	14	15

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- niski głos śpiewaczki
- chustka w stylu paryskiego gagatka
- stamtąd Perykles i Tukidydes
- o pogodzie
- do hamburgerów – posypane sezamem
- deska na szalunek albo miarka
- wartość wyrażona w pieniądzach
- chce działać, kto do niego się rwie
- „Miś Uszatek" przed zaśnięciem
- prawda uznana za objawioną
- lignifikacja pędu
- zwierzę budzące lęk w mieście
- wyrazistość uzewnętrzniania przeżyć
- władca wiatrów w mitologii greckiej
- obsługuje ręczny karabin maszynowy
- imię aktora McGregora
- mały pojazd wyścigowy
- wymienny, obwoźny lub zagraniczny
- debiutancki poemat prozą Przerwy-Tetmajera
- kraj z Basrą i Karbalą
- imię dziennikarki i prezenterki Dziedzic
- podobny do jaskółki
- huk wielu wystrzałów
- kamizelka ratunkowa
- objaśniające tekst biblijny to homilia
- skrzyżowana z mieczem wyryta na pomniku księżniczki Wandy
- jasnogórski lub Shaolin
- napój z szejkera
- bufet barowy, lada
- elektrownia w Świerżach Górnych
- brązowoszara dzika kaczka
- chciał Calineczkę za żonę
- wulkaniczny spływ błotny
- poprzednik euro we Włoszech
- składana z papieru albo typ dekoltu
- osłonięty dwuczęściową muszlą
- kostnienie, ziębnięcie
- cienkie płaty drewna na wyrobach stolarskich
- dźwignia do wychylania steru kierunku samolotu
- śmigał na nich Władimir Semirunnij
- rozległy widok
- na uchu rysia
- świstak z Punxsutawney
- Mary, gwiazda kina niemego
- boju, zabaw lub Defilad
- zemsta, rozliczenia, rewanż za krzywdę
- gdy z duszą na nim, to z lękiem
- siedziba władz miejskich
- rak nią na bezrybiu
- liczba karpi w stawie hodowlanym
- mickiewiczowska karczma
- para zdjęć, a efekt trójwymiarowy
- „był Luksemburg, chata…"
- nabłonkowa, łączna lub mięśniowa
- ortopedyczne do butów
- robiony pod fundamenty
- Zegrzyński lub Zakrzówek
- imię kolarza Jaskuły

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1272". Do rozlosowania książki „Sonka. Ostatnia żona Jagiełły" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 maja 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1269" z nr. 16: *Do lasu nie wozi się drzewa.*
Nagrody otrzymują: Aleksandra Biernat z Warszawy, Lech Krzemiński z Koszalina, Zenon Lewiński z Dęblina.

eprasa.pl 17e13b0521

Na Cyprze bez zmian

Premier Donald Tusk nie wytrzymał i podczas szczytu Unii Europejskiej na Cyprze oznajmił w mediach społecznościowych: „Po raz pierwszy od lat na sali nie ma Rosjan. Ogromna ulga". To à propos tego, że na szczycie nie pojawił się Viktor Orbán. Tak oto Tusk wykazał polski temperament.

Do tej radości dodajmy jeszcze jedną – pierwszy raz od długiego czasu mógł liczyć na obecność ambasadora RP, a nie chargé d'affaires a.i. Chodzi o Marka Szczepanowskiego, jednego z nielicznych ambasadorów, którzy po przejęciu MSZ przez Radosława Sikorskiego nie zostali wycofani do Warszawy.

To dość symboliczna scena – otóż Szczepanowski był zatwierdzany przez sejmową Komisję Spraw Zagranicznych na tym samym posiedzeniu, na którym zatwierdzani byli Jakub Kumoch (Pekin), Arkady Rzegocki (Dublin) i Jarosław Guzy (Kijów).

Gdy przyszła nowa władza, Rzegocki z Guzym zostali wycofani do Warszawy. Nikt się nie dziwił – Rzegocki przyszedł do MSZ w czasach PiS, był szefem służby zagranicznej. Dla Guzego też była to pierwsza posada w MSZ. Skazani więc byli na powrót. Zrobiło się z tym trochę zamieszania. Szczególnie walczył Guzy, próbował wracać do Kijowa, wydawać polecenia, ale nic z tego nie wyszło, rzecz jest już zamknięta.

Trzeci z ambasadorów, Jakub Kumoch, został w Pekinie. Dlaczego, o tym mówił Sikorski – minister uszanował sytuację, że kilku swoich ambasadorów ma Andrzej Duda. I wśród nich jest Jakub Kumoch, były szef Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta. Sikorski pewnie kalkulował, że pomoże mu to w dogadaniu się z Dudą, że prezydent zacznie podpisywać nominacje ambasadorskie. I trzy razy w tej sprawie się dogadywali, ale nic z tego nie wyszło. Mamy więc w Pekinie pisowską wyspę na mapie polskiej dyplomacji.

A Szczepanowski? Nie broniła go Kancelaria Prezydenta, bo w niej nie pracował. Od 2001 r. pracuje w MSZ jako absolwent IX promocji Krajowej Szkoły Administracji Publicznej. W tym czasie piastował różne stanowiska, ale zawsze dość oddalone od bieżącej polityki. Pracował w konsulacie w Mediolanie, był zastępcą dyrektora Instytutu Polskiego w Rzymie. A w centrali kierował trzema departamentami. Najpierw Biurem Archiwum i Zarządzania Informacją, gdzie m.in. koordynował reformę obiegu dokumentów niejawnych w MSZ. Potem był dyrektorem Departamentu Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej, a w latach 2021-2023 pełnił funkcję dyrektora Protokołu Dyplomatycznego MSZ.

Protokół Dyplomatyczny jest specyficznym departamentem – łatwo tu o wpadkę, wymaga szczególnej dokładności, fantazja jak u Kumocha nie jest w tym miejscu dobrze widziana. Szczepanowski tam pasował. Zresztą charakterystyczne było jego wystąpienie przed posłami z komisji, gdy mówił o Cyprze. Miał ułożony długi wykład i trzeba było mu przerywać, bo posłowie się wiercili. Co ciekawe, w przeciwieństwie do większości przyszłych ambasadorów nie obiecywał rzeczy wielkich: że będzie wpływał na politykę państwa przyjmującego, zwiększy wymianę handlową itp. Mówił, że skupi się raczej na sprawach, które dobrze zna – na polityce kulturalnej. I chyba to mu się udało.

To go obroniło. Był zawodowcem i nie wyszedł poza te ramy, więc Radosław Sikorski i Rafał Wiśniewski nie mieli powodu go odwoływać. Został zatem ku chwale ojczyzny.

Attaché

Galę Stowarzyszenia Korespondentów Białego Domu z udziałem pary prezydenckiej przerwał groźny incydent. Na salę próbował wedrzeć się uzbrojony mężczyzna, ale został obezwładniony przez Secret Service. Goście najedli się strachu. Waszyngton, 25 kwietnia 2026 r.

FOT. EVAN VUCCI/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 17e13b0521

PENETRACJE

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Na pytanie, jak zagospodarowywać przestrzeń pamięci i pamięć przestrzeni, nie ma prostych odpowiedzi. Na przykład w wielu miastach Niemiec pamięć o ofiarach nazizmu nie stoi na placach ani nie wznosi się ku niebu. Leży nisko. Na poziomie kroku. To Stolpersteine – „kamienie, o które się potykamy": niewielkie, dziesięciocentymetrowe mosiężne kostki wmurowane w chodniki przed domami, z których deportowano Żydów, Romów, homoseksualistów, świadków Jehowy i innych prześladowanych. Na każdej wyryto imię, nazwisko, datę urodzenia, miejsce i rok śmierci. Nie tworzą jednego pomnika. Tworzą sieć pamięci rozproszoną po codzienności.

ZADIE SMITH,
BRYTYJSKA POWIEŚCIOPISARKA

Jako dorosła osoba i świadoma czytelniczka mogę sięgać po książki Philipa Rotha i odczuwać przyjemność z obcowania ze słowem, a jednocześnie dostrzegać słabe punkty tej literatury. Przecież nie sięgam po Rotha, żeby dowiedzieć się czegoś o życiu wewnętrznym kobiet! Musiałabym być szalona. Sentymentalizacja kobiecych postaci, erotyzacja kobiet w życiu Rotha jest wielką wadą jego powieści, ale pokaż mi sztukę bez wad. Pokaż mi artystę bez wad. Kim są ci idealni ludzie, którzy stworzyli dzieła, dzięki którym czujesz się tylko dobrze? Dla mnie to nonsens. Moje powieści też są wadliwe, a ich ułomność wynika z mojej niezdolności do postrzegania świata jako całości. Świat jest ogromny, wszyscy oglądamy wyłącznie fragmenty. Każdy z nas ma swój mały kawałek, nad którym pracuje, rzekę wpływającą do ogromnego jeziora.

TOMASZ OSSOLIŃSKI,
PROJEKTANT MODY

Wojciech Młynarski śpiewał „Róbmy swoje". Ja robiłem. Trochę siedziałem w kącie, ale miałem szczęście, że dostrzeżono to, co tworzę. Żartuję, że gdy byłem młody, biedny i początkujący, wymyśliłem gorsety, bo nie wymagały dużych nakładów finansowych. I te gorsety rykoszetem do mnie wróciły w postaci kostiumów filmowych z XVII i XIX w. Przypomniałem sobie, że przecież ja to umiem! W procesie twórczym warto iść za pierwszą myślą. Gdy coś wpadnie mi do głowy i czuję dreszcz, to nawet jeśli zaczynam mieć wątpliwości, nie odpuszczam. Nauczyłem się trzymać tej pierwszej emocji. Iść za instynktem. Wśród inspiracji ważna była też dla mnie muzyka. 30 lat temu zobaczyłem „Skazę" Louisa Malle'a z muzyką Zbigniewa Preisnera. 20 lat temu „Godziny" z kompozycjami Philipa Glassa. Ta muzyka ciągnie się za mną do dzisiaj. Przy niej powstawały moje kolekcje. Prostota dźwięku mnie uskrzydla.

BARTŁOMIEJ JAKUBOWSKI,
DYREKTOR PARKU NARODOWEGO GÓR STOŁOWYCH

Od 2017 r. obserwowaliśmy dynamiczne zamieranie świerka. Nie ma jednego konkretnego powodu, tylko kilka nałożonych na siebie. Po pierwsze: wiek. Wiele drzew przekroczyło 100 lat, czyli weszło w etap dojrzały, kiedy odporność i jakość techniczna zaczynają spadać. Po drugie: niezgodność składu drzewostanu z siedliskiem. W reglu dolnym świerk powinien być jednym z elementów lasu, a nie gatunkiem dominującym wszędzie. Po trzecie: pochodzenie nasion. Historycznie sadzono świerki z różnych rejonów, często bez pełnej wiedzy o ich lokalnej przystosowalności. Drzewo z nizin ma inny pokrój, inne cechy niż świerk górski, który musi np. lepiej zrzucać śnieg. Świerk ma talerzowy system korzeniowy, a więc płytki. To w pewnych warunkach działa, ale przy dłuższej suszy staje się problemem.

FOT. KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SARKA FARKA

eprasa.pl 17e13b0521

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter | Wyrazy z **siedmiu** liter | Wyrazy z **ośmiu** liter

1. CAL + HUB =
3. OMEN + RYS =
5. CISA + KOCE =
2. LĄD + GAR =
4. KRAN + BUT =
6. MINA + TREL =

ROZWIĄZANIA: CHLUBA, DRAGAL, MERYNOS, BANKRUT, KOSACIEC, TERMINAL

Aby język giętki...

WERNER HERZOG O PRZYSZŁOŚCI LUDZKOŚCI
Nasze istnienie jako gatunku nie będzie zbyt długie. Pewnego dnia po prostu znikniemy jak dym, bez śladu.

HANNA KRALL O PRACY REPORTERKI
Ja jestem od tego, żeby się dowiadywać. Lubię rozmawiać z tym, który mnie zaszczyca pytaniem.

RAFAŁ KALUKIN O CENTRUM
Nie jest przypadkiem, że centrowych wyborców najczęściej próbują nęcić politycy znajdujący się w opałach bądź debiutanci.

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA O NIENAWIŚCI
Strona liberalna bardziej nienawidzi wyborców prawicy niż wyborcy prawicy strony liberalnej.

ANTONI SZPAK O BARBARZE NOWACKIEJ
Niestety, w działaniu jest bezradna i nieporadna. Ewidentny brak charakteru przywódcy, widoczny brak stanowczości, determinacji i umiejętności zarządzania ministerstwem.

PAWEŁ SOŁTYS O CHODZENIU NA RELIGIĘ
Jako jedyny na podwórku nie chodziłem. Biłem się o to. Łatwo nie było.

TOMASZ ORGANEK NA ODWYKU OD MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH
Łatwo nie było, ale odstawiłem silne bodźce, które są w telefonie i w tych wszystkich migających obrazkach.

BOGNA SWOROWSKA O BRANIU SPRAW W SWOJE RĘCE
Dostaliśmy na Ziemi swój czas i nikt nam nie doda ani godziny.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 17e13b0521

Alicja Kozłowska,
Big Apple Core

Natalia LL, Sztuka konsumpcyjna

Słodkiego, miłego życia

Wystawa „Słodkiego, miłego życia. Między sztuką, konsumpcją i rzeczywistością społeczną" podejmuje temat pragnień, pożądania oraz estetyki konsumpcji, obecnych w sztuce od dekad – od pop-artu po sztukę krytyczną. Artyści i artystki przyglądają się mechanizmom reklamy, ikonom kultury masowej oraz przedmiotom budzącym powszechne pożądanie, pokazując, jak silnie wpływają one na nasze wyobrażenia o szczęściu i spełnieniu. Konsumpcja okazuje się tu źródłem zarówno fascynacji i twórczej energii, jak i frustracji, wykluczenia czy poczucia braku.

Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu
Toruń, Wały gen. Sikorskiego 13
do 6 września

Paweł Franciszek Jaskuła,
Złote Runo V

Thomas Bayrle,
Liczący ziemniaki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 17e13b0521

MIŁOŚĆ W CZASACH APOKALIPSY

QUINZAINE DES CINÉASTES
CANNES 2025

REŻYSERIA ANNE ÉMOND

AURORA SODEC Québec TELEFILM CANADA

W KINACH OD 8 MAJA

eprasa.pl 17e13b0521

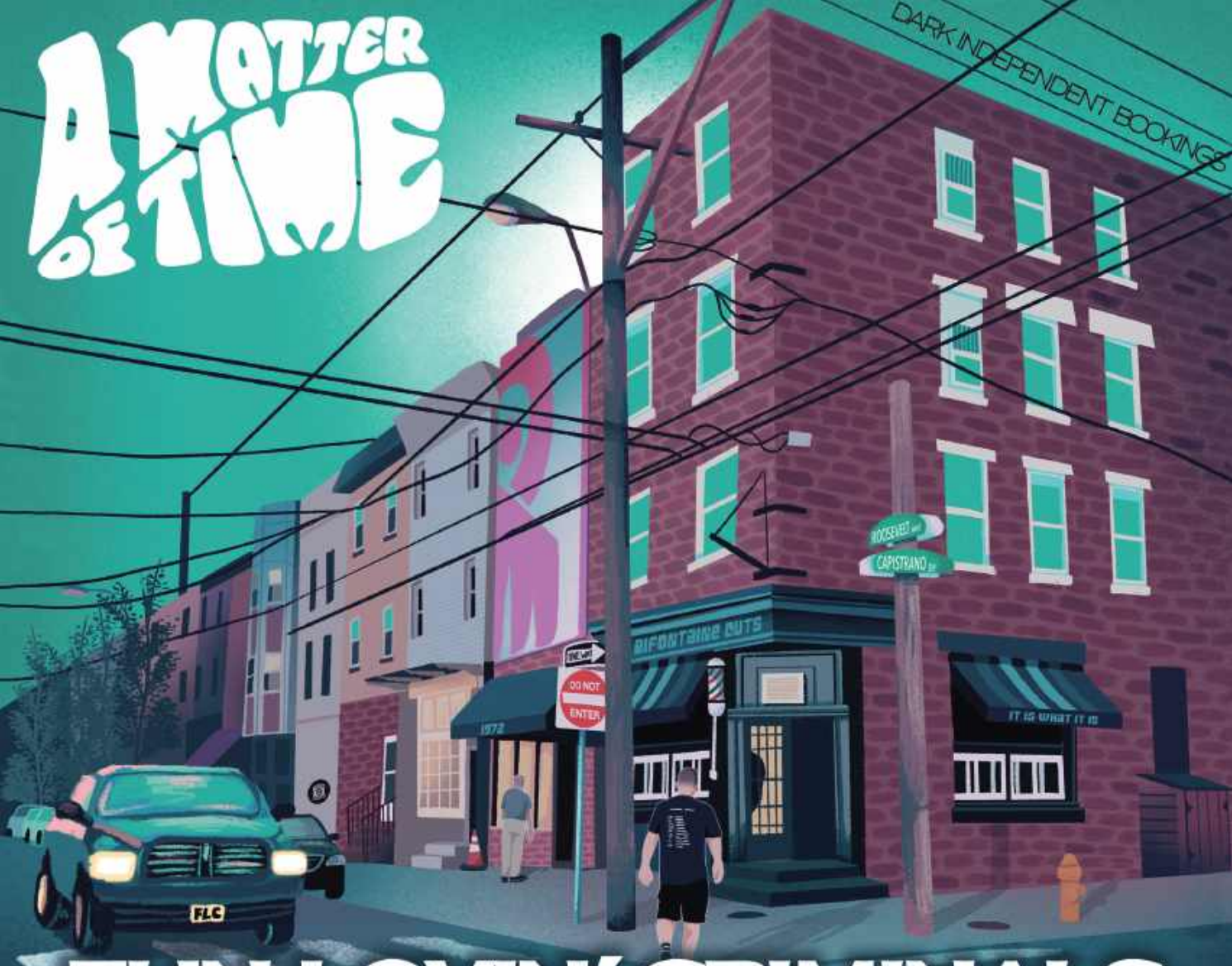

FUN LOVIN' CRIMINALS

TOUR 2026

21 MAJA
KWADRAT
KRAKÓW

22 MAJA
STODOŁA
WARSZAWA

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

LIVE NATION

eprasa.pl 17e13b0521